

Świat wykreowany przez Chattama
przywodzi na myśl twórczość Davida Lyncha,
Jeana-Pierre'a Jeuneta i braci Coen.

Maxime Chattam

SEN ŚMIERTELNIKÓW



Maxime Chattam

SEN
ŚMIERTELNIKÓW



WYDAWNICTWO
SONIA DĄBKA

Tytuł oryginału:
LE COMA DES MORTELS

Copyright © Editions Albin Michel - Paris 2016

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan
Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Emilia Grzeszczak

ISBN: 978-83-7999-994-1

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z 0.0.
Pl. Grunwaldzki 8-10,40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Skład i łamanie: Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2017. (N517)

„Życie to coś, co się dzieje, kiedy my zajmujemy się innymi sprawami”.

John Lennon

„Dwa najważniejsze dni życia człowieka, to ten, w którym się rodzi, i ten, w którym odkrywa, po co”.

Mark Twain

Preambuła

Nie chcę was okłamywać.

Jednak powiem wprost: zrobię to. Właściwie już to zrobiłem.

Nie powiem wam wszystkiego. Nie jestem w stanie. Tej najprawdziwszej prawdy, prawdy faktów, która łączy ludzi, ponieważ *wiedzą to samo*, nie mogę wam wyjawić. Niezupełnie. To byłoby jak ostrożne otwieranie puszkę mózgową i wystawienie na widok publiczny intymności kory, by udowodnić, że ta prezentuje osobowość. A w moim przypadku równałoby się to wstrzyknięciu sobie sporej dawki kwasu wprost do obu półkul, żeby je powoli rozpuścić. Nie wolno nie doceniać niszczycielskiej mocy prawdy. Czasem bywa nawet wybuchowa.

Powinniście zrozumieć, że są rzeczy, do których istota ludzka nie może się przyznać nawet przed sobą, tym bardziej więc nie może wyznaczyć ich innym, bo unicestwiłaby się, przemieniłaby swój umysł w papkę. Nie należy patrzeć na siebie takiego, jakim się jest w głębi ducha - trzeba się choć trochę przypudrować, choćby minimalnie skorygować rzeczywistość. W świetle nagiej prawdy ego to tylko bryła lodu sunąca ku całkowitemu rozgrzeszeniu nicości. Bez niego jesteśmy jedynie dryfującymi wrakami. Ego to godność. Kłamstwa, jakimi się żywimy, stanowią fundament równowagi naszej psyche. Jeśli jest ich za dużo, popadamy w obłąd, jeśli za mało, wyniszczamy się. Bo równowaga polega właśnie na tej odrobinie kompromisu, na jaki każdy się zdobywa, a ten kompromis od stuleci codziennie odmienia nasze społeczeństwo - szczególnie w erze konsumpcjonistycznego indywidualizmu, w której żyjemy. Mam wrażenie, że w dzisiejszych czasach prawda nabrała szczególnej mocy.

Powiedziałem to wszystko, by ujawnić wam prawdę o tej historii: kryje się w niej kłamstwo.

Mówię wam o tym, żeby uniknąć niedomówień i rozczarowań. Jeśli interesuje was czysta prawda, naoliwcie dobrze swoje synapsy, wypucujcie neurony i nie oczekujcie, że zaserwuję ją wam gotową, niczym mrożone danie, które wystarczy wsadzić do mikrofalówki,

żeby później udawać, że oddając się lenistwu, zjadło się smaczną kolację. Ja podsmażam, duszę, doprawiam.

Prawda faktycznie tu jest - chwilami będzie przemykała wam przed oczyma, ale nie podam jej wam na tacy. Nie mogę.

Chcę wam opowiedzieć tę historię, bo mam taką potrzebę, muszę ją z siebie wyrzucić jak świństwo, którego trzeba się pozbyć, żeby poczuć się lepiej. Ona sama każe mi się wygnać poprzez słowa. Każde z nich przynosi mi ulgę. Każda strona koi. Przedstawiając wam fakty, moje fakty, pozwalam wam wszystkiego się dowiedzieć. Moim zdaniem. Z mojego punktu widzenia.

Otrzymacie *moje* zakończenie.

Jeżeli interesuje was *koniec* prawdziwy, jedyny - koniec ludzi, to mocno zaciśnijcie dłoń na oparciu ulubionego fotela i z szeroko otwartymi oczyma, w pełnym skupieniu śledźcie to, co będzie dalej. Prawda nadejdzie, ale nie wskażę jej wam palcem, nie będzie błyszcząc jak wejście do kasyna w Las Vegas - zapomnijcie o migających neonach nad szyldem - to nie jeden z tych thrillerów do pociągu, w których bohater na ostatnich stronach odkrywa całą prawdę, a zaraz po nim ten zły wygłasza monolog. Nic z tych rzeczy. Teraz, zaraz pokażę wam życie, i tyle. Porowate, oślisłe, niesprawiedliwe, niedopełnione.

Moje. Będzie się splatało z waszym, wchłoniecie je, przyjmiecie jak długi pocałunek, wyniesiecie z niego coś, co potem będzie wam towarzyszyć podczas waszej egzystencji, co wsiąknie w wasze mózgi i co być może - powinniście to sobie uświadamiać - na zawsze was odmieni. Bo raz przeczytanych słów nie da się już cofnąć, one wciśkają się w substancję szarą; bo słowa to korzenie drzew naszych myśli i nikt nie potrafi przewidzieć, jak się rozrosną i czy przypadkiem nie zrodzi się z nich kiedyś las.

To historia ludzi, którzy kiedyś, dawno temu, byli świętymi, ale zatracili się w rozkoszach doczesnych. To po prostu historia ludzi.

A, jeszcze jedno: zacznę od końca. Tak, wiem, to nietypowe. Odkryjecie logikę całości na początku tej historii, czyli na samym jej końcu.

Gotowi?

Projektor rusza - biały, oślepiający, przez krótką chwilę obraz drga, pokazuje się kaszka, czarne plamy na ekranie. Zaraz się poprawi, będzie piękny. Pierwsze trzaski, zgrzyty, pisk. Zaczyna się.

Trzy. Bip.

Dwa. Bip.

Jeden. Bip.

Nieznane logo. Obraz i dźwięk współgrają ze sobą.
Światła przygasają.
Na ekranie napisy początkowe.
Zaczynamy...

To koniec.

Opowieść okrążyła jak kropka zamykająca zdanie, opowieść. Ognista kula, która stacza się za horyzont, rozpalając całą zatokę, to zakończenie tej historii. Zmierzch zamykający dzień jak romans, który dogasa u schyłku lata, niosąc nostalgię, wlokąc za sobą długi tren żalu.

Jestem na piaszczystej plaży emanującej słodkim, ciepłym erotyzmem, zanurzony po kostki, ubrany w biało-zieloną hawajską koszulę, z tych, które mamy odwagę włożyć tylko z dala od wszystkich znajomych, i w płócienne szorty, a we włosy wsunąłem okulary słoneczne niewydarzonego podrywacza.

Delektuję się zachodem słońca w tym raj z piekła rodem, raj, w którym moja noga miała nigdy nie stać, bo uważałem, że jestem na to za mądry. Nawet nie zaświtało mi to w głowie. Dla takich ludzi jak ja istnieje tylko kosmiczna próżnia i groza nieświadomej wieczności.

Sterczę tu i po wielu miesiącach nareszcie czuję się odprężony. Odzyskałem pogodę ducha i napawam się nią, wiedząc, że teraz moje życie zacznie się na nowo. Z dala od wszystkich i wszystkiego.

Za kilka godzin gromada amerykańskich turystów wtargnie do baru pod palmami i będziemy pili jak bracia, oni, żeby zapomnieć o pełnym wyrzeczeń życiu, o powściągliwym zachowaniu, o pozorach, a ja - żeby utopić wspomnienia. Poznam jakąś śliczną laskę o nienaturalnie białych zębach, zbyt bujnych piersiach i rozpaleni tequilą złamiemy wszelkie konwenanse. Alkohol stworzy nam skrawek wspólnej przeszłości - półgodzinny flirt z mnóstwem uwodzicielskich min, zbyt hałaśliwego i wymownego śmiechu, umiejętnie dobranych słów; a potem przyjdzie czas na wielkie zadziwienie pod deszczem spadających gwiazd. Będziemy się pieprzyć, a ruchy naszych łędźwi będą tak samo pozbawione zahamowań jak nasze osobowości. Będzie fajnie, a nazajutrz każde pójdzie w swoją stronę i zostanie tylko miłe wspomnienie, jedno z wielu zbieranych jak nalepki kolekcjonowane przez dziecko, które wkleja je do albumu Panini, nie wiedząc po co - może tylko dla przyjemności,

jaką czuje potem, mogąc pewnego dnia powiedzieć sobie, że coś zrobiło, i wspominać to, przerzucając kartki.

Nie wiem, z czego utkam przyszłość, jestem jednak pewien, że nie ma w niej miejsca dla przeszłości. Rozdzieliłem je. To amputacja, przemyślana i precyzyjna. Właśnie dlatego tu jestem.

Wymyśliłem sobie nowe imię - William. Jak angielski dramaturg. Ten, co do którego zawsze pozostanie cień wątpliwości, czy rzeczywiście on sam napisał te dzieła. Spodobał mi się pomysł przybrania imienia człowieka wielbionego przez kolejne pokolenia, mimo niepewności, czy jest geniuszem, za jakiego uchodzi.

Zmieniłem nie tylko tożsamość - stworzyłem siebie od początku. Stworzyłem sobie nowe życie.

Bo tylko człowiek, który tworzy własną przeszłość, może wybierać swoją przyszłość. A ja nie chcę już cierpieć. Nigdy więcej.

Cierpię na chorobę, która odebrała mi wszystko, dolegliwość, którą wielu nazwałoby urojeniem, choć jest realna.

Jestem przeklęty. To nie metafora.

Nie mogłem pokonać zła, więc zdołałem je poskromić, trzymać na dystans.

Moja przyszłość jest tu, pod zachodzącym słońcem, które rozświetla całą wyspę, jakby raj stanął w ogniu. I lubię każdą jej wizję, każdą możliwość.

Jestem nowym człowiekiem. Nowo narodzonym.

Wszystko przede mną. Jestem wolny.

Sami widzicie, że zaczynanie od końca ma swoje zalety - teraz przynajmniej wiecie, że moja historia dobrze się kończy.

A dla człowieka przeklętego to już triumf.

Jednak już słyszę drwiny sceptyków, ludzi myślących racjonalnie, po kartezyjsku, słyszę, jak trzeszczą ich kręgosłupy, gdy wyprężają się w fotelach, widzę pogardliwy grymas na ich ustach.

Dajcie mi trochę czasu, kilka godzin waszego życia, żebym pokazał wam kilka miesięcy z mojego, pozwólcie mi wtargnąć w was z moją opowieścią, a sami się przekonacie, czy w to uwierzycie. I pamiętajcie - wszystko jest tu, przed waszymi oczyma.

To opowieść o naszych najpodlejszych instynktach, o tym, co w człowieku najgorsze - chodzi jedynie o sposób, w jaki o tym opowiadamy.

Zło i forma wypowiedzi.

Prawda. Oto słowo, do którego długo odnosiłem się z nieufnością. Prawda w relacjach międzyludzkich. Między przyjaciółmi, członkami rodziny, współpracownikami.

Prawda w małżeństwie. Chyba najbardziej deprymująca.

Na dwa tygodnie przed porzuceniem komfortowego życia trzydziestolatka dla zaginionej wyspy odkryłem, że moja miłość rozlała się po ścianach mojego mieszkania, rozbryzgana po nich bezwstydnie i z wściekłością.

Zostałem zdradzony. Zbrukany. Wewnętrznie opróżniony. A właściwie przede wszystkim ona.

Przypomnijcie sobie swój najgorszy koszmar, nafaszerujcie go amfetaminą, a i tak będzie to drobiazg w porównaniu z tym, co czuje się w takich chwilach.

Moje życie znowu legło w gruzach.

Abyście jednak dobrze zrozumieli to potężne emocjonalne zawirowanie, muszę wam trochę o sobie opowiedzieć.

Zanim zostałem Williamem w raj, byłem Pierre'em w czyścú.

Mieszkam w Paryżu. Ale równie dobrze mógłby to być Londyn, Nowy Jork czy Barcelona - to nieważne. Ważne jest tylko, że prawie rok temu moje życie diametralnie się zmieniło.

Przeszedłem kryzys egzystencjalny z niemal dziesięcioletnim wyprzedzeniem w stosunku do czterdziestolatków albo z piętnastoletnim opóźnieniem wobec nastolatków - zostawiam wam swobodę wyboru. Zawsze intrygowały mnie te historie o kryzysach. My, faceci, załamujemy się na pewnych etapach, kobiety są bardziej stabilne, ich lęki rozkładają się w czasie. Najwięksi mizogini, postaci karykaturalne, powiedzieliby, że właśnie dlatego one są upierdliwe w codziennym życiu, a my, faceci, na ogół nieodpowiedzialni. Kobięca linearność kontra męskie przełomy. Zaczyna się od buntu w wieku dojrzewania, kiedy chłopak przysięga sobie, że nigdy nie stanie się taki jak ci grubi durnie, a potem się do nich upodobnia. Wreszcie faceci nabierają pewności siebie, po czym stają nad przepaścią, gdy po raz pierwszy zostają ojcami, kiedy zbliżają się do połowy życia i

kiedy tracą drugiego - ostatniego rodzica. Jeśli chcecie się dowiedzieć, kim naprawdę jest facet, nie możecie przeoczyć tych momentów. Tak w każdym razie uważam.

Biorąc pod uwagę fakt, że jako nastolatek nie przejawiałem autentycznej chęci zgładzenia swych rodziców, że nie myślałem poważnie o tym, żeby zdradzić żonę z jej siostrą albo z sekretarką z okazji czterdziestki, poszedłem na kompromis: tuż po przekroczeniu granicy trzydziestu lat zapikowałem. To dobre podsumowanie tego, czym jestem - niezbyt konwencjonalny, ale i niezbyt skrajny. Robię wszystko to, co inni, tylko nie w tym samym momencie i nie rezygnując ze szczypty indywidualizmu. I w tym tkwi mój urok.

Doszedłem do granicy możliwości, zbytnio szarżując, starając się, okłamując samego siebie, grając rolę, która do mnie nie pasowała, żeby zrobić przyjemność rodzicom, żeby dostosować się do społeczeństwa, uformować, wygładzić całą chropowatość... I - zgodnie z tą logiką - żyć pod presją, z klapkami na oczach i w pełnej gotowości, by szczelnie zamknąć pokrywę szamba, zanim gównu zacznie się przelewać.

To, jaki byłem przedtem, wydaje mi się tak dalekie, że w obecnej sytuacji to już właściwie nie ja. A jednak. Mierna szkoła handlowa, mierny związek żyjący w rytm gotowych dań do podgrzania, dziewczyna menadżer sieciówki odzieżowej, gotowa tkwić w sieci życia plecionego z gotowości do umiarkowanej rozkoszy, to znaczy do monotonnych stosunków seksualnych pary, która przez sześć lat zdążyła poznać się na wylot - słowem, czysta klasyka bez szczypty pikanterii czy oryginalności, egzystencjalna papka zanurzona w morzu tysięcy innych. I ja taki banalny: zacząłem od stażu, który stał się początkiem późniejszej pracy, wtopiłem się w świat firmy, rozpuszczając w nim miłość własną, żeby skuteczniej udawać, żeby się nie wyróżniać, żeby zostać docenionym przez wielu, żeby móc liczyć na podwyżki, czatując przy ksero na zwierzchnika, z którym mogłem wtedy pogadać o tym i owym. Byłem gotów walczyć o każdą z tych bzdur, byle tylko koło trzydziestki móc rzucać kolegom w twarz, że moje zarobki liczą się w tak zwanych kiloeuro z pięcioma zerami i czwórką albo wyższą cyfrą na początku. Wpędzałem się w chorobę dla pracy, która przestała mi dawać możliwości rozwoju od chwili podpisania umowy na czas nieokreślony. Wszystko po to, żeby ją utrzymać. Byle piąć się po szczeblach tej kariery.

Oszczędzę wam szczegółów, bo nie to jest tu ważne. Żeby ująć to krótko, proponuję coś, co nazwałbym streszczeniem epileptycznym.

Trzydzieści jeden lat. Kryzys. Kres wytrzymałości. Kłótnie ro-

dzinne. Klótnie z partnerką. Klótnie zawodowe. Zawodowiec od klótni. Kochanki (w pewnych przypadkach język powinien tworzyć formy pomnożonej mnogości, coś w rodzaju „kooochaankiii”, z subtelną głębią podkreślającą dużą liczbę i wskazującą na stopień zepsucia - albo wewnętrznego cierpienia, zależnie od sytuacji - faceta, o którym mowa). Zwolnienie z pracy. Zerwanie. Oddalenie od przyjaciół, od rodziny. Depresja. Alkohol. Łajdactwo. Przed wszystkim alkohol. Pustka. Przewlekła pustka. Psychoterapia. I Roosevelt.

Przypuszczam, że każdy odnajdzie tu epizod z własnego życia, albo przynajmniej zdarzenia tak banalne, że nie zasługują na refleksję, pomijając może obecność amerykańskiego prezydenta. Jeśli komuś przypomina to kretyńskie pomysły jakiegoś psychologa, to muszę wyjaśnić, że tak nie jest. To ja pomyślałem o Rooseveltcie. Przechodziłem kryzys. Totalne, bezprecedensowe załamanie. I zastanawiałem się, jak zdołam się z tego podźwignąć. Wtedy pomyślałem o wielkim kryzysie roku 1929 i o Rooseveltowskim New Dealu - o radykalnych posunięciach, środkach nadzwyczajnych i kraju, który się budzi...

Ktoś przypomni pewnie, że potem wybuchła wojna światowa i dopiero ona na dobre rozpędziła maszynę, ale myślę, że należy poprzestać na tej analogii, bo wymowa metafory wymaga, by już na początku wytyczyć jej granice. Dokładnie tak jak we własnym życiu - trzeba nakreślić jego kontury, ramy szczęścia, nienaruszalne granice, obszary gruntownych i dociekliwych poszukiwań i te, które lepiej ignorować z przychylną obojętnością.

A zatem blisko rok temu uporządkowałem swoją codzienność. Stałem się nowym człowiekiem. Przyjąłem pierwszą pracę, jaką znalazłem - sprzątacza w zoo w Vincennes. Mówiąc wprost, sprzątałem gówna zwierząt, na które inne zwierzęta gapily się całymi dniami, ale z tą różnicą, że te drugie uprzednio płaciły za bilet wejściowy. Jeśli obiektywnie zastanowimy się nad tym, co stawia nas na szczycie hierarchii świata zwierzęcego, to dojdziemy do wniosku, że są to pieniądze, które mamy w przeciwieństwie do innych stworzeń. Dajcie gorylom system monetarny i więcej forsy, niż potrafimy zdobyć, a będziemy się czołgać w błocie, byle rzuciły nam jakiś grosz.

Chcę podkreślić, że ten zawodowy epizod był dla mnie cennym i wzbogacającym doświadczeniem. Po pierwsze, co się tyczy relacji koleżeńskich, to muszę powiedzieć, że lemury witają w swym gronie nowych znacznie życzliwiej niż moi koledzy z marketingu, a szczerść małp jest niezrównana.

Właśnie praca w zoo pozwoliła mi odkryć swą prawdziwą naturę. Kiedy pewnego dnia rozdrażniły mnie wrzaski coraz bardziej nerwowych babuinów, zadziwiłem samego siebie, dorzucając do ich poidła kilka tabletek xanaxu. Od tego dnia nasze stosunki uległy zdecydowanej zmianie. Zresztą w zoo bardzo szybko zyskałem opinię człowieka, który uspokaja babuiny. Nie zamierzam kłamać - spokój, jaki panował odtąd na ich wybiegu, wzbudzał we mnie zazdrość.

Nikt nie wie na przykład, że taka panda produkuje oszałamiającą ilość odchodów. Te kupy gówna od rana do wieczora zalegające na wybiegu uroczego pluszaka to istna makabra. Można by pomyśleć, że natura skupiła wszystkie jelita świata w zadkach pand. Warto uznać to za lekcję, a wnioski odnieść do relacji osobistych: za nadmierną potrzebą pieszczot na pewno kryje się kupa gówna.

Tak czy inaczej, jako ktoś, kto spędzał dni na czyszczeniu ich klatek, mogę was zapewnić, że kiedy trzeba co dwie godziny odwiedzać śliczną pandę, żeby wynosić po pięć do dziesięciu kilogramów łajna, zaczyna się patrzeć na to zwierzę z odrazą.

Imodium zdecydowanie poprawiło nasze relacje.

A Vincennes zyskało pierwszą na świecie pandę z notorycznym zaparciem. Przynajmniej w dni moich dyżurów.

Mógłbym się rozwodzić nad tym, jak z nudów, w poszukiwaniu odrobiny rozrywki, podawałem viagrę świstakom, a potem patrzyłem, jak się pieprzą - zupełnie jakby ich nora była filią Des Chandelles. Mógłbym dodać, że jeśli wielkookie lemury wyglądają waszym zdaniem głupkowato, to powinniście je zobaczyć, kiedy podawałem im LSD - poruszają się w zwolnionym tempie, sztywne i rozkołysane jak przebrani za mały kosmonauci na Księżycu. Ale przecież rozumiecie, do czego zmierzam.

Dla pensjonariuszy zoo w Vincennes stałem się skrzyżowaniem lekarza z *Daktari* i doktora Mengele - tym, kto kojarzy się z niezwykłą przyjemnością albo kto przeraża jak uosobienie śmierci.

Na kilka miesięcy zoo zmieniło się w teatr eksperymentów medycznych, o jakich nigdy nie słyszałem. To był mój świat, miałem nad nim drobnutką władzę, wylewałem tam swoje stare frustracje, zachowywałem się jak w laboratorium codziennych rozrywek, jak w biurze przyszlých ambicji.

Nie opowiadam wam o tym wszystkim, żeby wyjść na kata zwierząt - wychowałem się z kotami i psami, które okazywały mi więcej miłości niż rodzice, więc dobrze wiem, czym jest przywiązanie zwierząt. Wspominam o tych epizodach, żeby zilustrować przemianę mojej postawy, ten rażący brak poczucia winy. W miarę jak

wychodziłem z depresji, jak odrzucałem to, kim nie byłem, jak tworzyłem prawdziwe miejsce dla stłamszonego od dawna ja, wyzwalając się także od zbędnego i irytującego filtra zyczliwości.

Stawałem się sobą - bez makijażu, bez ozdóbek. Moje poczucie moralności nie podlegało już dyktatowi całego społeczeństwa, ale wyłącznie osobistej ocenie, temu, co *ja* uważałem za dobro i zło, a ta granica wymagała wytyczenia. Chcieli mi wmówić, że polityczna poprawność jest formą szacunku, podczas gdy to tylko gorset, w który wciska się jednostkę, żeby wtopiła się w masę - wygładzona, więc łatwiejsza do formowania. Pasterze nie lubią owiec, które podskakują i odrywają się od stada, chcą, żeby wszystkie stały potulnie i patrzyły w jedną stronę, nie podnosząc łów, bo wtedy łatwiej nad nimi zapanować. A ja postanowiłem podnieść głowę. Nie po to, żeby urazić bliźnich, a tylko żeby skubać bardziej soczystą, mniej wydeptaną trawę, żeby skosztować tej, która rośnie na poboczu - z ciekawości i dlatego, że nareszcie czułem, że robię nie to, co *trzeba*, ale to, co *chcę*.

Wcale jednak nie przeobraziłem się w diabelski pomiot, tylko nabrałem dystansu do kojącej etyki i naprawdę miewałem się lepiej.

I właśnie wtedy dała o sobie znać kłątwa.

Nie wiem, czy zawsze nosiłem ją w sobie, jak guz, który rozwijał się wolno w zakamarku mojego organizmu i czyhał na odpowiedni moment, żeby się ujawnić, czy też był to moralny środek zapobiegawczy, wszczepiony w dzieciństwie w podświadomość, aby dać o sobie znać, kiedy wyłamie się z systemu. Tak czy inaczej, zmaterializowała się podczas pierwszej szczerzej relacji z inną istotą ludzką, jaką nawiązałem po moim kryzysie dorosłego nastolatka. Można by to nazwać kryzysem przedłużonego dojrzewania. Ta kłątwa osiągnęła apogeum na dwa tygodnie przed dniem, kiedy znowu wszystko rzuciłem.

Apogeum otchłani.

Trochę wcześniej napisałem, że moja miłość rozmazała się po ścianach mieszkania, i wcale nie była to metafora.

Dwa tygodnie temu znalazłem kobietę, którą kochałem - bo jeśli nawet nigdy nie uprawialiśmy miłości, to była *moją* kobietą, moją słodką, moją nadzieją - z wyprutymi flakami, rozwleczoną aż po sufit. Wszędzie strugi jej krwi - Jackson Pollock nie zrobiłby tego lepiej. Brzuch rozplątany jak rozdarta torebka, trzewia na wierzchu. Nigdy nie zapomnę tego widoku. To było prawie *skomponowane*. Ona, naga na parkiecie, z rękami wzdłuż ciała, biała skóra rozcięta, rozwarta jak owoc, który pękł w prażącym słońcu. Jej piękna twarz obojętna, jakby to jej nie dotyczyło. Niebieskie oczy zastygłe, zapatrzone w pustkę. I

wszystkie te purpurowe linie nad nią, na kremowych ścianach, i sufit upstrzony setkami czerwonych kropek - kropek niczym mroczne gwiazdy czuwające nad moją zmarłą.

Artystyczna eksplozja. Galeria chorej sztuki. Konstelacja Panny.

Nie wiem, co zrobilibyście na moim miejscu. Porażeni strachem, rozpaczą i makabrą stalibyście jak sparaliżowani albo pragmatyczni mimo szoku wzywalibyście pomocy.

A ja zwymiotowałem.

To wrażenie, którego nie można sobie wyobrazić.

Relatywizm w swojej najbardziej skonkretyzowanej formie. Człowiek czuje się na przemian lekki, ulotny, całkowicie nieobecny, niematerialny jak zjawą, która przypatruje się scenie, ale nie może odegrać w niej najdrobniejszej roli, a potem każda cząsteczka jego istoty wraca na swoje miejsce z bolesną szybkością, z żarłocznością przyciągania cechującą tego, kto choćby przez krótką chwilę wierzył, że uciekł przed własną substancjalnością. Wtedy człowiek waży tak dużo, że nie jest w stanie udźwignąć własnej duszy, aż traci głowę, osuwa się, zmażdżony przez ciężar rzeczywistości.

Constance jest tu, u mnie, zmasakrowana. Wszędzie unosi się zjawą naszych chwil, moja obecność z nią, nasze dłonie, które się muskają, nasze ramiona, które się dotykają, nasze słowa, nasze kontakty.

Mam ją martwą przed oczyma, a jednak, kiedy przymknę powieki, widzę ją jeszcze żywą. Nieznośny rozziw.

Pierwszym, co przyszło mi wtedy na myśl, było to, że nigdy nie uprawialiśmy seksu. Nigdy.

Taka myśl kompletnie nie pasuje do sytuacji. A jednak właśnie to pomyślałem. Tak tworzyła się nasza relacja - z czasu, z cierpliwości, z poznawania, z odkrywania. Powoli. Żeby rozkoszować się każdą drobiną, wszystkim, co nowe i ujawnione przez jedno temu drugiemu. Jak przystało na dobrych archeologów naszych uczuć, chcieliśmy pieścić pędzelkiem naszego szczęścia szkielek witrażu naszej historii, którą codzienność miała stopniowo odsłaniać.

Długie, pompacyjne zdanie. I puste jak dwie istoty w pierwszych dniach relacji, która zaczyna się robić poważna. Mój lśniący nowością cynizm dokładnie pokrywa jeszcze niewyschnięty lakier naiwnych sentymentów, takich łagodnych i szalonych.

Z każdego kąta tego maleńkiego mieszkanka wyskakują nasze ślady. Echa naszych rozmów, słodycz niekończących się pocałunków - przedśionka powściąganego pożądania - naszych lęków i pierwszych starć - nas...

Minęła niemal godzina, zanim wreszcie przyszli dwaj umundurowani policjanci, i kolejna, zanim naprzeciw mnie usiadł facet ubrany po cywilnemu, oficer policji śledczej. Byłem owinięty kocem, myślnami bujałem gdzieś między Merkurym a Fukushima, zagubiony w zakamarkach kryjących wieki historii, o której właściwie nic nie wiem, bo duchowi najlepiej snuć się po nieznanym przestrzeniach pamięci zbiorowej.

- Jest pan właścicielem mieszkania? - zapytał.

Był podobny do Oliviera Marchala, dawnego gliny, który przedzierzgnął się w reżysera i aktora, jakby fikcja musiała koniecznie spłatać się z rzeczywistością.

Jeszcze nie odpowiedziałem, słowa napływały z pewnymi oporami, toteż ciągnął:

- A ta dziewczyna, jest pan jej...

W końcu kiwnąłem głową:

- Tak, lokatorem...

Policjant pomyślał, że udzieliłem odpowiedzi na jego pierwsze pytanie. A mnie się wydawało, że za jednym zamachem na oba.

- Bardzo mi przykro.

Wydawało się, że mówi szczerze. W jego oczach mogłem nawet odczytać emocje. Ale przecież dla niego był to chleb powszedni, ludzi zrozpaczonych jak ja widywał na co dzień, kilka razy w tygodniu składał kondolencje, jakby częstował gumą do żucia kolegę, któremu cuchnie z ust. Mimo to uznałem go za wiarygodnego.

- Dziękuję.

- Wiem, że to trudna chwila, jednak muszę zadać panu teraz kilka pytań. Rozumie pan?

Machinalnie pokiwałem głową.

- Może mi pan powiedzieć, co się stało?

Rzadko się zdarzało, żeby jakieś pytanie wydawało mi się tak głębokie, tak skondensowane. W tym jednym zdaniu zamykał się cały świat. Od oczekiwania na prawdę po winę całej ludzkości za draństwo Kaina, więc słysząc je, miałem wrażenie, że jest ciężkie jak martwy człowiek. Jak martwa kobieta.

- Nie.

Nie mogłem powiedzieć nic więcej. Za dużo odpowiedzi naraz, nie miałem na to siły, nie zdobyłbym się na to.

Olivier Marchal chyba się zdenerwował. Głośno wciągnął powietrze przez nozdrza, wydając irytujący świst. Kiedy ten strumień trącał wioski w jego nosie, obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem. Przybrał surową minę. Teraz stał się podejrzliwy. I niechętny.

- Zaczęło się od kłótni i sytuacja wymknęła się spod kontroli? - zapytał nagle.

- Słucham?!

Nie wierzyłem własnym uszom. Tak szybko? To pytanie musiało paść, wiedziałem o tym, ale nie byłem na to jeszcze przygotowany.

- Pokłóciliście się, przekroczyliście granice i straciliście panowanie nad sobą...

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie! Dlaczego pan tak mówi? Ktoś ją zabił! Constance została zamordowana!

- Co do tego nie ma wątpliwości. Sąsiedzi twierdzą, że słyszeli krzyki, odgłosy awantury w południe. Nie wzięliście się za łby?

Fala paniki. Zdumienia. Emocjonalne wrzenie. Najchętniej wyłączyłbym korki i odciął dopływ prądu, żeby zanurzyć się w totalnym blekauce, uciekłbym w śmierć.

- Nie! Wyszedłem wcześniej rano! To nie ja.

A potem przebłysk, nagłe olśnienie. To wszystko znaczy, że Constance walczyła. Broniła się, wiedziała. Widzę ją przerażoną, bijącą się o życie. Czuję ciosy noża, który rozpruwa jej brzuch.

Struga żółci ląduje między mną a gliniarzem z policji śledczej. To dodatkowy sposób wytworzenia dystansu między nami. Nie wiem, czy haruspicyja to także czytanie z żółci, czy można traktować to jako element trzewny, ale w tym momencie bardzo chciałem, żeby Olivier Marchal miał moc wróżenia, żeby dał mi spokój i szukał odpowiedzi na swoje pytania gdzieś indziej niż w mojej świadomości...

- Posłuchaj, chłopcze - powiedział - to dobry moment, żebyś to z siebie wyrzucił, żebyś się uwolnił. Śmiało, po to tu jestem. Możesz mi wszystko powiedzieć.

Żółta ciecz, która nas dzieliła, najwyraźniej nie robiła na nim wrażenia. Potraktował ją raczej jako zachętę do dalszej rozmowy. Widział mnie wymiotującego, więc poczuł, że jest mi bliższy, że teraz już mogę mu się zwierzać. Jakby między dwoma mężczyznami, którzy widzieli, jak rzygają, powstawała braterska więź, jakby to był jakiś prahistoryczny rytuał, zapomniany, ale zachowany w nas w szczątkowej formie chronicznej potrzeby dopełnienia go przynajmniej raz w życiu. To jedyne wytłumaczenie, jakie znajduję dla przyjemności, jaką mężczyźni czerpią z picia alkoholu w ilościach przyprawiających ich o chorobę.

Nie zdołałem wydobyć z siebie ani słowa. Zamarły mi w gardle ze strachu i rozpacz.

- No mów - nalegał. - Musisz sobie teraz ulżyć. Nikt tu nie

zamierza cię osądzać, chcemy tylko zrozumieć i pomóc ci w miarę naszych możliwości.

Nie, Olivier, postawiłeś na złego konia - chcesz się dowiedzieć, żeby zrozumieć, a wtedy osądzić. A to już zupełnie co innego. Nie rób ze mnie idioty. Przed oczyma wciąż mam zwłoki Constance. Widzę ją rozpaczliwie krzyżącą, biegnącą, szamoczącą się, płaczącą, cierpiącą, nierozumiejącą, przerażoną. Ten łajdak gliniarz wepchnął mi do głowy te wszystkie obrazy.

I przez krótką chwilę zacząłem już niemal myśleć, że naprawdę ja to zrobiłem. Że jestem mordercą Constance.

Właściwie - dlaczego nie?

Bo przecież nie była pierwsza.

36

Że też w życiu tyle godzin tracimy na sen.

Kiedy człowiek ma depresję, spanie staje się *całym* jego życiem. Chwile oprzytomnienia to czas stracony dla zbawiennej pustki nieświadomości. Uciekamy w permanentne odrętwienie, ponieważ to rozgrzewka przed śmiercią, stan mniej definitywny, taki, do którego przygotowujemy się, regularnie trenując przez całe życie. Sen nie wzbudza takiego lęku jak śmierć. Ale w istocie dzieje się tak tylko dlatego, że brak nam odwagi, żeby iść na całość. W depresji pragniemy umrzeć, nie mamy jednak ani energii, ani dość ambicji, by spełnić to, czego chcemy. Czasami komuś się udaje, ale to wyjątki. Z perspektywy czasu mogą stwierdzić, że depresja jest kurtuazyjną wizytą składaną śmierci, jednak nadmiernie przeciąganą, jak wtedy, kiedy gość nie zamierza wyjść, a nie sposób po prostu go odprawić.

Moja trwała około trzech miesięcy w stanie ostrym, który poprzedziły trzy miesiące stopniowego pograżania się, moment przerażającego rozchwiania, kiedy wszystko się wali, kiedy traci się punkty oparcia, grunt pod nogami, stabilność i nic nie można na to poradzić. W pewnym sensie to zrozumiałe. Kosmos unosi się w próżni: materia wisi w próżni. Wydaje się logiczne, że co jakiś czas uświadamiamy sobie, że pod nami jest bezdenna przepaść i spadamy. Depresja to uświadomienie sobie, że jesteśmy linoskoczkami balansującymi na niczym, na absolutnie niczym. A potem nagle znajdujemy się na samym dnie. Lęk przed kosmiczną próżnią wyraża się przez całkowitą inercję, także emocjonalną. Zawrót głowy na kosmicznej drabinie to apatia.

Aby się z niej wydobyć, trzeba znów iść do przodu, wykonując ten niesamowity numer ekwilibrystyczny.

Wyszedłem z letargu w grudniu ubiegłego roku. Co mnie obudziło? Enta emisja uosobienia braterstwa.

Przyjaciele. Hollywoodzka komedia sytuacyjna kontra przyprawiające o zawrót głowy upojenie planetarną metafizyką. Jeżeli Bóg zaplanował to na samym początku, to chcę być potępieńcem.

Jeden odcinek po długim desperackim skakanium po kanałach i

zrozumiałem, czym jest przynależność do grupy. Idea, że jest nas wielu. Ich poczucie humoru, ich podejście do życia. Tego dnia ja też zapragnąłem mieć takich przyjaciół, takie problemy jak oni i zdolność traktowania ich z tym pogodnym, czasem cynicznym dystansem. Angażować się, ale nie zatracać, dawać, ale bez poświęcania się. Żyć, nie myśląc wciąż o umieraniu.

Zawdzięczam ocalenie NBC. Przetrawianie - Chandlerowi Bingowi. Ten, kto jest patetyczny, powinien zdobyć się na bezgraniczny patos.

W tym momencie zapragnąłem mieć wokół siebie życie. Czuć, że sam żyję. I bardzo chciałem zrobić coś szalonego, pozbawionego sensu, tylko po to, żeby działać - bez powodu i bez celu. Być, żyć, robić.

Przez trzy miesiące jedyne zajęcie, na jakie sobie pozwalałem, a które dawało mi choć odrobinę przyjemności, polegało na jedzeniu obiadu w restauracji, w mojej kamienicy, gdzie klienci zasłaniają oczy opaską, żeby spożywać posiłek w całkowitej ciemności. To jeden z tych modnych lokali, które prześcigają się w eksperymentach, mieszają zmysły. Je się tam na oślep, od początku do końca absolutnie nie wolno zsunąć opaski. Ja rozdzierałem podszewkę mojej, żeby przez tę godzinę obserwować innych gości. Dodam, że sala była delikatnie oświetlona ze względu na kelnerów. Korzystałem z tego i podglądałem.

Kobiety i mężczyźni po omacku szukali sztućców, serwetek, często przechylając głowę na bok albo do tyłu, ich mózgi usiłowały skompensować brak widzenia, aktywizując obszary kory mózgowej, które odpowiadają za czucie albo ruch. Wszyscy mówili, nie widząc tego, do kogo się zwracali, słuchali w roztargnieniu, bo zbyt absorbowało ich odbieranie tych dźwięków, które mogły pomóc w ogarnięciu przestrzeni. Pozbawiono ich elementu świadomości.

Szpiegowałem tych ludzi nagle upośledzonych, trochę niezdarnych, rozbawionych, zakłopotanych, ale czerpiących spokój z pewności, że ta sytuacja jest chwilowa. Ten świat wygłodzonych, karmiących zmysły, nie widząc czym, i nie widząc, co naprawdę dzieje się wokół nich, dodawał mi otuchy. Nareszcie miałem wrażenie, że odzyskałem wzrok. Że był tu cały świat, najprawdziwszy, a ja nie oszalałem. Mimo to nie odczuwałem emocji, asystowałem, nie przeżywając. Patos faceta w depresji.

Po trzech miesiącach tego jedyne zajęcia czułem się sfrustrowany śmiechami, zadowoleniem, prostym szczęściem wywołanym rozrywką. I wtedy, w środku nocy, wyszedłem na swoją ulicę z małą skrzynką na narzędzia z Ikei, i zrobiłem najgłupszą, najbardziej

bezsensowną rzecz w życiu: odkręciłem wszystkie tabliczki z numerami domów, jedną po drugiej, i pozamieniałem je. Zacząłem numerować ulicę w przeciwnym kierunku, umieszczałem numery parzyste po stronie nieparzystej. W jedną noc zasiałem chaos, przeprowadziłem wszystkich w sąsiedztwie, nikogo nawet nie budząc. Nie twierdzę, że było to łatwe - trzeba było używać siły, ciągnąć, łamać, drażyć, kleić, kleić, ale w sumie byłem z siebie całkiem zadowolony, kiedy pojawili się pierwsi przechodnie.

Obserwowałem zbitych z tropu dostawców, zagubienie nowego listonosza i doręczyciela UPS, nieznających mieszkańców, kiedy czytali nazwiska na skrzynkach na listy, rodziców, którzy przyszli odwiedzić dziecko po niedawnej przeprowadzce do nowego mieszkania i ze zdziwieniem patrzyli na obcy dom, a wreszcie konsternację służb oczyszczania miasta.

To był drobny triumf złośliwca, uczynek prawie podły, ale tego ranka przywrócił mi uśmiech. Nie mogąc zmienić planety, zasiałem odrobinę zamętu na mojej ulicy, żeby ją do siebie upodobnić. O dziwo, poczułem się mniej samotny, bardziej zintegrowany ze społeczeństwem. Ta pełna zaskoczenia, jakby zdemontowana ulica stała się mostem między mną a resztą ludzi, a to było jak brodzenie po płyciźnie, żeby oswoić się z wodą i dopiero potem skoczyć na głębię.

Na początku następnego tygodnia przeistoczyłem się w dobrego samarytanina, ale dość osobliwego. Jeszcze nie wyzdrowiałem, do tego było daleko, ale wszystko zmierzało w dobrym kierunku - szukałem metod, testowałem je. Chciałem wkroczyć w sfery mroku i rozjaśnić je. Oczywiście, to metafora. Przemilczenia cywilizacji nie dawały mi spokoju i pragnąłem do czegoś się przydać, znów poczuć te niepowtarzalne emocje, jakich doznajemy, uświadamiając sobie, że mamy swoje zadania, że nasza obecność na Ziemi nie jest całkowicie pozbawiona sensu.

Dlatego zająłem się wszystkim, co stanowiło tabu. To tabu trzeba było przełamać, żeby nastąpiła poprawa.

Na przykład moi dziadkowie często mówili mi o swoich zaparciach. A tak, mamy takich przodków, na jakich zasługujemy. Tak czy inaczej, jako nastolatek z przerażeniem myślałem o starości, o przymusie spędzania długich godzin w ubikacji. A starość wyobrażałem sobie jako stan ciągłego zginającego wespół bólu kiszek i tkwienie w ciasnym, wyłożonym kafelkami klozecie ze stertą starych kolorowych pism ułożonych obok fajansowego sedesu. Wolałbym umrzeć młodo, niż przeżywać coś takiego.

Dlatego zaopatrzyłem się w strzykawkę i krążąc po pobliskim

supermarkecie, szukałem tych twardych herbatników z profilami różnych postaci odcisniętymi pośrodku - tylko starsi ludzie kupują te małe, niezjadliwe kamee, sprzedawane w torbach po dwa kilogramy. Działalem bardzo precyzyjnie i starannie - cienką igłą nakłuwałem opakowanie, żeby wstrzyknąć do niego odpowiednią dawkę środka na przeczyszczenie. Operacja była szybka i nieszkodliwa dla samej żywności, bo ciasteczka były tak paskudne, że nic nie mogło zepsuć ich smaku.

Robienie czegoś takiego może się wydać idiotyczne, ale wtedy bardzo mi pomogło. Uważałem się za wybawcę ludzi w podeszłym wieku z mojej dzielnicy. Powtarzałem tę operację wielokrotnie, a potem obserwowałem twarze starszków, których spotykałem na ulicy, oczekiwałem weselszych min, ulgi, pogodniejszych spojrzeń, ale na próżno. Dowiedziałem się natomiast, że w podstawówce wybuchła nagle epidemia niestrawności i zrozumiałem, że popełniłem błąd: dziadkowie nie jedli tych piekielnych herbatników sami, ale dawali je wnukom.

Nie mogąc ulżyć starości, rozwiązałem przynajmniej problem mojego dzieciństwa: te dzieciaki będą marzyły o starczym zaparciu.

Następnego wieczoru wybrałem się do małego kina w okolicy, żeby pozamieniać afisze z tytułami filmów na drzwiach poszczególnych sal. Wiedziałem, że upłyną sekundy albo nawet minuty, zanim większość widzów zorientuje się, że film, który właśnie się zaczął, nie jest tym, który chcieli obejrzeć. Ale ukryty w ciemnościach, patrząc na pierwsze sceny, miałem nadzieję, że większość okaże się zbyt leniwa, żeby wstać, wyjść i znaleźć właściwą salę. Był to równie dobry jak inne sposób szerzenia kultury, drażnienia gustów, pobudzania umysłów. Życie poprzez chaos.

Zdobyłem się na jeszcze kilka tego typu zachowań obywatelskich. W rzeczywistości dążyłem do wypełnienia doskwierającej mi pustki albo szukałem rozrywki - pozamieniałem plastikowe okładki powieści w bibliotece publicznej, żeby ktoś, kto wypożyczał powieść historyczną, przeczytał książkę science fiction, albo żeby tracąca myślką klasyka okazała się przerażającą fantastyką. Jako dziecko spędziłem tyle godzin na czytaniu lektur obowiązkowych, że na długo nabrałem wstrętu do literatury. Wyobrażałem sobie trzynastolatka, który ciężko wzdycha, sięgając po *Czarny chleb* Clanciera, i trafia na *Trzyznaście opowieści przerażających i erotycznych* - jak najpierw unosi brwi ze zdumienia, a potem dyskretnie się rozgląda, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy mu przez ramię, i z podnieceniem przewraca kartki, czując ów dreszczyk, który towarzyszy sięganiu po zakazany

owoc, a także niespodziewaną erekcję...

Po pewnym czasie doszedłem do bardzo niepokojącego wniosku: co prawda byłem na dobrej drodze do wyzdrowienia, ale czy naprawdę miałem powody cieszyć się, że wychodzę z depresji, wcielając się w podstępna istotę, która za główne źródło przyjemności uważa sianie chaosu - choćby na małą skalę?

Muszę przyznać, że przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie jestem opętany przez diabła. Czyż bowiem depresja nie otwiera przed Lucyferem drzwi do osłabionego umysłu? Tę hipotezę podważało tylko jedno: już od dawna nie wierzę ani w Diabła, ani w Boga. Nawet jeśli na wszelki wypadek, jak przystało na tchórza, wolę pisać ich imiona wielką literą - tam, gdzie idzie o sprawy tak ważne jak życie po śmierci, nie zaszkodzi być uniżonym...

Mimo wszystko nie czułem się winny. Nie byłem przestępcą, to, co robiłem, tylko nieznacznie szkodziło otoczeniu, a przecież wydobywało człowieka z przedśionka śmierci!

A poza tym szybko uświadomiłem sobie, że ta nowa mania polegała głównie na zamianie rzeczy. To musiało mnie zaniepokoić. Czy chciałem zamienić własne życie na jakiegokolwiek z tych, które widziałem wokół siebie? Nie. Poprzez sztubackie psoty wyrażało się głębokie pragnienie, prawdziwa potrzeba.

Moje życie już mi nie odpowiadało. Przespałem trzy miesiące po trwającej trzydzięści lat drzemce. To był kryzys egzystencjalny, któremu towarzyszyło całkowite odrzucenie wszystkiego, co mnie do tej pory formowało.

A ten odcinek *Przyjaciół* uświadomił mi właśnie, jakie znaczenie mają przyjaciele, z którymi wszystkim można się dzielić - zwłaszcza szczerymi uczuciami. Tylko że ja nie chciałem już swoich. Nie chciałem niczego, co było mną *przedtem*. Nie miałem pojęcia, czy to stan przejściowy, czy definitywny, ale wtedy odczuwałem to jako konieczność.

Po tygodniu postanowiłem więc, że już czas, bym znalazł nowych przyjaciół.

Żeby zrealizować ten cel, zacząłem szukać ludycznych rozrywek. Zapisalem się na kursy teatralne w 11. dzielnicy.

Powinienem był przewidzieć, że zaczynanie nowego życia od zabawy polegającej na udawaniu i manipulowaniu emocjami to kiepski pomysł.

Stało się, co musiało się stać.

Poszedłem tam i już pierwszego wieczoru straciłem kontrolę nad sytuacją.

Zabiłem swoją partnerkę.

Aktorstwo jest trochę jak pisarstwo: to forma sztuki niebezpiecznej dla zdrowia psychicznego, polegająca na rozwijaniu kontrolowanej schizofrenii i bawieniu się nią - testowaniu jej plastyczności, wytrzymałości i skali.

Pierwszym, co uderzyło mnie na tym kółku teatralnym, była moja partnerka.

Pozwólcie jednak, że zanim przejdę do sedna sprawy, opiszę wam scenerię. Na pierwszy rzut oka była to mała, nędzna sala, cuchnąca stęchlizną i duszna, a w niej dość nijacy ludzie. Fizycznie niepozorni, o znormalizowanej osobowości, wszyscy przyszli tu, żeby produkować kawałki fałszu, rozdzierając w sobie prawdę. Jeden wieczór w ich towarzystwie wystarczył, żeby mieć już pewność - nudziarze. Tak oceniłem ich w ciągu paru minut, spoglądając z wyżyn mojego wspaniałego mniemania o sobie. A jednak, kiedy wchodzili na scenę, niektórzy bardzo się zmieniali - w ich oczach rozpałał się blask, a wcielanie się w rolę pozwalało im nie być już sobą i to wyzwolenie sprawiało, że stawali się interesujący, czasem pasjonujący, chwilami wzruszający. W sumie nasuwające się wnioski wzbudzały gorycz - ci ludzie stawali się błyskotliwi tylko wtedy, kiedy przestawali być sobą.

Pamiętam, że pierwszego wieczoru, po dwóch godzinach patrzenia, jak defilują przede mną, siedzącym na ławce pod ścianą, powiedziałem sobie, że warto było tu przyjść, żeby zatracić resztki wiary w przeznaczenie. Bo ludzie nigdy nie mówią tak mądrze jak wówczas, gdy ktoś inny pisze im dialogi. Gdyby zaś istniało coś tak dziwnego jak przeznaczenie, należałoby uznać, że każdy nasz czyn jest z góry zaplanowany, podobnie jak jego konsekwencje, a także dyskusje. I z wyjątkiem sytuacji, w której scenarzysta ludzkości byłby skrajnie niekompetentnym osłem, nikt nie tolerowałby tak nijakich replik jak te, które co dnia rozbrzmiewają na świecie od zarania naszych dziejów. Oczywiście, zdarzają się wyjątki, ale ilu bełkoczących figurantów przypada na każdego Clemenceau i na każdego Churchilla? Być może na samym początku, kiedy tylko zaczęły się rodzic języki, kierunek był dobry, dialogi lepsze - wyobraźmy sobie więc te

genialne puenty, które nadawały rytm prahistorycznemu życiu, te cięte riposty, bogactwo wymiany poglądów, a nie będzie nas już dziwiło, że w dawnych czasach ludzie nie potrzebowali wynalazku, jakim był telewizor, żeby zapłacić sobie czas! Ale potem poziom zaczął gwałtownie spadać. Nie, naprawdę uważam, że nikt nie może za tym stać, bo taki poziom niekompetencji sprawiłby, że wszyscy wyznawcy religii w historii po uświadomieniu sobie, jak marnym twórcą jest facet kryjący się za Praekranem, odrzuciliby wiarę. Być może Wielkiemu Scenarzyście udało się to i owo na samym początku, ale potem każda jego suita była gorsza od poprzedniej. Wolę więc przyjąć hipotezę ateizmu, niż wierzyć w istnienie przeznaczenia źle napisanego i tego, że autor dał z siebie wszystko na początku, a potem całkowicie stracił natchnienie.

Pierwsze zajęcia dobiegały końca, kiedy facet odgrywający rolę nauczyciela - wyjątkowo wysoki i bardzo chudy, pod każdym względem przypominający wybrzeże Normandii (wszystko przerysowane: zbocza, falezy, skały) - wycelował we mnie szponiasty palec i rzucił na mnie czar.

- No, rusz się, twoja kolej - brzmiało to tragiczne zaklęcie.

Zacząłem od tworzenia swojego własnego języka, opartego na dziwnych dźwiękach: chrząkaniu, strzępach kiedyś francuskich słów, kawałkach sylab pochłoniętych przez moje własne gardło i zabójczych dla mojej godności.

Ale czarodziej Merlin nie ustępował.

- Nie jesteśmy w klubie ze striptizem. Przyszedłeś, żeby krytykować, to sam też wskakuj na scenę. Żeby zobaczyć, jak to jest.

Widziałem. Było kiepsko. I wcale nie miałem ochoty *poczuć*, jak to jest.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, wszystkie. Krytyk zaszachowany.

- Ale... ja nie znam żadnego tekstu - udało mi się wydukać.

- To nic, improwizuj byle co, powiedz, co ci przyjdzie do głowy, zagraj to. Ale zagraj z innymi. Julia, zagraj z nim.

Drobna rudowłosa dziewczyna stanęła na środku sceny i patrzyła na mnie, czekając, aż do niej dołączę.

Tego dnia zastanawiałem się, czy nie wolałbym ludzkości, która je po omacku, nikogo nie widząc, od tej, która czerpie przyjemność z patrzenia na innych małpujących cudze życie.

Stanąłem na wprost Julii i czekałem na swoją kolej.

- Zaczynaj - krzyknął Merlin - nie bój się! Powiedz, co ci się nasunie, nie zastanawiaj się, daj się ponieść emocjom!

Popatrzyłem na Julię - na rude pukle jej włosów, na duże, piwne oczy, na piegi - i pomyślałem, że jest ładna, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Przez chwilę usiłowałem nawiązać łączność z Wielkim Scenarzystą, bo choćby był najgorszy, mógł podsunąć mi jakąś kwestię, nawet jedną z tych, które wykreślił w ostatniej chwili, ale on, jak każdy dobry i szanujący się scenarzysta, przed południem spał i po osiemnastej zaczynał się bawić, więc nawet nie kiwnął palcem.

Merlin nie tracił jednak cierpliwości:

- Powiedz jej, co przeżywasz, podaruj jej swoje pierwsze słowa, jak daje się życie marionetce, a zobaczysz cud życia. Odpowie ci, odpłaci tym samym, emocje zaczną wędrować, łączyć się!

Wtedy zrobiłem krok w stronę Julii i powiedziałem:

- Jesteś bardzo ładna.

Tak jak przewidział Merlin, życie niosło niespodzianki. Dziewczyna odpowiedziała bez chwili namysłu - spoliczkowała mnie.

Więcej było z tego hałasu niż bólu, ale nie spodziewałem się takiej riposty. A zaskoczenie potęguje doznania, więc nagle poczułem się bezsilny.

- Jak możesz mówić mi coś takiego? - szczekała Julia. - Po tym, co zrobiłeś? Co *nam* zrobiłeś! Podły hipokryto! Durniu!

Ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie *déjà vu*.

Na moją klatkę piersiową posypała się lawina ciosów, więc cofnąłem się zdezorientowany, a potem odruchowo powstrzymałem jej drobne ręce, zamykając je w swoich.

- Ty łotrze! Śmieciu!

Julia płakała.

- Bar... bardzo mi przykro - powiedziałem beznamiętnym tonem.

Może jednak Wielki Scenarzysta spełnił moje prośby, bo rozpoznałem w takim poprowadzeniu wątku nudę i banał jego dzieł.

Tymczasem Julia stawiała się coraz ostrzejsza.

- Przykro ci? Jest ci przykro? Kurwa, trzeba było pomyśleć, zanim to zrobiłeś! Zrujnowałeś nasze życie! Zdeptałeś to, co nas łączyło!

Wulgarne i melodramatyczne. Zapowiedź burzliwej nocy i dnia w wisielczym nastroju. Brać nogi za pas. A przede wszystkim nie iść z nią do łóżka. Nigdy, nawet po pijanemu.

Zwłaszcza po pijanemu.

Jej ręce, które wciąż trzymałem, szamotały się.

- Uspokój się! - rzuciłem. - Przestań krzyczeć, tym ciągłym wrzaskiem doprowadzasz mnie do szału.

Oswajałem się z sytuacją. To wcale nie było takie trudne. Miałem

wrażenie, że dopiero to przeżyłem, że przesładuje mnie echo własnej przeszłości.

- Ale nie przeszkadzało ci, kiedy tamta kurwa krzyczała, co?

- Przestań!

- Powiedz, dlaczego to zrobiłeś? Co ci we mnie nie odpowiadało? Co było z nami nie tak? Nie byłem dość dobra? Nie trulałem, kiedy wychodziłeś z kumplami! Pozwalałem ci siedzieć godzinami przed telewizorem, grać w te twoje gry komputerowe, biegać popołudniami na kretański karting i nigdy nie zawracałem ci głowy! Robiłem zakupy, bo ty tego nie lubiłeś, nie chodziliśmy już w niedziele do moich rodziców, bo miałeś tego dość, więc powiedz mi, w czym tkwił problem? A w łóżku? Nigdy nie odmówiłem, kiedy chciałeś się pieprzyć! Ani razu przez pięć lat! Więc czego ci brakowało? Nie byłem fajną, wyluzowaną laską? Taką, która nie truje? Byłem przy tobie, kiedy chorowałeś, kiedy miałeś doła, kiedy pokłóciłeś się z siostrą. Zawsze byłem przy tobie i nie robiłem zamieszania. I jak mi się za to odwdzięczyłeś? Przeleciałeś moją najlepszą przyjaciółkę!

Echo rozbrzmiewało coraz wyraźniej. Tak potężne, że przeniknęło mnie i zdominowało rzeczywistość.

Łzy tryskające z oczu zalewały jej twarz i zacząłem się bać, że zmyją te urocze piegi.

- Nie wiem, co powiedzieć...

Mówiłem prawdę - ta gra mnie przerosła.

A ją to jeszcze bardziej zdenerwowało. Uwolniła ręce, które trzymałem, i cofnęła się, żebym mógł patrzeć na jej wybuch.

- To pomyśl, do jasnej cholery! Pomyśl. Należą mi się wyjaśnienia!

Poczerwieniała na twarzy, jej oczy zasnuły się łzami.

- Ale... ja nie wiem. Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć, to nie ja...

- Nie ty?! - wrzasnęła. - Nie ty? Jeszcze sobie ze mnie drwisz? Może to nie ty wsadzałeś w nią fiuta, co? W takim razie ta ręka nie jest moja!

I znów strzeliła mi w twarz. Ostro, boleśnie.

- Przestań...

Kolejny policzek, z drugiej strony, pewnie dla symetrii kolorów - Julia myślała o wszystkim.

- Nadal twierdzisz, że to nie ty?

Walnęła mi otwartą ręką w nadgarstek, a potem zaczęła okładać.

- Ej!

W końcu chwyciłem ją w ramiona i przycisnąłem do siebie, żeby nie mogła mnie dłużej bić. Najpierw się szarpała, ale szybko skapitulowała, poddała mi się. Oparła czoło o moje ramię i rozplakała się, teraz już bez gniewu - po prostu zalała mnie łzami, gęstym sokiem rozpachy gorącej jak serce, które pulsowało na mojej skórze.

- To nie twoja wina - powiedziałem wtedy zupełnie spontanicznie. - Takie jest życie. Nie chciałem tego, po prostu... sam nie wiem. Nie jestem szczęśliwy, nic nie możesz na to poradzić. Nie stałem się tym, kim chciałem być.

Słowa płynęły same, a ja nie powstrzymywałem już ich strumienia.

- Nie wiem nawet, kim tak naprawdę jestem. Robię rzeczy, które nie dają mi spełnienia. Jestem z tobą z przyzwyczajenia, dlatego że monotonia naszej codzienności uspokaja mnie, choć równocześnie męczy. Spotykam się z kumplami, bo tak jest od lat, i robię to, nawet jeśli nie mam ochoty marnować z nimi czasu. Rodzice myślą, że jestem kimś innym, że się rozwijam, że się ustabilizowałem, że można na mnie polegać, a ja nigdy nie pokazałem im prawdziwej twarzy, aby ich nie rozczarować, więc nie mogę na nich liczyć, kiedy jest mi źle. Przespałem się z twoją przyjaciółką, bo często się brandzlowałem, myśląc o niej, i miałem już dość takiej namiastki. Bo twoja vagina zaspokaja mojego kutasa, ale nie moją głowę. Wiem, że to podłe, niesprawiedliwe, ale tak to wygląda. Chciałaś poznać całą prawdę. Poznałaś.

Wtedy Julia wydała nieludzki wrzask. To był głos z zamierzchłej przeszłości, z pradawnych czasów, wycie rannego zwierzęcia, które kona, rozdzierająco charcząc.

Potem, wciąż krzycząc, obrzuciła mnie obelgami. Krzyczała bez końca. Jej przejmujący głos stawał się coraz bardziej agresywny, świrdował, niemal ranił mi bębenki uszne. Byłem bliski szału.

Przyznam, że nie pamiętam już dokładnie, co potem mówiliśmy, ale oboje krzyczeliśmy, głośniejsze i głośniejsze. Podczas tej długiej kłótni, wcale się nie słuchając, wylewaliśmy z siebie wszystko. Nie rzucaliśmy słów po to, żeby ktoś je usłyszał, ale po to, żeby wyrzucić je z myśli, z ciała, żeby je z siebie wypędzić. Jad się wylewał.

To trwało dość długo, pociliśmy się, brakowało mi tchu, straciłem kontrolę nad sobą, a piskliwy głos Julii przyprawiał mnie o dreszcz odrazy. Kręciło mi się w głowie, dudniło mi w skroniach, bałem się, że ból rozsadzi mi głowę.

Pamiętam, że chwyciłem wtedy któreś z akcesoriów zostawionych na półce na scenie - rewolwer.

I strzeliłem, celując w serce Julii.

Nie wiem, czym naładowali tę broń, ale huk rozległ się w całej sali - złowrogi i potężny. Nacisnąłem spust jeszcze raz, a potem znowu i znowu.

Julia grała do samego końca - cofnęła się po pierwszym strzale, jej oczy zamarły, pełne zdumienia. Uniosła rękę do serca, z zadziwiającym realizmem wyrażając zaskoczenie, a potem ból. To nie było cierpienie fizyczne, ale duchowe.

Po każdym strzale cofała się, aż osunęła się na kolana i upadła, a jej zgaste źrenice zwróciły się ku nicości.

Wtedy skierowałem lufę w swoją stronę i bez wahania strzeliłem sobie w skroń. Rozległ się ogłuszający huk, ale ja, o dziwo, wciąż stałem. Coś pękło w mojej psychice, fizycznie jednak się nie poddałem. Śmierć nie była we mnie jednomyślna, niektóre cząstki mojego jestestwa nie chciały konać tu, na scenie. Komedia miała swoje granice. Metafora sztuki była mi bliższa niż sztuka realizmu.

Dym z kapiszonów unosił się nad bronią.

Drżały mi nogi.

Ktoś w sali zaczął bić brawo, inni poszli w jego ślady.

Julia podniosła się i spojrzała na mnie, nieco zawstydzona, a tonąca w ciemnościach sala fetowała triumf naszej dramy.

Oboje czuliśmy się puści. Uwolnieni. Świadomi, że odegraliśmy coś więcej niż tylko improwizację.

I właśnie wtedy wpadłem na ten typowo męski pomysł - dopełnić katharsis.

Przelecieć Julię.

Bez wątplenia był to bardzo zły pomysł. Prawdę mówiąc, to było coś znacznie gorszego. Czyż jednak nie taka jest cena oczyszczenia naszych namiętności?

A mnie rozpałiło pożądanie.

Kłątwa, powiedziałem, zaczynając te zwierzenia.

Bo wszyscy, do których przywiązałem się w nowym życiu, wszyscy bez wyjątku, odeszli albo umarli.

A kiedy mówię: umarli, to mam na myśli to, że ich serca przestały bić, ich krew zgniła, ich narządy wyschły, a ich mózgi są dziś tylko grudką zrogowaciałej materii, łamliwej jak gąbka, która od lat nie wchłonęła ani kropli wody. Umarli nieznośną, nieodwracalną śmiercią, brutalną i niesprawiedliwą.

Odbudowując przed rokiem swoje życie, obraziłem kosmos, wyłamałem się z dokładnie wytyczonej trajektorii mego losu i myślę, że w jakiś sposób zaburzyłem ogólną dynamikę - na tyle, by życie starało się ukarać mnie za to albo naprowadzić na właściwą drogę. Przedtem stanowiłem element systemu, wszystko było w porządku, ale wyłamałem się, pozwalając sobie na akt buntu, i mam wrażenie, że teraz nic już do niczego nie pasuje, a los chce na mnie wymusić powrót na wyznaczone miejsce. Albo samozniszczenie.

Pierwszą osobą, do której się przywiązałem (w każdym tego słowa znaczeniu), zaczynając od nowa, nie była Julia, ale jej najbliższa przyjaciółka.

Biorąc pod uwagę nasze pierwsze starcie na scenie, można uznać tę sytuację za dość komiczną. Wskazuje to zresztą, że zmysł współzawodnictwa u kobiet dominuje, i to zdecydowanie, nad poczuciem moralności.

Tę mizoginiczną uwagę mógłbym zrównoważyć stwierdzeniem, że mężczyzna, kiedy chodzi o jego jaja, zachowuje się jak nieetyczny wieprz, który żyje wyłącznie po to, żeby spuścić się w dowolny sposób, kiedy się podnieci. Jeżeli w to wątpicie albo resztki purytyzmu powodują, że ta opinia was oburza, pomyślcie choćby o powodzeniu pornografii, odkąd Internet umożliwia każdemu oglądanie tego, na co ma ochotę, bez kompromitujących wizyt w sex-shopach. Około pięćuset milionów osób odwiedza co miesiąc fora porno. Pięćset milionów ludzi co miesiąc. Biorąc pod uwagę liczbę istot ludzkich mających dostęp do Internetu na świecie, dzieci i starców, którym

pozostały tylko wspomnienia o ejakulacji i nie liczą się już w tej konkurencji, to zapewne blisko 90 procent populacji męskiej w wieku od piętnastu do siedemdziesięciu lat. Toteż nie mówmy lepiej o purytanizmie... W sumie, o ile kobiety kształtowane są przez społeczność, która od urodzenia nabija im głowy mitem księcia z bajki, to faceci pozostają zwierzętami, jakimi byli od początku, choć w miarę wyedukowanymi. Żyjąc w związku, kobiety odkrywają, że ich prawdziwa rola polega na trosce o tę edukację, na dbaniu, by ich mężczyźni prawidłowo funkcjonowali w społeczeństwie i zachowywali się jak ludzie cywilizowani, chociaż instynkt nieustannie skłania ich do zachowań prymitywnych. Prawdopodobnie dlatego mężczyźni lubią mieć w domu psa - wtedy nie są osamotnieni, a może daje im to poczucie, że oni także mają w rodzinie trochę autorytetu... przynajmniej u zwierzęcych członków swego stada. Pod wspólnym dachem każdy ma swoją pozycję: kobieta na szczycie piramidy cywilizacji, pies na samym dole, mężczyzna pośrodku, a kot... ten zбочeniec gapi się na wszystkich i całymi dniami wylizuje intymne części ciała.

Jak powiedziałem, kiedy kobieta spotyka mężczyznę spełniającego *na papierze* (tym niuanssem posługują się faceci, uwodząc) kryteria wyznaczone dla księcia z bajki, gotowa jest na wszystko, byle ów mężczyzna wsunął na jej palec małą, ale jakże pożądaną obrączkę. Wyobraźcie sobie trzy samotne koleżanki, które spotykają mężczyznę o wszystkich cechach „idealnego”, a ów mężczyzna zachowuje się tak, jakby interesował się nimi trzema i nie umiał wybrać jednej. Tylko nie zapomnijcie zaopatrzyć się w popcorn, żeby w pełni nacieszyć się widowiskiem. To nie ich wina, tak są wychowywane, a im są starsze, tym częściej przekonują się, jak straszna jest prawda: o ile na świecie roi się od ropuch, to księcia z bajki trudno spotkać na ulicy. Szybko godzą się z rzeczywistością i już wiedzą, że jeśli jakiś wpadnie im w oko, to nie mogą pozwolić, żeby poszedł do konkurentki, choćby była nią serdeczna przyjaciółka albo rodzona siostra. Na takim pustkowiu trzeba polować i myśleć o sobie, a biada tej, która stanie się wieczną druhną innych.

Dziesięć dni po wyjściu z depresji i dwóch spotkaniach kółka teatralnego byłem już zdolny odczuwać szczęście. Wiecie, jak się o tym przekonałem? Po prostu tego ranka wstałem i włączyłem wesołą muzykę, podśpiewywałem, myjąc się i wybierając ciuchy, zupełnie jak radosny nastolatek. Przypomnijcie sobie, kiedy ostatnio wam się to zdarzyło.

Ja włączyłem *The Power of Love* Huey Lewisa i wylem ze szczoteczką do zębów w ustach, a potem tańczyłem z kijem od szczotki i z

parą skarpetek, które zwinąłem, żeby przypominały mikrofon. Mieszkanie zamieniło się w scenę. Śmieszność, godność - to wszystko w takich chwilach uważa się za pojęcia ze świata zblazowanych facetów, chyba że okno jest otwarte i sąsiad przyłapie nas na wygłupach, wtedy trzeba zasłaniać się szaleństwem, bo w naszym świecie lepiej już dać się przyłapać na masturbacji niż na bezpodstawnej radości.

Wieczorem po teatrze zaproponowałem Julii, żeby wybrała się ze mną do Hippopotamusa na Châtelet na szybką kolację.

- Przykro mi - odparła łagodnym głosem, który zupełnie nie pasował do furii wrzeszczącej na mnie za pierwszym razem na scenie - idę dziś na urodziny mojej najlepszej przyjaciółki. Jeżeli masz ochotę, możesz pójść ze mną.

W ten sposób skazała się na poniżenie.

Staralem się nie zwracać na siebie uwagi, kiedy wchodziliśmy do restauracji. Czułem się nieco onieśmielony, zapomniałem już, jak radzić sobie na takich imprezach, zatrałem wprawę w stosowaniu zasad życia normalnych - albo sprawiających wrażenie normalnych - ludzi. Julia przedstawiła mi dość zdawkowo, a zarówno sposób, w jaki to zrobiła, jak i istniejący między nami dystans, uniemożliwiały innym domyślenie się, że jesteśmy razem. Zastanawiałem się nawet, co tam właściwie robię.

Potem Julia wskazała mi bohaterkę dnia - Ophélie.

Kiedy podchodziliśmy, Ophélie wybuchnęła dźwięcznym, melodyjnym śmiechem, rozbawiona dowcipem opowiadany przez kogoś z jej prawej lub lewej strony - to bez znaczenia. Ten śmiech był cudowny, spontaniczny, płynął z głębi, wydobywał się przez otwarte gardło, rozwarłe zęby, przy odsłoniętym języku. W tym momencie zapragnąłem zrobić coś z tą dziewczyną. Byłe co. Moglibyśmy poletać na paralołni, pójść do muzeum, zjeść kolację na statku spacerowym na Sekwanie, kochać się, pojeździć rowerem, zrobić sobie piknik w Biosferze w Montrealu, wypchać jej zdechłego psa - cokolwiek, byle zostać sam na sam, tylko we dwoje.

Podobało mi się w niej wszystko bez zastrzeżeń, kiedy tak się śmiała. Otwartość jej emocji, jasne loki, szczere spojrzenie, zadarty nos, urok, niebieskie oczy, elegancja, z jaką się poruszała, usta zaprojektowane przez Pininfarinę zgodnie z regułami aerodynamiki prawdziwej miłości. Słowem, zachwyciłem się nią, a potem zobaczyłem jej dekolt i zapragnąłem natychmiast się z nią ożenić.

Odwróciła się do mnie, jeszcze się śmiejąc, a Julia zaraz mnie przedstawiła:

- Ophélie, to Pierre, przyjaciel z teatru.

Ophélie mnie zobaczyła i chętnie powiedziałbym, że przebiegł mnie dreszcz, ale nie chcę kłamać. Przelknęła tylko ostatnie okruchy śmiechu, żeby się ze mną przywitać.

- Od dawna? - zapytała.

- A nie, nie! - Julia powiedziała coś w tym rodzaju i dorzuciła: - Pierre i ja nie jesteśmy razem.

Cień niedowierzania prześlizgnął się po ślicznej buzi Ophélie. Zastanawiała się, co tu robię, jeśli nie jestem dla Julii potencjalnym kaskiem.

Uznałem, że muszę jak najszybciej rozwiać takie wrażenia, żeby drzwi nie zamknęły się przede mną już na zawsze.

- Jestem pani prezentem - powiedziałem, głupio się uśmiechając. To było pierwsze, co przyszło mi na myśl.

- Słucham?

Ciągnąć. Natychmiast. Nie tracić konceptu. Zabłysnąć przed tą wspaniałą dziewczyną. Wymyślić coś. Byle co.

- Julia nie wiedziała, co pani podarować, wahała się, przeglądając różne seksgadżety i w końcu wybrała mnie. Nie mam kokardy, ale jestem praktyczny, można mnie odłożyć w jakiś kącik, nie trzeba mnie czyścić po użyciu, bo robię to sam.

Ophélie była zaskoczona i potrafię to zrozumieć, bo zaskoczyłem nawet siebie. A potem roześmiała się tak uroczo jak wcześniej. Skinąłem jej głową i poszedłem usiąść, powtarzając sobie: „Ale to mnie dureń!”. Nie potrafiłem wymyślić nic lepszego niż sekszabawka! Porażające.

Julia przez cały wieczór nie odezwała się do mnie ani słowem.

Dopiero kiedy pracownicy restauracji zgromadzili się przy naszym stole, zrozumieliśmy, że chcą zamknąć lokal. Kiedy już część gości rozproszyła się po pobliskich ulicach, mogłem znów zbliżyć się do Ophélie.

Prawdę mówiąc, to ona podeszła do mnie. Dyskutowałem o inteligencji szczurów i ich instynktach społecznych z facetem tak przesiąkniętym alkoholem, że właściwie mówiłem do siebie, kiedy położyła mi rękę na ramieniu:

- Cześć, mój seksgadżecie - rzuciła.

Nie zdołałem nic z siebie wydusić, a gdybym mógł, kwiknąłbym jak te kretyńskie zabawki, które daje się psom.

Piła, jej oddech był przesączony zapachem wódki, a w jej głosie wyczuwało się tę swobodę i brak dystansu kobiety pijanej.

- Julia już poszła? - zapytała.

- Tak, jakąś godzinę temu. Chyba musi dokończyć na jutro jakąś książkę.

Praktyczny podręcznik dla chcących zostać lesbijkami, ponieważ wszyscy mężczyźni to głupie świnie.

- A ty nie?

- Nie, ja nie.

- Znalazłeś sobie nowych przyjaciół?

- Nie. Rozmawiamy, bo usiedliśmy obok siebie i utknęliśmy tu, a inni byli pijani.

- To po co jeszcze tu siedzisz?

- Żeby się reklamować.

W końcu zdecydowałem, że muszę do końca trwać przy moim zwariowanym pomysłem. Choćbym miał zrobić z siebie idiotę, aby nie zostać tym idiotą na stałe.

- Nie - rozumiem.

- Jako pani sekszabawka. Zabiegam o wyjątkowe miejsce, a może nawet o wyłączność na jedną z szuflad pani komody, chcę być wyjmowany w wieczory głębokiej depresji albo kiedy wystawi panią do wiatru jakiś facet.

Ophélie uśmiechnęła się. Była tak naturalna, tak piękna.

- Zaczynaj od zwracania się do mnie po imieniu.

- Nie zależy mi na tym.

Uniosła brwi.

- Dlaczego?

- Kwestia ambicji.

- Nie bardzo rozumiem.

- Skoro dopiero zacząłem pani służyć, nie chcę zbyt szybko się spoufalać. Najpierw chcę panią poznać, chcę, żebyśmy o siebie zabiegali, żebyśmy stopniowo się ze sobą oswajali, delektując się każdą chwilą wzajemnego odkrywania siebie, ponieważ żadnego pokonanego etapu nie da się już powtórzyć, a im dalej zajdziemy w eksploracji drugiego, tym mniej terytoriów zostanie do podbicia. I tak aż do dnia, kiedy zakończymy podróż. Dlatego nie chcę się spieszyć. Być może będę kiedyś mówił do pani per ty, ale wtedy już nigdy nie przejdziemy na pan i pani, bo to nie będzie miało sensu, bo to by było zupełnie jak ograniczanie się do pocałunków do końca naszych dni po tym, jak się zasmakowało rozkoszy orgazmu. Dlatego nie chcę za szybko pokonywać tego etapu.

Ophélie przechyliła głowę na bok, wzruszona.

- Rozumiem, to urocze. Ale bardzo pretensjonalne. Dlaczego pan uważa, że pokonamy razem którykolwiek etap?

- Bo słyszałem pani śmiech.

Zmarszczyła nos, nie rozumiejąc.

Dodałem:

- Doskonale pasuje do mojego milczenia. Mamy obowiązek sprawdzić, czy jeszcze coś w nas tak idealnie do siebie pasuje. I nie mówię wyłącznie o seksie.

Zaśmiała się, lekko rozbawiona.

- Niech pan wymieni jedną ze swoich największych pasji - poprosiła.

- To ta, którą przeżyjemy.

Łatwe.

- A co jest pani pasją?

- Robię obrazy ze zdechłych much. Jak David Lynch.

Ta kobieta była dla mnie stworzona.

- Niech pani za mnie wyjdzie.

Zaskoczenie.

- Przed chwilą chciał pan być moją sekszabawką, a teraz prosi mnie pan o rękę? Naprawdę za panem nie nadążam...

- To dlatego, że dzisiejsze kobiety nie mają już szacunku do tego, co ułatwia im życie. Myślę na przykład, że należy wprowadzić obowiązek chrzczenia wibratora.

- Chciałby pan, żeby chrzczono wibratory? - powtórzyła, patrząc na mnie sceptycznie.

Zaczynałem ją tracić.

- Tak. Ale nie w sensie religijnym, chociaż zabawnie byłoby zobaczyć minę księdza w kościele... Chodzi mi o nadanie mu imienia. Tak powinna robić każda kobieta. „Wiesz, dziś wieczorem wyjmę Huberta z szuflady” albo „Stefan nigdy mnie nie rozczarował”. To całkiem niezłe brzmi, prawda? I to też: „Szybko, dzieciaki zaraz wrócą, a nie chciałabym, żeby zobaczyły Rogera!”. Słowem, chodzi o personifikację przedmiotu, o tchnięcie w niego życia. A ja jestem dla pani tym wszystkim. Będę pani Pierre'em, gdzie i kiedy pani zechce. A ponieważ tak idealnie do siebie pasujemy, przejdźmy od razu do istoty rzeczy: pobierzmy się, a do końca życia będzie mnie pani miała pod ręką.

- Chyba chciał się pan delektować każdym etapem?

- Przeżyjemy je jako migawki, dzięki temu wszystko pozostanie enigmatyczne, a jednak ułatwi nam ożywanie wspomnień w związku.

Myślę, że ostatecznie się spaliłem. Ten pomysł z nadawaniem imion wibratorom był przesadą jak na pierwsze spotkanie. Jestem durniem nad durniami, nie tak to planowałem.

Alkohol działa na nasze mózgi, ale ona nie wypła dość, żeby stracić kontrolę nad sobą. Spodziewałem się, że uśmiechnie się do mnie zażenowana i pójdzie, ona jednak się zawahała, wydeła usta i rzuciła:

- Zacznijmy od kolacji. W piątek wieczorem, o ósmej, na placu de l'Odéon.

Z Ophélie od początku wszystko grało.

Ale oczywiście nic nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać, kiedy się o tym opowiada.

Myślę, że już czas, żebym przedstawił wam mojego psychoterapeutę.

Nie istnieje więc między pacjentem a jego psychoterapeutą relacja, która ma w sobie coś z religii? Ślepa wiara, wiara w obietnicę dobra najwyższego, nadzieja na wewnętrzny spokój w zamian za prawdziwe oddanie, pod warunkiem że stosuje się zalecenia, które tak można by streścić: „Moje słowa są drogą, która wiedzie do szczęścia, do lepszego samopoczucia”.

Istnieje, ale...

Mój psycholog wcale taki nie jest.

Mój psycholog to kuchenka z piekarnikiem.

Przenosi z zimna w ciepło, doprowadza do wrzenia, dusi, ścisza, miażdży, splukuje z delikwenta brud, żeby potem jeszcze bardziej go ubabrać, męczy, ćwiartuje, bije, przycina, uciera, łamie, żywcem odziera ze skóry, odcedza, zawija, tłamsi, mrozi, sznuruje, klaruje, ubiera, znowu odcedza i ogląda.

Przy okazji zastanawiam się nad zbieżnością między terminologią kulinarną a nazewnictwem ludzkich emocji - może istnieje wola antropofagów, by siekać uczucia, żeby lepiej je przyswoić?

Myślę, że psychoanalitycy są kanibalami.

Mój otwiera mi głowę, żeby nasycić się ciepłym mózgiem.

Tworzą plemię żyjące na marginesie ludzkości, by lepiej ją obserwować, smakować i pożerać jej cierpienia. Często zastanawiałem się, dlaczego psychoanalitycy tak lubią spotykać się na seminariach i konferencjach, których tematy są niezrozumiałe, ale w końcu zrozumiałem, że w rzeczywistości są to plemienne zjazdy. Nie rozumiałem, co mogą sobie opowiadać po opuszczeniu amfiteatru, kiedy skupiają się w grupkach, ale teraz już wiem - wymieniają się dobrymi przepisami. „Nie jadłeś nigdy depresji w potrawce? Zaczekaj, zaraz ci powiem, jak ją przygotować...”

- Ja najbardziej lubię porzucone przez niewiernego męża kobiety koło pięćdziesiątki! Przy dobrym reality show, na mojej sofie, to prawdziwy przysmak!

- Nie! Wdowa! Nie ma nic tak rozkosznego jak wdowa, zwłaszcza młoda, z małym dzieckiem, a do tego cudzołóstwo - starczy tego

na długą ucztę...”

W kosmosie obowiązuje podstawowa zasada, jedyna, która odnosi się do wszystkich dziedzin nauki bez wyjątku. Kiedy zna się tę zasadę, wiele, naprawdę wiele rzeczy automatycznie się wyjaśnia.

W kosmosie nic nie ginie. Nic. Wszystko podlega transformacji, wymianie, łączeniu, ale nic, ale to nic, nie może zginąć. Ruch zamienia się w energię, światło w ciepło, woda w parę i tak dalej. A złe promieniowanie emocjonalne w niszczycielskie popędy.

Po to zostali stworzeni psychoanalitycy. Żeby utrzymać cywilizację w równowadze. Pewnego dnia, dawno temu, kiedy mężczyźni zdali sobie sprawę, że wszystkie ludzkie problemy piętą się jedno na drugim i że nikt nic z tym nie robi, co rodzi ryzyko, że w końcu przytłoczą nas zwały ludzkich cierpień, zrozumieli, że trzeba znaleźć sposób, by poddawać to wszystko recyklingowi. Człowiek podąża drogą ciągłego rozwoju znacznie dłużej, niż nam się wydaje, i kieruje się potrzebami. Najpierw wymyślono rozrywkę - opowieści wyrażane słowem bazarza albo na scenie jako komedia, ujmowane w książkach i tak dalej - jedną z metod przedstawiania problemów życiowych, zamknięcia ich, rozgryzienia, żeby się z nich śmiać, nabrać do nich dystansu, lepiej je zrozumieć. Umożliwiło to nie tylko ich wskazanie i analizowanie - rozrywka przynosi też ulgę, jest zaworem bezpieczeństwa, oczyszcza, ale nie rozwiązuje problemu. Toteż ludzie zrozumieli, że znaleźli się w ślepych zaułku i że jeśli szybko nie zajmą się przetwarzaniem swoich metafizycznych odpadów, to te przeobrażą się w coś znacznie gorszego i zaszczą ich przyszłości. Dziś zastanawiamy się, co począć ze zużytymi materiałami nuklearnymi, ale żeby dojść do tego stadium, trzeba było wymyślić fabryki recyklingu mentalnego - psychoanalityków.

Psychoanalitycy wchłaniają odpady wytwarzane przez cywilizację. Zostali wymyśleni do zjadania duchowego łąjna naszej społeczności. I stąd bliskość terminologii emocjonalnej i kulinarnej. Takie jest moje zdanie.

Nasze relacje z psychoanalitikami to zależność. Bez nich pływalibyśmy w mózgowym bajorze, nasz świat nie mógłby osiągnąć obecnego kształtu - nie byłby tak rozległy, tak solidny, nawet mimo swych niedoskonałości. Przez stulecia religia - choć nieudolnie, ale jednak - spełniała to zadanie, i stąd wzięły się związki, jakie dostrzegamy między nią a psychoanalizą, ale w erze rozrywki i apoteozy lenistwa, a także wszechmocnej nauki trzeba było zmodernizować katalizatory czarnej materii naszych emocji. Gdyby nie psychoanalitycy, żylibyśmy na planecie istot przytłoczonych, załamanych,

zmuszanych i zmuszających, jak facet, który od dwóch tygodni nie był w wychodku, bo jego umysł zanurzył się w zakażonym płynie mózgowo-rdzeniowym.

Pomyślcie, że przypisuję im bardzo duże znaczenie. Przyznaję - macie rację. Ale w naszym współczesnym społeczeństwie odegrali moim zdaniem zasadniczą rolę, która wyjaśnia w pewnej mierze błyskawiczny rozwój człowieka i jego myśli - coraz bardziej kreatywnej przez ostatnie stulecie. Psychoanalitycy uwolnili intelekt od części jego obciążeń, sprawili, że jesteśmy bardziej czystszy, a przede wszystkim bardziej skuteczni. To chyba sporo.

Tylko że mój psychoanalitik jest rebeliantem. To brzydkie kaczątko stada, secesjonista, prowodyr schizmy kanibali.

Zazwyczaj, jeśli się ma normalną osobowość, chodzi się do psychoanalitika, żeby czuć się lepiej. Mój dba o trwałość mojego nieszczęścia. Jakby chronił gatunek zagrożony wyginięciem.

Mój psychoanalitik to WWF czarnej strony człowieka.

Uznał to za swoje posłannictwo. Żeby mój ból egzystencjalny trwał, żebym znalazł dla niego uprzywilejowane miejsce pośród priorytetów życiowych, żebym wystrzegął się nadmiaru szczęścia wolnego od rozterek. To kwestia równowagi. Jego ulubione słowo. *Równowaga*.

Pewnie powiecie, że jestem stuknięty, skoro lecę się u takiego szaleńca, sęk w tym, że niedawno przestałem do niego chodzić. Kiedy nastąpiła wielka zmiana w moim życiu, gdy dopadła mnie depresja i podjąłem nowe decyzje, zerwałem wszystkie mosty łączące mnie z dawną egzystencją. Także z moim psychoanalitikiem.

Wszyscy to zrozumieli, wszyscy uszanowali mój wybór, choć było to bardzo trudne. Rodzina, przyjaciele - wszyscy. Z jednym wyjątkiem.

Nęka mnie mój psychoanalitik. Dzwoni na moją komórkę i pyta, jak się miewam, nakłania, żebym znów do niego przychodził i rozmawiał. Nie wiem, jak to zrobił, bo nie podałem mu nowego numeru. Domyślam się, że dobry psychoanalitik ma powiązania z policją albo coś w tym rodzaju. Tak czy inaczej, nie minęło nawet dziesięć dni mojego nowego życia, kiedy rozdzwoniła się komórka i usłyszałem jego głos. Głos, który wie o mnie wszystko, który brzmi nieco inaczej, zniekształcony, a odzywa się w najgorszym możliwym momencie.

Jakby dzwonił sam Bóg.

Pierwszego dnia po prostu się rozłączyłem. Miałem dość presji, nie chciałem, poczułem się uwięziony. Drugiego słuchałem go, nie

odpowiadając. Trzeciego powiedziałem mu, żeby nigdy więcej nie dzwonił. Ale on zrobił to znowu. Tego samego dnia zgłosiłem to na policję, jednak moja skarga nic nie dała.

Zostawiał mi długie wiadomości, jedną po drugiej, bo nawet skrzynka głosowa nie mogła znieść jego głosu dłużej niż przez trzy minuty. Połączenie się rwało. Czasami pisał SMS-y.

Pierre, co z tego, że zmieniasz swoje życie, Ty i tak nie stałeś się inny. Zaczynać od zera bez rozwiązania problemów, to jak cofnąć się, żeby nabrać rozpędu i... skoczyć w przepaść. Po prostu zamiotłeś wszystko pod dywan. Pozbieraj się. Liczę na Ciebie. Wiedz, że jeszcze jest nadzieja. Razem możemy osiągnąć sukces.

Wciąż tego rodzaju głupoty. Wiedziałem, że według niego „pzbierać się”, to wywlec wszystko, co we mnie najgorsze, żeby babrać się w tym godzinami, żeby się przekonać, że nic nie jest dobrze i że - cokolwiek bym zrobił - nic nie będzie dobrze. Na tym polegała ta jego perfidna metoda. Wmawiać, że się leczy, wygrzebując wszystkie stare trupy z czyjegoś ogródka. A w moim przypadku, gdyby mu wierzyć, oznaczało to ekshumację całego cmentarza. Moja głowa była jak Père-Lachaise, Arlington i Miasto Umarłych razem wzięte.

Mój psychoanalityk zatrzymywał mnie w przeszłości, żeby zatruwać mi teraźniejszość i odebrać przyszłość. Ten typek cierpi na fobię przyszłości i wydaje mi się, że nigdy nie wypowiedział do mnie zdania w czasie przyszłym. Woli krystalizować łajno, zamiast pomagać w jego rozkładzie, który pozwoliłby się od niego uwolnić. Robi sobie z tego coś w rodzaju stałej ekspozycji w głowie pacjenta i uwielbia zwiedzać ją razem z nim, komentować każdy eksponat, choćby oglądał go już wiele razy. Tak, prawdopodobnie postrzega pacjentów jak małe objazdowe muzea. Wyobrażam go sobie, jak rankiem zaciera ręce, zaglądając do kalendarza: „Genialnie, dziś przed obiadem popatrzymy sobie na Thomasa, Christine i Geralda. Już dawno chciałem wrócić do Geralda i trochę go sobie pooglądać! Ciekawe, czy wciąż eksponuje tyle słabości. Gra światłocienia na jego paranoi i ten dopracowany w każdym calu Edyp!”.

W przededniu pierwszej kolacji we dwoje z Ophélie zadzwonił telefon. Przeglądałem właśnie drobne ogłoszenia z działu Praca, siedząc w kawiarnianym ogródku, a ponieważ połączenie było anonimowe, bezmyślnie odebrałem.

Nie powinno się nigdy, ale to nigdy, odbierać anonimowych połączeń. Dla zasady. Ktoś, kto pukając do drzwi, zasłania palcem wizjer, nie ma dobrych zamiarów.

Od razu poznałem jego głos.

- Pierre, nie rozłączaj się, to ważne.
- Nęka mnie pan.
- Pierre, jesteś chory.
- Tak, wiem, to pana popisowa sztuczka, żeby kogoś przekonać, że jest mu pan potrzebny. Wie pan, że takich chwytów używa się w sektach?

- Pierre, to nie jest dziewczyna dla ciebie.

Zapadła tak głęboka cisza, jakby przeleciał nade mną anioł.

Prawdę mówiąc, przemknął mi przed oczyma cały cholerny raj w wydłużonej wersji - niekończąca się, hipnotyzująca procesja nieskazitelnie białych wozów sunących jeden za drugim po ulicach Paryża - coś w stylu Gay Pride ze skrzydłami na plecach i aureolami.

- Pierre?
- Skąd pan wie? Szpieguje mnie pan?
- Nie jesteś teraz w stanie wejść w relację z dziewczyną. Ty...
- Zdaje pan sobie sprawę, co pan zrobił? Śledzi mnie pan! To pan jest chory! Kompletnie obłąkany! Zgłoszę to na policję!
- Nie rób tego. Razem możemy cię leczyć, znaleźć rozwiązanie.

Uwierz w nas.

- Zawiadomię policję.
- Nie, bo skazałbyś samego siebie! Uwierz mi, chcę ci pomóc! Trzymaj się z daleka od tej dziewczyny! Dla własnego bezpieczeństwa. Dla jej bezpieczeństwa!

- Grozi mi pan?
- Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobił. Jestem tu, będę ci towarzyszył w cierpieniu, żeby wskazać ci drogę. Wiem, że jeśli będziesz mnie słuchał, to mamy szansę z tego wyjść.

Szaleniec. Że też ze wszystkich paryskich psychoanalityków musiałem wybrać tego jedyne, który wyszedł ze Świętej Anny. Jako pacjent!

- Teraz to pan mnie posłucha. Jeżeli zauważę pana, kiedy z nią będę, a nawet kiedy będę sam, to przysięgam, że trzepnę panem o ścianę i zaciągnę na policję.

- Pierre, chcę cię chronić. Chcę was chronić.

Mój mózg wysłał impuls elektryczny do układu nerwowego, nakazując palcom wcisnąć klawisz i zakończyć połączenie.

Czasami moc słów jest większa niż impulsów elektrycznych mózgu, wystarczyło bowiem, że dodał jedno zdanie, by mnie powstrzymać.

- Pierre, przypomnij sobie dzieciństwo. Przypomnij sobie, jaki byłeś samotny. Ta dziewczyna tego nie skompensuje. Nigdy się w

ciebie nie wczuje, nigdy cię naprawdę nie zrozumie. A ja mogę to zrobić. Ponieważ jestem twoją świadomością, Pierre. Bo psychoanalityk to właśnie twoja świadomość. I ona w tej chwili cię ostrzega. Zabłyśły wszystkie czerwone lampki.

Świerszcz Jiminy rozmawiał ze mną przez telefon.

A z moich kończyn wystawały nici mojego dzieciństwa.

Byłem Pinokiem.

Byłem marionetką.

Wtedy Świerszcz Jiminy dodał, mówiąc wolno, z dużą pewnością siebie:

- Jeżeli będziesz się spotykał z tą dziewczyną, źle się to skończy. Bardzo źle. Pozwól, że ci wyjaśnię dlaczego.

Tak, żaden szczegół nie mógł być przypadkowy.

Dokładnie zaplanowałem tę pierwszą kolację z Ophélie. Zdecydowałem się na swobodny strój: dżinsy i błękitną koszulę - ponieważ biała wyglądałaby zbyt gładko, czarna natomiast sugerowałaby ponure emocje - a do tego szarą marynarkę w stylu casual i zamiast skórzanych pantofli, jakbym właśnie wracał z pracy, adidas podkreślające, że ten wieczór ma przynieść odprężenie. Kupiłem jej fioletowy bukiet - są eleganckie i podobają się większości kobiet, ale mężczyźni rzadko wręczają im kwiaty tego koloru. Oczywiście, to tylko moje refleksje, nie chciałem jednak niczego obciążonego symboliką, jak na przykład różę. Tylko garść myśli, wyłącznie dla niej. Nawet restaurację wybierałem bardzo starannie - włoską. Unikam chińskich ze względu na całą masę tych drobnych dodatków, które wbijają się między zęby, indyjskich z powodu towarzyszących daniom sosów, które zakwaszają oddech szybciej niż słońce kwasu mleko, japońskich, bo gdyby nie lubiła ryb, mielibyśmy problem, a francuskich, ponieważ dziewczyny często uznają, że je się w nich za tłusto. Włoska restauracja natomiast zapewnia doskonałą równowagę, urozmaicony jadłospis, bezpieczne sosy i spokojną atmosferę bez tej nutki ckliwego sentymentalizmu.

Wpisałem do komórki numer radiotaxi, żeby wieczorem - o ile nie zechciałaby, bym odprowadził ją do domu - wezwać taksówkę, ponieważ to robi duże wrażenie, dowodzi, że facet jest troskliwy i nie powoduje nim obsesyjna chęć zaciągnięcia partnerki do łóżka. To najlepszy sposób, żeby wylądować w jej pościeli na drugiej randce. Kobieta, która nie czuje się ponaglana pierwszego wieczoru, jako urodzona uwodzicielka staje się mniej dzika. Może to brzmi głupio, ale zastanówcie się nad tym.

Podsumowując: przewidziałem wszystko. Wszystko oprócz najważniejszego.

Że mogłaby nie przyjść.

20.35: wciąż czekam na placu Odéon. Ponad godzina spóźnienia oznaczałaby sprawę przegraną. Nie mam nawet jej komórki, a gdy-

bym zadzwonił do Julii, żeby poprosić o numer, naraziłbym się na powtórkę inscenizacji z naszego pierwszego spotkania, na co wcale nie mam ochoty.

20.45: czas pogodzić się z rzeczywistością - tego wieczoru czeka mnie samotna kolacja i walka z myślami.

20.49: jeszcze tu jestem, bezsensownie przechadzam się przed teatrem Odéon. Ophélie zafundowała mi niezłą komedię, która zakończy się dramatem.

Mężczyzna w czarnym mercedesie złożył gazetę. Zauważyłem go co najmniej pół godziny temu, ponieważ raz po raz na mnie zerkał. Jego samochód to taksówka, ale nie czekał na klienta. Właśnie włączyło się światło, wóz ruszył wolno, trzymając się blisko krawężnika. Kierowca nie spuszczał mnie z oka i czułem się trochę jak bohater kiepskiego filmu szpiegowskiego. Otworzył okno.

- Pan Pierre?
- ...
- Ma pan na imię Pierre? - powtórzył.
- Tak.
- Proszę wsiąść.

W Paryżu połowa taksówkarzy przypomina alkoholików z brzuchami jak u kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży. Trafiłem na przedstawiciela drugiej połowy - tych o wyglądzie seryjnych morderców. Nie miałem ochoty z nim jechać.

- Niech pan wsiada! Czekam tu od godziny!

Dlaczego czekał tak długo, chociaż widział mnie od początku?

Istota ludzka miewa czasem idiotyczne odruchy, reakcje ciała wymykające się spod kontroli mózgu. Moja ręka chwyciła klamkę i opadłem na miękką skórę tylnego siedzenia. Było to pewnego rodzaju samobójstwo ze względu na wygląd kierowcy i moją desperację po brutalnym odtrąceniu przez Ophélie. Czekająca na mnie koperta z moim imieniem.

Pismo było proste, duże, bez udziwnień ani ozdobników. Trudno było odgadnąć po nim płeć autora.

Skoro czytasz ten list, to jesteś człowiekiem cierpliwym, i zdecydowanym. Przepraszam, że kazałam Ci czekać, ale tak było trzeba ze względów logistycznych. Jeżeli nie przerażają Cię moje obrazy z martwych much, to może spodoba Ci się to, co nastąpi.

Ophélie.

Przewidziałem wszystko na ten wieczór. Ale nie to, że ona też

wszystko przewidziała.

Samochód mknął przez Paryż, przejechał na drugi brzeg Sekwany, w kierunku 11. dzielnicy, którą dobrze znam. Potem pojechaliśmy wzdłuż muru cmentarza Père-Lachaise. Mercedes zwolnił, jakby kierowca przez chwilę się wahał, potem się zatrzymał. Taksówkarz oznajmił:

- Ma pan tu wysiąść.

- Ale... to wszystko?

- Tak.

- Nie podano panu adresu? Tu nie ma żadnej furtki, to cementowy mur...

- I dokładnie tu ma pan wysiąść. Kurs został opłacony. Miłego wieczoru.

Ta połowa o wyglądzie alkoholików jest gadatliwa, nigdy nie przestaje mówić, podczas gdy druga oszczędza słowa, nie trwoni ani odrobiny energii, żeby zachować ją dla ofiar, jakby nawet uśmiech był zmarnowanym ciosem noża.

Zostałem sam na chodniku. Samochód się oddalił, paru przechodniów pojawiło się po drugiej stronie ulicy, bliżej kamienic. Można by pomyśleć, że po zmroku przechodzenie w cieniu cmentarza ściąga nieszczęście. Paryż jest przesądny.

Muszę stwierdzić, że Ophélie miała osobliwy zmysł organizacji.

Z nieba spadła lina z węzłami. Rzucono ją ze szczytu kamiennego muru.

Anioł zaprosił mnie, bym wspiął się do jego edenu. Który kryje się w krainie zmarłych. Logiczne.

Mój wieczór we włoskiej restauracji byłby potwornie banalny.

Ucieszyłem się, że mam na nogach adidasy. Starałem się nie zbłąźnić, wspinając po murze, a przedtem sprawdziłem, czy w pobliżu nikogo nie ma. Dotarłem na górę, spocony jak mysz, i kompletnie nie panowałem nad sytuacją. Ani żywego ducha.

Zobaczyłem zapalone lampki. I liścik zawieszony na krzaku.

Wciągnij linę, a potem idź za światłami, zdmuchując je kolejno, żeby strażnicy Cię nie zobaczyli.

Po dziewczynie, która maluje obrazy zdechłymi muchami, nie należało się spodziewać, że cokolwiek będzie normalne. Ale z drugiej strony, ponieważ bałem się, że mój psychopatyczny psychoanalityk może mnie śledzić, iść za mną, stwierdziłem, że ten problem mam z głowy.

Kierowałem się od światła do światła, gasząc ustawione na płytach nagrobnych małe lampki. Odrobina jasności zapewne rozgrzewa serca

zmarłych. W moim budziła emocje.

Gasilem każdy płomyk na swej drodze i sytuacja coraz bardziej mnie zdumiewała.

Szlak światła zaprowadził mnie w głąb nekropolii, daleko od głównych alei, pomiędzy stare nagrobki, na wzgórze, gdzie musiałem przeciskać się między drzewami, wyszczerbionymi murami i krzewami ognistymi, z których na szczęście nie wydobywał się żaden głos.

A potem ujrzałem nasz stolik.

Choćbym połączył wszystkie najlepsze restauracje Paryża, wszystkie kuchnie świata, najbardziej egzotyczne wnętrza, to i tak sromotnie bym przegrał.

Ophélie rozłożyła czerwony obrus między dwoma grobami, w odległym zakątku Père-Lachaise, z dala od ludzkich spojrzeń. Uwiła gniazdko z zieleni i mauzoleów z genialnym wyczuciem gotyckiego romantyzmu, którego pozazdrościłby jej nawet Marilyn Manson. Świeca oświetlała dwa talerze, jej płomień odbijał się w nich niczym żrenica ducha czuwającego nad naszą strawą, obok stał wiklinowy koszyk. Kieliszki do wina, srebrne sztućce. Nie zdziwiłbym się, gdybym zobaczył wystraszoną świnkę morską i długi nóż ofiarny.

Ophélie wyłoniła się zza grobowca o przerdzewiałych drzwiach.

Jasne włosy miała związane gumką w koński ogon, a zbuntowany pukiel łaskotał jej szyję. Włożyła wytartą skórzaną kurtkę, obszerny sweter o luźnym splocie, wzorzystą spódnicę, długą i szeroką, a do tego sandały. Jej duże niebieskie oczy schwytały mnie, uśmiech rozbierał. Przy niej nagle zapragnąłem być sobą - szczerze, bez maski uwodziciela skłonnego pleść byle co.

- Podoba mi się - powiedziałem.

Patrzyła na mnie wyczekująco. Uniosłem kopertę z taksówki, a potem wręczyłem jej kwiaty.

- Są śliczne. Fiolki? Obawiałeś się, że brak mi inwencji?

- Gdybym wiedział, jaki planujesz wieczór, przyniosłbym chryzantemy.

- Wiesz, że co roku w październiku i listopadzie sprzedaje się ponad dwadzieścia milionów doniczek tych kwiatów?

- To ofiara dla zmarłych. Dwadzieścia milionów? To oznacza, że wielu ludzi daje sobie prawo do opieszałości i zapominania o swoich zmarłych przez resztę roku.

- Albo że tak wielu składa dowody miłości, świadectwo pamięci.

- Podzielmy ten owoc na dwoje: jedenaście milionów egoistów, którzy czują się winni i dziewięć tych, którzy czczą pamięć zmarłych.

- Dlaczego nie dziesięć na dziesięć?
- Ponieważ z zasady nie interpretuję wątpliwości na korzyść przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Nie należę do optymistów.

Pierwszy surrealistyczny dialog. Stosowny do okoliczności.

- Przysnaję, że blefowałem - dorzuciłem, patrząc na nią.
- Mam nadzieję. Zapragnęłam oryginalności. Na pewno wiele razy jadłeś kolację w restauracji, sam na sam z dziewczyną. A ja lubię być tą od pierwszego razu.

- Przyznam ci się: jestem dziewicą - zażartowałem.
- Wszyscy jesteście dziewicami - odparła z powagą. - Trzeba tylko ustalić, w jakiej dziedzinie.

Nieoczekiwanie rzuciła mi kokieteryjne spojrzenie, które przyprawiło mnie o dreszcz.

- Nie będziesz już mówić do mnie per pani? - zapytała.
- Tylko mi się wymknęło.
- Tak jest lepiej.

Wskazała płytę nagrobną, zachęcając, bym usiadł, i sama usiadła, żeby otworzyć koszyk.

- Nie miałam czasu na gotowanie, więc posiłek będzie prosty: quiche i małe pomidorki.

Wyjęła butelkę Haut-Marbuzet, mojego ulubionego, wyrazistego bordeaux o upajającym aromacie. Czarodziejka. 2000 - wspaniały rocznik. Nektar. Jestem zakochany.

- Kiedy to wszystko szykowałam, uświadomiłam sobie, że jestem szalona. Przecież nic o tobie nie wiem. Absolutnie nic.

- Wiesz, że mam na imię Pierre, to już dobry początek.
- I że jesteś w kółku teatralnym z Julią.
- Opowiadała ci o mnie?
- Powiedziała, że rozstaliście się, zanim zaczęliście być razem.
- Właśnie dlatego nie mogło nam się udać, nasza pierwsza rozmowa była awanturą.

- Nie miałeś ochoty się z nią przespać? Jest całkiem ładna.
- Owszem, ale spotkałem ciebie.
- Julia ma do mnie żal, wiesz o tym?
- To podsyci nasze sceniczne kłótnie. Wszystko, co będzie mnie irytowało w życiu uczuciowym, przemienię w paliwo i wykorzystam podczas improwizacji z Julią. Zrobię z niej tarczę, która będzie chronić kobietę mojego życia.

- Zajmujesz się teatrem, a co jeszcze robisz?

Połało się Haut-Marbuzet, sączyło się po ścianie kieliszka, wirowało jak purpurowa wstążka porwana przez tornado, ochlapało zwię-

zone obrzeża i rozsiało woń jeżyn, przypraw, dymu i skóry. Wziąłem kieliszek, który mi podała. Zapach, już oszałamiający, uderzył moje nozdrza.

- Zmieniam swoje życie... To praca na pełny etat.
- Żyjesz przemijającym czasem?
- Tak w każdym razie proponowałbym nazwać bezrobocie: „życie przemijającym czasem”. Ładniej by to brzmiało. Szukam pracy.
- A co robiłeś przedtem?
- Byłem durniem.
- Już nie jesteś?
- Zdecydowanie mniejszym. Właśnie do tego służy porządna, głęboka depresja - pozbywasz się czegoś zepsutego, co dźwigałeś. Moja depresja była długa i bolesna, bo to głęboko się ukryło.
- Nie masz ochoty mówić o sobie?
- Opowiadać ci, kim byłem, to jakby przedstawiać ci mojego sąsiada. Niewiele by ci to dało, jeżeli chcesz poznać mnie. Znacznie się zmieniłem, a dążę o wiele dalej. W gruncie rzeczy nie skłamałem - jestem dziewiczy.

Uśmiech rozbawienia. Wypiliśmy za nasze utracone dziewictwa, nieznane, czekające na odkrycie.

- A ty? - zapytałem.
- Robię kwiaty.
- ...
- Nie jestem kwiaciarką, ale naprawdę robię kwiaty, tworzę je. Oj! Pierre, co ci jest? Tak nagle zbladłeś!

Mój psycho(pata) mnie uprzedzał. Jego głos płynący ze słuchawki torował sobie drogę do mojego mózgu. Strzępy jego perfidii wynurzały się na powierzchnię: „Ta dziewczyna trzyma się konkretnie, ty unosisz się w eterze, ona tworzy, podczas gdy ty burzysz! Nie wiesz, kim jesteś, a w konfrontacji z nią rozpadniesz się na kawałki, nie wytrzymasz twarzą w twarz z kobietą tak ukształtowaną, kiedy sam jesteś jeszcze nikim. To, co w tobie najmroczniejsze, może się wydostać na powierzchnię i na zawsze przeniknąć twój kruchy umysł. Pierre, jesteś jak noworodek, jak gąbka. Potrzebujesz mnie i tylko mnie, a nie dziewczyny. Nie jesteś na to gotów. Zniszczysz się, a przy okazji zniszczysz także ją. Wróć do mnie”.

- Źle się czujesz?

Potrząsnąłem głową. Wychyliłem duży kieliszek wina. Rozgrzało mnie, jego aromat był dość silny, żeby sprowadzić mnie na ziemię. Na Haut-Marbuzet zawsze można polegać.

- Nie, wszystko w porządku.

- Wyczułeś ducha? Powiesz pewnie, że w takim miejscu to nic dziwnego!

- Już mi lepiej. Przepraszam cię.

- Duchami nazywam pasożytnicze myśli.

- W takim razie dopadł mnie duch.

- To przez moje kwiaty?

- Nie. Przez mojego psychoanalityka.

- Och.

- ...

- ...

- Przepraszam, zepsułem nastrój. Wspominać na pierwszej randce o swoim psychoanalityku, to jak powiedzieć, że ma się opryszczkę.

- A ty masz opryszczkę?

- Nie.

- Mnie się to czasami zdarza. Kiedy jestem zestresowana, wyskakuje mi zimno na wardze. To paskudztwo, nie mogę się całować, ale szybko mi przechodzi. A ty? Od dawna masz tego psychologa?

- Uwielbiam sposób, w jaki łączysz opryszczkę z psychoanalitikiem. Do mojego takie porównanie idealnie pasuje. Od kilku miesięcy, ale przestałem do niego chodzić. To świr. Nęka mnie. Zostawiłem całe dawne życie, nie byłem w nim szczęśliwy. Rozpiąłem zamek błyskawiczny tamtej egzystencji i zmieniłem skórę. Taki trochę przedłużony seans rozbierania się i ubierania, który już prawie się kończy.

- Rozumiem. Chodziłam do psychologa przez dwa lata.

- Pomogło ci to?

- Pomogło mi się go pozbyć.

- No, no, ostro zaczynamy.

- Skoro załatwiliśmy już te mało romantyczne kwestie, to powiedz: podrywasz mnie?

Jemy kolację, rozśmieszam ją, ale w pewnej chwili, kiedy pokazuję jej napis na krawędzi mauzoleum „Dożywotnia koncesja” - już się tak nie śmieje, choć podkreślam kryjącą się w tych słowach ironię. Nie śmiejemy się, rozmawiając o śmierci, o naszej śmierci, która kiedyś nadejdzie. Ona pragnie odejść jako osoba bardzo stara, bardzo schorowana, żeby przyjąć śmierć z ulgą, podczas kiedy ja marzę o życiu, zaczynając je po trzydziestce od zera. Uważam, że i tak zostało mi niewiele czasu. Rozmawiamy o jej pracy - robi kwiaty z plastiku, jedwabiu, organdy, nylonu, winylu, aksamitu - ma istną fabryczkę iluzji. Mówimy o naszych planach, ale tu mam niewiele do

powiedzenia, bo przecież moje nowe ja nie zdążyło jeszcze dokładnie zdefiniować swoich ideałów i wie tylko, że pragnie dochować sobie wierności i osiągnąć szczęście. Gawędzimy o naszych upodobaniach muzycznych i literackich.

Usłyszawszy, że oczarowały ją *Melmoth* Maturina, *Człowiek śmiechu* Hugo i *Pieśni Maldorora* Lautreamonta, ujrzałem boski blask, który spłynął z nieba i rozświetlił tę istotę wybraną.

Tymczasem wino przyniosło mi niespodzianki, jakby się przede mną otwierało - to, co wzięłem za jeżynę, przeistoczyło się w czarną porzeczkę - jego tanina stała się jedwabista, łagodna, zostawiała na podniebieniu subtelną błonkę o korzennym posmaku. Coraz silniej działało na moje zmysły, wprawiając mnie w błogi stan.

Pochyliła się, żeby sięgnąć po mój kieliszek i znów go napełnić, i nie zauważyła, że moja twarz zbliżyła się do jej policzka. Uniosła niebieskie oczy i odsłoniła białe zęby. Zagubiłem się w oparach wina i w głębi tych dwóch lagun, które mnie szukały, wabiły, obiecywały ciepłą kąpiel i wytchnienie.

Spotkanie naszych oczu było elektryzujące. Wysyłałiśmy sobie sygnały - istną powieść w pigułce dziesięciu sekund, zapisaną w źrenicach, które się obnażają. Tony słów, pragnień, obietnic, porozumień. Odpowiedziała mi: tak. Na wszystko.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

Dlatego przechyliłem głowę, zbliżając usta do jej ust.

Rozbawiło ją to. Nie odniosłem jeszcze zwycięstwa.

Nagle zacząłem mieć nadzieję, że ta powieść nie okaże się tylko nowelą. Pot wystąpił mi na czoło. Wczytałem z jej oczu całego Guillaume'a Musso i ogarnął mnie lęk, że jej nie doceniłem - a jeśli to Stephen King?

Tylko się do mnie zbliż, a poderżnę ci gardło łyżeczką!

Nowela zamknęła się w jednym zdaniu.

A może to poemat?

Nie, zaledwie dwa wersy, byle jak zrymowane.

Niesamowite, jak pryska pewnością siebie, kiedy mężczyzna chce pocałować kobietę.

Zamieniłem się w górę lodową. Zimny, ze sztucznym uśmiechem na twarzy, skrywający wszystkie odczucia pod wodą, tam, gdzie były niewidoczne.

Ophélie skrzywiła usta w grymasie tej, która wie. Oparła dłoń o ziemię, tuż przede mną, pomiędzy moimi kolanami i przechyliła się ku mnie, odsuwając talerze.

Dwa rymy zamieniły się w tetrastych, w głowie rozbrzmiała mi

muzyka - najpierw daleka, gdzieś w tle, tajemnicza i porywająca, na kilkoro skrzypiec, potem to już cała czarodziejska orkiestra.

Jej twarz była już bardzo blisko mojej.

Miała ciepły język. Pyszny.

Symfonia radości, hymn do szczęścia.

Zaczęło się spokojnie. Całowaliśmy się. Długo. Rozsmakowaliśmy się w sobie, nasze ciała się poznawały, pocałunki były jak uścisk dłoni dwojga obcych ludzi, poprzedzający gorącą dyskusję. Moje ręce w końcu odważyły się jej dotknąć - najpierw ramion, potem pleców i rąk.

Czas płynął. Przytuliła się do mnie, jej piersi ocierały się o mój tors. Rozbudziły żądzę. Odzyskałem nadzieję.

Wargi powędrowały na szyję, muskały uszy, moje palce wsunęły się w jej włosy, jej palce skryły się w moich. Nasze ciała drżały. Chwyliłem ją za nogę i oparłem o omszałą kamienną płytę. W takich chwilach spódnica zyskuje niesamowitą moc erotyzmu. Jej była cienka - czułem przez nią ciepło nogi, ale jednak to nie to samo, co dotyk skóry na własnej skórze. Łatwość, z jaką mogłem unieść tę spódnicę, żeby dotrzeć do jej sromu i chwycić go palcami, była niezwykle podniecająca. Ale nie chciałem się spieszyć, wolałem przedłużyć tę chwilę, pragnąłem, aby narastało w nas pożądanie, żebyśmy spokojnie zmierzali do celu. Całowaliśmy się tak namiętnie, jakby ślina mogła zastąpić nam tlen, dokonywaliśmy wymiany, oddawaliśmy się sobie, nie skąpiąc niczego, co mogło dodać sił drugiemu, łączyliśmy się, rozdygotani jak złote rybki, które usiłują oddychać wyjęte z akwarium. Miałem gęsią skórę. Jej ręka zapuściła się pod moją koszulę, sunęła ku sercu. Chwyliła mój sutek, lekko go uszczypnęła, umiejętnie się nim bawiąc. Przywarłem do niej i byłem już gotów, czując pod sobą jej ciało, całym sobą zapragnąłem w nią wejść - ostro, totalnie. Połączyć się z nią. Słuchając wołania mojego członka - niekwestionowanego wodza tej armii, w skład której wchodziła każda częśćka mojego jestestwa, wyczekującego, by ruszyć do boju, podjąć szturm, wdrzeć się w głąb jej terytoriów i zostawić tam nasienie - poczułem, że moja żądza stała się niemal agresywna.

Jej pocałunki poskramiały mnie i koily, zmuszały bojownika, by wycofał się do mózgu pierwotnego i pozwolił dojść do głosu poecie, miłośnikowi rozkoszy, epikurejczykowi. Zwierzę chwilowo ustąpiło cywilizowanemu człowiekowi. Stojąc w cieniu, zachowywało kontrolę, niczym szara eminencja mojej seksualnej zachłanności, i wiedziałem, że co jakiś czas to ono będzie brało górę, ale znów tylko na moment.

Odsłaniałem jej piersi, unosząc wełnianą kurtynę, a potem uwolniłem jedną z nich, bujną i jędrną, z miseczki biustonosza, by muskać ją czubkiem języka. Aksamitna i ciepła, sprawiła, że jeszcze mocniej przylgnałem do Ophélie. Teraz nasze ruchy nabrały tempa, ubrania spadały jak skórka owocu, w który chcemy wbić zęby.

Moja ręka wreszcie wsunęła się pod spódnicę, osiągnąłem szczyt podniecenia. Jej uda były gładkie jak satyna i już wyobrazałem sobie, jak oplatają moje lędźwia... Moje palce wpełzły pod jej majtki. To jak drugie wargi - stworzone do kochania, tylko do kochania. I dlatego trzeba chronić te drugie wargi - miłość jest krucha, delikatna. Sanktuarium czystych emocji wołało mnie, witało z radością, wyczekiwało, prosząc w wilgotnej litanii o dopełnienie rytuału.

Wtedy byliśmy jeszcze *ona i ja*.

Lecz kiedy w nią wszedłem, staliśmy się nową jednością.

Centymetr po centymetrze, tworzyło się nasze *my*. A *my* to cząstka Kosmosu dostępna śmiertelnikom. To krótka przerwa w naszej głębokiej samotności. Rozkosz pozwala nam na chwilę ulec iluzji, że nie jesteśmy już sobą, ale światem. Na tym polega paradoks orgazmu - moment osobistej, niemal egoistycznej przyjemności nabiera sensu, ponieważ dzielimy ją z drugim człowiekiem. I właśnie dlatego żadna masturbacja nie dorówna nigdy temu niesłychanemu uniesieniu.

Oddech Ophélie zlewał się z moim. Pachnieliśmy winem, pożądaniem i seksem. Istna oda do życia.

Posiadłem ją między dwoma grobami, nasze kolana spychały kieliszki i talerze w stronę korzeni, które zatrzymały nasze ubrania. Jej biodra zwarły się z moimi. Wyprężyła się, a ja wędrowałem jak najgłębiej. Uciec w nią stało się obsesją każdej mojej komórki. Torowałem szlak naszej rozkoszy, uderzałem o jej trzewia, przebijałem sobie drogę - po mnie jej ciało nigdy już nie będzie takie jak wcześniej. Zamieniłem się w zwierzę, które chciało zaznaczyć teren swej rozkoszy. Potem znów górę wziął mężczyzna, moje ręce łagodnie ją pieściły, patrzyłem jej w oczy, uśmiechaliśmy się. Lizałem jej piersi, drapałem ją, mocno trzymałem za ręce, zaciskałem dłonie na pośladkach, przyspieszałem - znów wychodziła ze mnie bestia. Zbliżałem się do szczytu, więc nieco się uspokoiłem.

Staralem się, by ta twarda rzecz na końcu mnie stała się czymś więcej niż łącznikiem między nami - uczyniłem z niej narzędzie, które *nam* służyło. Pragnąłem, aby ta chwila skupiła się jeszcze bardziej na tym miejscu. Narzuciłem sobie równy rytm, potem, na prośbę Ophélie, przyspieszyłem, wchodziłem głębiej, mocniej. Ten rytm stał się naszym pulsem. Ophélie oddychała głośniejsz, zaczęła jęczeć,

zagubiona gdzieś pomiędzy tu a obrzeżem własnego ciała. Znaleźliśmy się w wirze czystej energii, która gwałtownie się uwolniła. Ophélie krzyknęła, zacisnęła oczy jak z bólu, cała skulona, wyla się gwałtownie. A potem zarzuciła mi ręce na szyję.

Wolno uniosła powieki.

I wtedy to ja osiągnąłem pełnię rozkoszy.

Trwała krótko, nie była zbyt intensywna, a jednak przyniosła pełne oswobodzenie. Wszystkie napięcia, wszystkie bóle, wszystkie obsesje i wszystkie problemy z malały. Czuliśmy ulgę. Nasunęło mi się pytanie, czy psychoterapeuci byli naprawdę aż tak potrzebni do utrzymania równowagi cywilizacji. Wystarczy po prostu uprawiać seks, doznawać rozkoszy cielesnej, żeby odsunąć od siebie choć na jakiś czas to, co trudne.

Widzę tylko jedno wyjaśnienie: im bardziej cywilizowany świat, tym mniej seksu, a więcej pracy dla psychologów.

Lecz ekstaza przemija, a nie oczyszcza gruntownie i do głębi. Odpowiedzi nie można szukać w tym, co przelotne. Dlatego ludzkość potrzebuje tych czyścicieli przeciążonej psychiki, recyklingu czarnych myśli.

Zastanawiałem się nad zakresem tej potrzeby - mojej potrzeby.

Ophélie leżała pode mną, oboje byliśmy spoceni, syci i jeszcze naprężeni po wysiłku. Nie użyłem prezerwatywy. Zwierzę wzięło górę nad człowiekiem, tym, który chciał totalnych odczuć, który pragnął za wszelką cenę zostawić cząstkę siebie w innym człowieku.

Ophélie była piękna. Już wróciła do rzeczywistości, podczas gdy ja wciąż bujałem w oparach orgazmu. Kobiety są zdecydowanie szybsze i bardziej pragmatyczne od mężczyzn.

Usiadłem.

I zobaczyłem epitafium na grobie tuż nad Ophélie.

J.T. 1902-1993

Niechaj to, co nastąpi, będzie jeszcze piękniejsze.

Czy to jednak możliwe?

Dokładnie to samo właśnie pomyślałem.

Ja, całe moje ja chciało natychmiast obwieścić uśpionemu światu, że Ophélie istnieje i że nie tylko jest wspaniałą dziewczyną, ale w dodatku kocha się właśnie ze mną. Klasyczna reakcja oszalałego ze szczęścia faceta, który chce rzucić tę radość w twarz każdemu, kogo spotka. I uważam, że ze względu na stan mojego ducha miałem do tego pełne prawo.

Sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić do wszystkich przyjaciół.

W spisie kontaktów, świeżo zmienionym, miałem pięć numerów.

Domino's Pizza.

Restauracja Libańska.

Chińczyk.

Japończyk.

Julia.

Wobec takiego bogactwa długo się wahałem. To był wybór dla grubasa w depresji. Ulegając szlachetnemu impulsowi, potrzebie rozmowy, zadzwoniłem pod pierwszy numer z listy, żeby zamówić pepperoni i oznajmić chłopakowi, którego nic to nie obchodziło, że chyba się zakochałem.

- Pepperoni, tak? Wielkość?

- Dla dwojga. Chcę być we dwoje do końca moich dni. W jej obecności odkryłem coś wyjątkowego.

- A jaką pan ją chce? Gruba czy cienka?

- Wydaje mi się, że ją pokocham.

- Nie wątpię. Gruba czy cienka?

- Jest bujna. Ma cudowne kształty, tam, gdzie trzeba.

- Czyli gruba? Nadziewana?

- Tak, wczoraj wieczorem.

- Serem?

- ...

- Czy ciasto ma być nadziane serem?

- Jeśli mnie pokocha...

- ...

- To obietnica trwałej radości.

- Domino's Pizza zawsze daje radość. Pikantna?

- Owszem, ma ostry charakter, ale mnie to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie.

- Dobrze. Z pikantną oliwą. Gdzie dostarczyć?

- Do mnie.

- Gruba, nadziewana i pikantna. Za kwadrans pod pana drzwiami. Miłego dnia.

Miłość jest prosta jak rozmowa telefoniczna.

Przez trzy dni czułem na przemian fale gorąca i zimna. Gorączka, pożądania, niecierpliwe wyczekiwanie, by ją zobaczyć, by usłyszeć jej głos, przeplatały się z chwilami zwątpienia w szczerą wzajemność i z obawą, czy mi się nie wymknie. Obserwowałem telefon jak grzesznik, który w obliczu śmierci wygląda księdza, by błagać go o odpuszczenie wszystkich grzechów i otwarcie wrót raju. Ale ten głupi iPhone nie wydawał żadnych boskich wibracji, które mogłyby ożywić blask moich oczu. Leżał martwy, milczący.

Nie śmiałem dzwonić. Ophélie uprzedziła mnie, że w tym tygodniu jest bardzo zajęta. I powiedziała, że wkrótce się odezwie.

A wkrótce to nieznośnie nieprecyzyjny termin. Czy wkrótce znaczy jutro, czy raczej za tydzień? Nienawidzę tego słowa. To mój nowy wróg. Zbyt mętne, żeby zasługiwać na miejsce w słowniku. Niejasne i okrutne. Będę walczył o skazanie go na banicję. Zresztą w języku francuskim jest za dużo takich nieprecyzyjnych słów. A ja pragnę ścisłości. Pewności.

W czwartkowy wieczór poszedłem na zajęcia teatralne. Julia też się pojawiła. Obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem. Wiedziała. A to znaczyło, że rozmawiała z Ophélie. Nie miałem pojęcia, jak postąpić. Byłem przekonany, że zaczniemy od improwizacji, więc moglibyśmy pogadać o naszych pretensjach na scenie, to jednak oznaczałoby, że kłótnie wchodzi nam w krew. Poza tym nie miałem tego wieczoru ochoty na takie potyczki.

Podszedłem do niej podczas przerwy na papierosa.

Chciała mnie poczęstować, ale odmówiłem ruchem ręki.

- Nadal nie palę.
- Szkoda.
- Szkoda?
- Szybciej byś zdechł.

Powiedziała to, nie podnosząc głosu, na zimno i jakby beznamietnie.

- Masz do mnie aż taki żal?
- Jestem fajną dziewczyną.
- Zauważyłem.
- Ale tylko dla tych, którzy nie podrywają mnie, żeby przelecieć moją najlepszą przyjaciółkę.
- Ale... właściwie cię nie podrywałem.
- Na początku chciałeś się ze mną przespać.
- Ba...
- Nie zaprzeczaj.
- Ale...

- Widziałam to.
- Niech ci będzie.
- A kiedy daje się dziewczynie takie sygnały, to nie podrywa się nagle jej najlepszej przyjaciółki. Czuję się teraz, jakbym była kołem zapasowym. Albo ciuchem, którego nikt nie chce kupić nawet po przecenie.

- Nie jesteś dziewczyną z przeceny.
- Pieprz się.

Wciąż ten sam ton - spokojny, nieco wyniosły, chłodny, ale nie zjadliwy. Trzeźwy.

- Przepraszam.

Odwrociła się do mnie i jej oczy - dwie przyćmione lampki nocne, przed chwilą lekko przytłumione - nagle rozbłysły i stały się dwoma reflektorami w teatrze w wieczór one-woman show.

- Chcesz mi sprawić przyjemność, Pierre?
- Tak, owszem.
- Chcesz, żebym ci wybaczyła?
- Chciałbym.
- To zaprosz mnie na lampkę wina dziś po zajęciach.
- ...
- Do siebie.
- Wolałbym nie.
- Proszę cię tylko o jedno. I żebyś mnie dobrze traktował.
- Julio, co ty mi właściwie proponujesz?
- Kochaj się ze mną tej nocy.

Film. Znalazłem się w filmie. Przecież takie sytuacje zdarzają się tylko w kinie. W prawdziwym życiu kobieta nigdy nie mówi tak do mężczyzny. Chyba że jest histeryczką, maniaczką, nimfomanką, kobietą głęboko zranioną i szukającą zemsty albo... facetem. Ta bezpośredniość - „Nie traćmy czasu, chodźmy się pieprzyć” - jest bardzo męska. Julia jest mężczyzną.

- Pierre, jesteś mi to winien.

Dmuchnęła mi w twarz dymem z papierosa. Dusila mnie. Jej słowa, jej oddech, spojrzenie, jej obecność nagle zaczęły mnie przytłaczać.

- Nie proszę cię nawet o kolację. Chcę tylko, żebyś mnie całował, żebyś we mnie wszedł, żebyśmy razem to przeżyli. Ukradłeś mi obiecaną czułość, musisz mi ją dać choć raz, żeby dotrzymać zobowiązania.

- A może pomówimy o wierności...
- Nie możesz mnie podrywać tak, jak to zrobiłeś, żeby zaraz

wymknąć się z moją najlepszą przyjaciółką. Jeżeli chcesz zachować się przyzwoicie, musisz mi dać tę noc.

- Czyżbyś... czyżbyś prosiła, żebym się z tobą kochał przez grzeczność?

- Raczej, żeby dotrzymać obietnicy, jaką dałeś mi poprzez swoje zachowanie, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz.

- Jakie zachowanie?

- Zachowanie wobec ludzi wiele znaczy. To, co się mówi, jak się to mówi, gesty, spojrzenia, troska... Wszystko to obiecywało mi, że czeka nas chwila intymności, że się mną zajmiesz. Chcę, żebyś dotrzymał obietnicy.

Szczęka opadła mi jak zbyt duży ciężar na rozciągniętej gumie.

- Julio...

- Potem nie musisz nawet ze mną spać do rana, jeśli nie masz ochoty.

- Ale...

- Masz w lodówce colę? Nie piwo, po piwie mam niesmak w ustach, a to niezbyt miłe przy pocałunkach. Albo szampana? Po szampanie nie można długo czekać, inaczej w ustach robi się sucho.

- Julio...

- Przecież oboje wiemy, czego chcemy, przypuszczam nawet, że będziemy się kochać na kanapie... Po co iść aż do sypialni... Powiedz, masz jakiś materac w oddzielnym pokoju, czy rozkładaną kanapę?

- Ale...

- Po drodze powiem ci, co lubię, żeby już za pierwszym razem było nam dobrze. Sam wiesz, że pary dużo mówią o swoim pierwszym razie, ale w rzeczywistości bywa raczej kiepsko - ludzie są skrępowani, nie znają dobrze partnera, nie wiedzą, co lubi, a czego nie, jak osiąga orgazm. Brakuje porozumienia. Pierwszy raz to coś między pieprzeniem się a miłością, niezdefiniowany stan. Pierwszy raz to strefa niepewności seksu. Nie do końca zwierzęca, nie do końca cywilizowana, to ugrzecznione spółkowanie, ani za czyste, ani za brudne. Niemal nudne. Dlatego powiemy sobie wszystko przedtem.

Zamarłem. Miałem naprężone mięśnie - wszystkie poza tym jednym, który interesował damę. Potem przeszedłem ze stanu stałego do ciekłego, bo powiedziała:

- Chcę być dla ciebie delikatna, chcę być twoją satyną, łagodną pieszczotą. Jedwabistą. Specjalnie się wydepilowałam.

Właśnie w tym momencie odezwały się echa mojego dzieciństwa.

Syrena alarmowa atakującego okrętu Harlocka.

Wycie japońskich zer w *Baa Baa Black Sheep**

* Serial wojenny z lat 1976-1978 (przyp. tłum.).

Łzy Candy.

Detonacja promienia Delta, kiedy Kobra niszczy wrogów.

Niesamowite.

Wszystko zaczęło się mieszać. To naprawdę niesamowite. Radosna kakofonia ożywiła wspomnienia i połączyła je z gorącym pragnieniem ucieczki, odrzucenia. Przez krótką chwilę miałem ochotę schronić się w kojącym oblędzie, daleko od przerażającej rzeczywistości. Dostrzegłem także popęd śmierci, gdy z głębi dziecięcej traumy wynurzył się olbrzymi potwór i stojąc za plecami Julii, rozwarł paszczę pełną ociekających śliną kłów, żeby wgrzyźć się w czaszkę tej wariatki, po czym natychmiast zmarł, gdy po obnażonym ramieniu konającej ofiary spłynęła strużka krwi.

Ale w zatrważającej mnie rzeczywistości Julia ujęła mnie za rękę i powiedziała:

- Chodźmy.

Pozwoliłem, by prowadziła mnie tak dość długo, bo nie wiedziałem, jak wyplątać się z tej sytuacji. Kilkadziesiąt metrów dalej odwróciła się naburmuszona.

- Pierre, nie będę cię tak ciągnęła.

Nie wiedziałem, jak to rozumieć.

- Mógłbyś chyba zdobyć się na więcej entuzjazmu! - dodała.

- Julio, wydaje mi się, że doszło do przykrego nieporozumienia.

Stopniowo odzyskiwałem panowanie nad sobą. Krew dopływała mi do mózgu, przeganiając obrazy z dzieciństwa. Przed oczyma miałem twarz Ophélie w ten wieczór na cmentarzu, jej drżącą skórę, piersi, słyszałem nasze jęki. Przypomniałem sobie tę rozkosz, której doznaliśmy. Ona. Ja. Coś, co się właśnie rodziło.

Znalazłem siłę, żeby odpowiedzieć natrętej Julii.

- Nie mogę zrobić tego, o co prosisz.

- Dlaczego?

Wyglądała jak ktoś, komu wymierzono cios w brzuch.

- Bo tego nie chcę.

Ostupienie przemieniło się w niezrozumienie.

- Julio, ja po prostu nie chcę się z tobą kochać.

Zaduma. Podejrzliwość.

- Przykro mi, ale muszę odrzucić twoją propozycję.

Irytacja. Oburzenie.

- Chyba nie masz mi tego za złe?

Wściekłość. Julia wykrzywiła twarz w grymasie gniewu, jej ręce spletały się jak dwie rozgwiazdy, które wyciągają macki. W końcu

wybuchła:

- To przez Ophélie, tak? Jestem od niej gorsza? Brzydsza? Nie taka czarująca? A może nie dorównuję jej inteligencją? Jestem mniej seksowna? Ale coś ci powiem, Pierre. Ja przynajmniej jestem sobą! Nie jestem taka jak ona, nie udaję kogoś, kim nie jestem!

Cofnąłem się o krok, obawiając się, że macki rozgwiezdy dotrą do mojej twarzy.

- Życzę ci dużo przyjemności z Ophélie! - krzyknęła. - Ale pamiętaj: kiedy już zrozumiesz, jaka naprawdę jest, nie przychodź szlochać na moją poduszkę!

I zniknęła za rogiem ulicy.

Zostawiła mnie sam na sam z tymi ostatnimi zdaniem, które przenikały mój umysł jak jad.

Zabity słowami.

To idealne epitafium na mój grób.

Przestraszyłem się tego, co powiedziała Julia. Nie podobały mi się niedopowiedziane oskarżenia, jakie rzuciła pod adresem Ophélie. Tego wieczoru przez dwie godziny przewracałem się z boku na bok, a w głowie brzęczały mi słowa, które nie dawały zasnąć.

Kim naprawdę jest Ophélie?

Przekonywałem sam siebie, że nie powinienem podsycać w sobie lęku. Dlaczego bałem się, że to, o czym nie wiem, jest fałszem, skoro wcale jej nie znałem? I po co miałyby kłamać? Co chciała powiedzieć Julia?

Czy kierowała się tylko perfidią kobiety, której uwodzicielska moc została zakwestionowana? Czy te słowa wykraczały poza myśli? Nie podobało mi się to. Słowa są podporządkowane myślom, są bezwładne, nie mogą przyjść na świat bez celu, nie mogą wybiegać przed myślą. To równie absurdalne jak teza, że dym mógłby z własnej woli lecieć pod wiatr. Słowa są posłuszne, służą myśli, to aksjomat ich istnienia - jestem o tym przekonany.

Ale może jej myśl, jej przenikliwość uległy rozprężeniu, może dopuściła do głosu prymitywne struktury mózgu. Tak, na pewno! W jednym ze zdań dostrzegłem mroczne oblicze Julii, w chwili cierpienia chciała okazać się zła, pozwoliła sobie na ripostę pod wpływem afektu i znalazła sposób, żeby mnie zaatakować. Siejąc niepewność. Przerazająca była ta inercja życzliwości wobec gwałtownego wrzenia zranionej dumy. Jeśli raniacie kobietę, to wybierajcie udręczenie cielesne, bo dumę leczy tylko balsam zemsty.

Z tą myślą zdołałem w końcu usnąć. Przekonywałem samego siebie, że nie warto dalej drążyć tematu.

Zapadłem się w nicość i całkowicie odciąłem od świata.

Czasami, zastanawiając się nad swoim snem, mam wrażenie, że wtedy po prostu nie istnieje.

Należę do ludzi, którzy nie miewają snów. Dlatego nie śnię też koszmarów, a to można uznać za pozytywną stronę zjawiska.

Właściwie stwierdzenie, że nie śnię, jest błędne, bo podobno wszyscy mamy sny, a ja po prostu nic nie pamiętam po przebudzeniu. To frustrujące, a przede wszystkim trochę poniżające. Mam wrażenie, że moja podświadomość to telewizor, który jest włączony przez całą noc, tylko że nikt go nie ogląda. Zupełnie jakby to, co tkwi głęboko we mnie, nikogo nie obchodziło. Nawet mnie. Nie wiem, jak dokonuje się wybór między moją podświadomością i świadomością, jak toczą się negocjacje - mogę tylko wywnioskować, że moja świadomość woli nie rozpowszechniać programów podświadomości, więc nawet ich nie rejestruje. Zapewniam was, że to naprawdę poniżające. Gdybym przynajmniej miał wrażenie, że chodzi o filmy o mnie w sytuacjach wyjątkowo krępujących, o pokazywanie moich skrajnie perwersyjnych skłonności, mógłbym to zrozumieć, ale po przebudzeniu nie czuję nawet dreszczyku podniecenia, nie mam erekcji, choćby słabej. Jest tylko pustka.

Jakbym roztopiał się w nocy.

Budzę się co rano z poczuciem pewnej straty. Jakby mi czegoś brakowało, jakby fakt, że nie żyję nocą, we śnie, nie pozwalał mi na syntezę poprzednich dni. Nie przeżywam ich ponownie, kiedy śpię, więc dla mnie każdy kończący się dzień jest naprawdę stracony. To trochę przerażające.

Tego ranka kręciłem się w kółko przez dobre dwie godziny, obserwowany z niedowierzaniem przez Williama Leymergiego, a potem przez Sophie Davant. Włączony przez większość dnia telewizor, jak u znacznej części mieszkających samotnie, jest idealnym kompanem - w razie potrzeby zapewnia rozrywkę, a przez resztę czasu mówi, nic nie mówiąc, więc nie czujemy się zobowiązani go słuchać, a jednak nam towarzyszy. To nieludzkie ciepło o nasyconych barwach, bo takie są przyjemniejsze.

Do południa gapiłem się na telefon. Kusilo mnie, żeby się nim pobawić. Już jako nastolatek miałem dość dziwaczną pasję. I tylko ją zachowałem z dawnego życia. Nazywam to łowieniem przyjaciół. W południe chwyciłem iPhone'a i wybrałem przypadkowy numer komórkowy. W zasadzie lepiej robić to wieczorem, bo wtedy ludzie mają więcej czasu. Ten numer nie ma właściciela, więc wybrałem inny, też przypadkowy.

- Halo?

Głos mężczyzny. Nie za bardzo lubię mężczyzn, często bardzo szybko stają się agresywni. Kobiety rozłączają się później, jednak trzeba czasu, żeby zaczęły się zwierzać, kiedy już uda się nawiązać dialog.

- Dzień dobry, mówi Pierre.
- Pierre? Jaki Pierre? Jak pan się nazywa?
- Nie znamy się.
- Aha.
- Wybrałem pański numer przypadkowo, trafiłem na pana, ale to mógł być każdy. Jednak to właśnie pana szczęście, życie, przeznaczenie - można to nazwać, jak się chce - postawiły na mojej drodze.

- To... ma być jakiś żart?
- Nie.
- A czego pan chce? Forsy?
- Absolutnie nie. Chcę tylko porozmawiać.
- Dlaczego?
- A dlaczego nie?
- Bo mam ważniejsze sprawy! Człowieku, mów, czego chcesz, i skończmy z tym!

Społeczeństwo, w którym dziś żyjemy, jest straszne. Ludzie wciąż się spodziewają, że ktoś czegoś od nich zażąda, jakby nie mogli traktować innych jako tych, którzy mogą coś im dać, wnieść coś w ich życie. To czysta klasyka moich telefonicznych połowów.

- Chcę tylko pana poznać.
- Jest pan homoseksualistą?

Kolejna klasyczna reakcja. Kobiety uważają mnie za zbrojeńca, mężczyźni za homoseksualistę, który szuka kontaktów. To też dużo o nas mówi.

- Nie. Chciałbym po prostu się dowiedzieć, kim pan jest, i zamienić kilka słów.
- Jasne! Jest pan pedałem i chce mnie pan w to wciągnąć! Nie jestem zainteresowany.
- Ale ja...

Rozłączył się.

Dobry wędkarz musi wykazać się cierpliwością i nie bać się powrotu bez zdobyczy. Dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto razy sprawdza, co ma na haczyku, żeby stwierdzić, że to tylko mała, nieciekawa rybka. Ale dobry wędkarz wie, że zdobycz nie wpływa zbyt na przyjemność, jaką daje wędkowanie. Dla niego liczy się tylko to, że siedzi nad wodą i łowi ryby. Jeżeli przed zachodem słońca trafi mu się gruba ryba, będzie wisienką na torcie, ale wędkarz wie, że są dni obfitego połowu i dni bez łupu.

Kolejny numer, kolejna porażka. I tak sześć razy, nie licząc numerów, które nie były do nikogo przypisane. Te zapisuję w małym

czarnym notesie - mam ich już całe strony. Prawdę mówiąc, zapelnilem nimi stos notesów. Czasami patrzę na nie i zastanawiam się, co takiego jest w tych numerach, że nie należą do nikogo. Zastanawiam się, jaka była ich historia, czy nigdy do nikogo nie należały? Czy są przeklęte? A może zadzumione? A może wkrótce znajdą właściciela? Zmienia abonenta? Co pewien czas wybieram któryś z nich i sprawdzam z ciekawości. Jak dotąd żaden do nikogo nie trafił. To wyrzutki Telecomu, jak stare, kulawe i brzydkie psy, których nikt nie chce zabrać ze schroniska. Zdarza mi się nad nimi rozczulać, chciałbym kilka z nich przygarnąć, żeby wreszcie się rozdzwończyły, nawet gdyby miały dzwonić na próżno. Ale niech zadzwonią, niech zyskają namiastkę bytu.

Najgorsze, że te numery są zupełnie normalne. W ich układzie nie ma niczego szczególnego, niczego zniekształconego. Dlatego powtarzam sobie, że kiedyś do kogoś należały, ale odebrano je właścicielom. Być może ci zmarli. Nie wiem właściwie, co dzieje się z numerem zmarłego abonenta. Nie można natychmiast przyznać go komuś innemu, to byłoby niestosowne. Wyobrażacie sobie, że za każdym razem, kiedy odbieracie telefon, jesteście pytani o kogoś innego niż wy? To byłoby irytujące i uciążliwe. Zwłaszcza gdyby nowy właściciel dowiedział się, że ten, do którego dzwonią, już nie żyje. Głupio odbierać telefony do nieboszczyka.

Nie, to niemożliwe. Numery po zmarłych nie są chyba ponownie przypisywane do abonenta. Na pewno nie.

Być może zatem wszystkie te nieprzypisane numery, na które trafiam i które notuję w kalendarzyku, to tworzone przeze mnie cmentarz.

Cmentarz numerów zapomnianych.

Tak właśnie nazywałem swoje notesy. Wznosiłem swoisty pomnik ku ich pamięci.

Trudno oddzielić numery po zmarłych od całej reszty - tych zapomnianych, tych, które jakiś błąd systemu informatycznego nieszczęśliwie odsunął na bok, tych zwróconych przez właścicieli i tych bez stałych właścicieli - wędrujących od osoby do osoby i skazywanych na dłuższe czy krótsze okresy kwarantanny - a także od tych, które jeszcze się nie narodziły i wegetują w systemie, czekając na swoje życie. Wszystkie one są moją codziennością, odwiedzam je co dnia, poświęcam im kilka minut, słucham, jak brzmią w nicości, dopóki zimny jak lód głos nie obwieści mi, że nie ma takiego numeru. Jeszcze nie. Już nie. Albo po prostu nie. Nie znam szczegółów. A szkoda. Chciałbym to wiedzieć.

Moje palce biegały po klawiaturze, wciskały klawisze, a ja wcale nie musiałem się w to angażować, jakby sam Bóg miał nad nimi władzę. Bóg... doprawdy! Witaj, megalomanio.

Bóg wybrał kolejne 06. Sygnał! Sygnał!!! Bóg wie, które są bezpieczne, a które aktywne - Bóg wie wszystko. Do kogo mnie skierował? Przebiegł mnie dreszcz zrodzony głęboko w trzewiach, taki, który po drodze wywraca nam wszystko do góry nogami, który jeży włoski na skórze niczym zimny wiatr.

Charakterystyczny dźwięk. Ktoś odebrał!

- Słucham!

Głos kobiety.

- Dzień dobry. Mówi Pierre.

- Czym mogę służyć?

Ma bardzo miłą barwę głosu. Słodką. To głos palaczki. Wyobraziłem sobie jej delikatną szyję i bladą cerę.

- Nie znamy się - powiedziałem lekko onieśmielony - ponieważ wybrałem ten numer przypadkowo i przypadek połączył mnie z panią.

- Jeśli to przypadek... Przypuszczam, że nie powinnam zatrząskiwac przed nim drzwi, skoro zwrócił uwagę właśnie na nas?

- Osobiście uważam, że byłoby to niegrzeczne.

- I ryzykowne.

- Ryzykowne? Dlaczego?

- Przypadek może mieć moc, o której nic nie wiemy. Przeciwwstawiając mu się, narazilibyśmy się na karę.

Ta rozmowa zaczynała mi się podobać. Dziewczyna była inteligentna. Bardzo inteligentna. Czy jej dorównam?

- Czyli ma pan na imię Pierre. A ja Marie. Pewnie się pan domyśla, że to nie jest moje prawdziwe imię?

- Tak przypuszczałem. Ale ja naprawdę mam na imię Pierre.

- Domyślałam się. Mężczyźni rzadko podają fałszywe imiona.

- Racja. Kłamią we wszystkich innych sprawach.

- Pierre, jest pan smutny?

- Dlaczego pani tak myśli? Mam smutny głos?

- Właściwie nie. Pański głos brzmi zmysłowo. Pomyślałam tak ze względu na to, co pan zrobił.

- Jestem ciekawy. Lubię zawierać znajomości. A znajomości telefoniczne są wygodne, bo do niczego nie zobowiązują.

- Nie zgadzam się z tym. To, że się nie widzimy, nie oznacza, że nie musimy się respektować. Można podać fałszywe imię, ale w pozostałych sprawach trzeba być szczerym, bo jeśli nie, to po co to wszystko? Przecież tylko szczerść nadaje sens naszej telefonicznej

znajomości. Móc powiedzieć sobie wszystko, nie bojąc się jutra, ponieważ się nie spotkamy i nigdy więcej nie będziemy ze sobą rozmawiać. Dwoje nieznajomych bez tabu.

- Ma pani rację, Marie.
- Jade. Naprawdę mam na imię Jade.
- Piękne imię.
- Trochę kurewskie.

W tym momencie jej niski głos, w którym wyczuwało się brutalne tarcie strun głosowych, wywołał w mojej wyobraźni wyuzdane skojarzenia. Seks. Wargi. Język. Połykanie.

Odpędziłem je od siebie. Były niestosowne. Kobiety mają rację, jestem perwersyjny.

Nie. Jestem mężczyzną. To pleonazm.

- Nie odpowiada panu. Czyli i pan uważa, że ma w sobie coś kurewskiego.

- Skądże. Po prostu myślałem.
- O tym, co mogłyby zrobić panu moje usta? Widzi pan...
- Nie... Tak.
- Wiem. Przywykłam. Noszę to imię od trzydziestu lat.
- To przez ten film. *Jade*. Dziewczyna była kurewką...
- Może. Jaki pan jest, Pierre? Niech pan nie kłamie.
- Chodzi o wygląd?
- Tak. Proszę nie kłamać.

- Jestem... brunetem. Niezłym. Właściwie to moje oczy wyróżniają mnie z tłumu. Mam ładne oczy. Poza tym jestem chyba przeciętny.

- Tak właśnie myślałam.

- Dlaczego?

- Gdyby było inaczej, nie dzwoniłby pan pod przypadkowe numery.

- To o niczym nie świadczy. Wydaje mi się, że robią to także przystojni chłopcy.

- Ale rozmowa z takim jest nieciekawa.
- To chyba stereotyp.
- Nie sądzę.
- Mam rozumieć, że nasza rozmowa jest ciekawa?
- Może być ciekawa. To zależy wyłącznie od nas.
- A jak pani wygląda, Jade?
- Wolę o tym nie mówić. Pańskie wyobrażenie jest piękniejsze ode mnie.

- Nie mam bujnej wyobraźni.

- Wydaje mi się, że to nieprawda. Ma pan wielką fantazję. Weźmy choćby tę rozmowę. Co dowodzi, że nie toczy się tylko w pana głowie? Że nie jestem tworem pana osamotnionego umysłu? Zbyt osamotnionego.

- Przecież panią słyszę. To się nie dzieje w mojej głowie.
- Halucynacje wydają się realne.
- Pani jest prawdziwa.
- W takim razie proszę mnie opisać.

Jade na wszystko znajdowała celną ripostę. Wpadłem we własne sidła.

- Wyobrażam sobie panią jako... brunetkę. Długowłosą. Ale z grzywką tuż nad oczyma. Ciemnooką. O wydatnych kościach policzkowych odziedziczonych po przodkach, prawdopodobnie słowiańskich. Ma pani jasną karnację. Idę w dobrym kierunku?

- Jak dotąd tak. Proszę mówić dalej.

- Jest pani dość wysoka. Właściwie - wysoka. Powiedziałbym... ponad metr siedemdziesiąt. Może metr siedemdziesiąt pięć. I szczupła, ale o wydatnych kształtach. Ma pani jędrne pośladki, szerokie biodra, bujne piersi. I lekki brzusek, który musi być bardzo seksowny, kiedy...

- Kiedy co? No, niech pan się nie krępuje.

- Nie, trochę się zagalopowałem.

- Proszę dokończyć zdanie.

- A jeśli nie, to co? Rozłączy się pani?

- Nie, nie lubię nikomu grozić. To byłoby idiotyczne. Rozłączę się, kiedy ta rozmowa nie będzie miała już sensu. Niech pan dokończy zdanie, bez obawy. Proszę wyrazić tę myśl.

- Mały brzusek, bardzo seksowny, kiedy... ktoś się z panią kocha.

- Dlaczego? Co może być seksownego w brzuchu w takiej chwili?

- Sam nie wiem. Chodzi... o jego zarys. Lekkie zaokrąglenie, takie łagodne i rozczulające. I pępek w sercu tego sanktuarium.

- Sanktuarium? Czy to nie przesada?

- Jeśli pani woli: świątyni. Która skupia miłość dwojga ludzi. To miejsce skupienia.

- Nie wiem, czy to piękne, czy trochę za górnołotne. Miejsce skupienia... Według mnie ten widok jest trochę niesmaczny.

- Jednak pani brzuch może być sanktuarium, w którym kryje się ziemską substancją czekająca, by rozniecić w niej iskrę życia. Jak kościół, który tworzy więź między człowieczą cielesnością a Bogiem.

Pani brzuch to pomost między materią a duchowością. Tam dokonuje się transfer. Może istnieją miliony niewidocznych gołym okiem promieni kosmicznych, nawet teraz krążących między wszechświatem a brzuchami kobiet, w których tworzy się życie.

- Pierre, jest pan głęboko wierzący.
- Wręcz przeciwnie.
- To skąd takie poglądy?
- Po prostu piękny obraz.
- Chciałby pan w to wierzyć, ale tak nie jest.
- To prawda.
- ...
- ...

Cisza - niezmacona cisza. Są bowiem cisze, które oszalamiają skrępowaniem, ogłuszają hukami zażenowania. Nasza bardzo się od nich różniła. Była czysta. Trwała, by dać czas na przyswojenie myśli zawartych w strumieniu słów.

- Proszę mi powiedzieć - przerwałem w końcu milczenie - czy bardzo się pomyliłem, próbując panią opisać?

- Tego się pan nie dowie.
- Chyba że znowu zadzwonię i że kiedyś się spotkamy...
- Zmienię numer.
- Przeze mnie?
- Nie, planowałam to wcześniej.
- A...
- Wyczuwam rozczarowanie. Czego pan się spodziewał po tej rozmowie?

- Sam nie wiem. Niczego. A właściwie... oczekiwałem więcej.

- To dość naiwne.

- Odrobina naiwności jest konieczna, żeby świat pozostał piękny.

- Potrzebne jest przede wszystkim szczęście. Albo szczęśliwa gwiazda. Albo Bóg, który nad nami czuwa. Powiem panu, jeszcze przed wieczorem będę miała nowy numer. Jeżeli kiedyś trafi pan na mnie już pod tym nowym numerem, to obiecuję, że się spotkamy.

- Słowo?
- Słowo. Ale przecież pan wie, że to się nie zdarzy.
- Dlaczego nie? Pewniki nie utrzymują przy życiu, należą do strefy śmierci. To nadzieja co rano popycha nas do przodu. Trzeba wierzyć, żeby żyć. A ja mam nadzieję za panią.

- W takim razie się spotkamy. Ale to mało prawdopodobne. Zamierzałam powiedzieć „żegnam”, jednak chcę, by zabrzmiało to piękniej, chcę, by nadzieja trwała, więc powiem: „Do zobaczenia,

Pierre. Miło było z panem gawędzić”.

- Do zobaczenia wkrótce, Jade.

To było ciekawe spotkanie. I bardzo miła rozmowa. Przyznam od razu, że takie rzadko się zdarzają. Jade miała rację - statystycznie nie mieliśmy szansy na ponowną rozmowę do końca życia. Mimo to odłożyłem telefon z uśmiechem na ustach. Miałem za sobą kilka chwil prawdziwego człowieczeństwa. Relacji tak ludzkiej, na jaką nie mogłem liczyć z osobami widywanymi na co dzień. Byłem pod wielkim wrażeniem tej chwili.

Ale też nie czułem się w pełni usatysfakcjonowany. Nie dostałem tego, czego *naprawdę* chciałem.

Nie dzwonię bowiem do tych wszystkich przypadkowych osób tylko po to, żeby dać sobie szansę na piękną znajomość. Wybieram te nieznanne numery z drzemiącą gdzieś w głębi ducha szaloną nadzieją.

Że pewnego dnia osobą, którą usłyszę w słuchawce, będę ja sam.

Zapewne tak sformułowana myśl wydaje się kompletnym wariacstwem, jestem jednak przekonany, że to możliwe. To swoisty paradoks czasu, szczelina pomiędzy wymiarami. Albo poważne zaburzenie umysłowe, powie ktoś inny. Może. Ale to by było naprawdę niesamowite. Móc porozmawiać ze sobą jak z przyjacielem. Wszystko sobie powiedzieć, o wszystko zapytać, ze wszystkiego się zwierzyć. Zrzucając maskę, nie mogąc kłamać. Usłyszeć siebie takiego, jakim się rzeczywiście jest.

Tak, w tamtym okresie wierzyłem w możliwość przyjrzenia się swemu prawdziwemu obliczu. Wierzyłem, że można to przeżyć.

Dlatego dzwoniłem pod numery, jakie przysły mi do głowy. Jedni zakreślają liczby, żeby wygrać pieniądze, ja robię to, żeby spotkać się ze sobą. To co najwyżej równie głupie. Każdy, kto gra w lotto, wie, że ma na wygraną jedną szansę na dziesiątki milionów, że to utopia i równie dobrze można czekać, aż strzeli w nas piorun - co zresztą jest znacznie bardziej prawdopodobne. Dlaczego więc nie miałbym wierzyć, że i mnie dopisze szczęście?

Przekonacie się, że kiedyś zadzwonię i sam odbiorę telefon od siebie.

Kiedyś w końcu się znajdę.

29

Wszystkie nadzieje drugiej randki, cała ta pewność.

Wszystko układało się samo, zupełnie naturalnie. Po prostu Ophélie i ja byliśmy, musieliśmy być stworzeni dla siebie.

Zadzwoiła do mnie w poniedziałek rano i wyznaczyła spotkanie wieczorem, przed Galerią Lafayette'a.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Ulice były przepelnione jak tętnice, którymi płynie krew. Ludzkie zwierzę stało się czerwonym ciałkiem, tradycje narządami, które w tym wyczerpującym okresie trzeba zaopatrywać w tlen. To był zbiorowy ruch dla utrzymania cywilizacji na jej miejscu i w dobrej kondycji. Tłum parł, sunął chodnikami w jednym kierunku, potem w przeciwnym, po drugiej stronie ulicy, wlewał się i wylewał ze sklepów z obciążonymi rękami, ludzie wchodzili i wychodzili z domów z pustymi rękami, ruch wypełniał autobusy, metro, pociągi, samochody, krążył, żeby przyszedł święta, żeby były piękne, żeby wszyscy spotkali się z rodzinami, żeby przez kolejny rok, jeszcze jeden rok, wszystko istniało w najlepsze, i mniejsza o resztę, bo to był konieczny warunek przetrwania naszego społeczeństwa.

I to właśnie najbardziej drażni mnie w Boże Narodzenie: rodzina.

Moja już nie istnieje. Jestem nowym chłopakiem. Do tej pory moje życie zapisywało się na czarnej tablicy. Zdjąłem ją ze ściany i zastąpiłem tablicą Yelleda. Starą gdzieś odstawiłem, ale nie pamiętam gdzie, a część tego, co było na niej zapisane, wytarła się podczas przenoszenia. Była tam moja rodzina, w kredzie. A ja teraz chcę już tylko tego, co napisano flamastrem, w żywych kolorach, i co trudniej wymazać. Muszę zbudować sobie nową rodzinę. Mam swoje powody. A te przyprowadzają mnie o klucie w żołądku i o zawroty głowy.

Ophélie. W tej chwili liczy się tylko ona. Może stanie się moja nową rodziną.

Po nocy spędzonej z tą dziewczyną na cmentarzu taka myśl wydaje się nieco przerażająca, zdaję sobie z tego sprawę, jednak jest coś pięknego w dopuszczeniu do siebie takiej nadziei - słodkiej, ale i szalonej. Dziecinna zachcianka.

Ophélie była tam, gdzie kazała mi przyjść, tłum czerwonych komórek błyskawicznie przemykał pomiędzy nami. Kiedy przed nią stanąłem, jej usta powitały mnie najpiękniejszym ze słów - pocałunkiem. Był czuły, ciepły, prawie nieśmiały. Trójca święta pocałunku młodych kochanków.

Zależało mi, żeby zaprogramować ten wieczór, dodać sobie pewności konkretem, mapą drogową, na której mógłbym się oprzeć, toteż rzuciłem:

- Znam małą, bardzo romantyczną restaurację niedaleko stąd, jeśli...

- Kolacja jest już zaplanowana.

- Aha.

Spojrzała na zegarek - białego swatcha.

- Zjemy za mniej więcej dwie godziny, musisz poczekać. Dzięki temu zdążymy dotrzeć na miejsce.

- To tak daleko?

- Nie chodzi o odległość. Ale podróż jest dość skomplikowana.

Ophélie zauważyła moje zaskoczenie, więc wyjaśniła:

- To będzie kolacja w czwartym wymiarze.

Zaskoczenie to niewłaściwe słowo - poczułem, że bezwładnie spadam w otchłań niezrozumienia. Ta dziewczyna była wariatką, była dla mnie stworzona.

Ujęła mnie za rękę.

- Chodź.

I wciągnęła mnie do sklepu.

- Wybierasz się na zakupy? - zapytałem.

- Nie, ale to wejście do czwartego wymiaru.

Powinienem być się tego domyślić - sam środek wielkiego sklepu, świątyni konsumpcji.

Wtedy właśnie wydało mi się oczywiste, że w naszym związku grałbym rolę tego, kto sądzi, że wie, ale nigdy nie zostałbym tym, który podąża za partnerką. Na oślep. W tej kwestii będę musiał zmodernizować formułę Kartezjusza: nie wiem, więc jestem. Tego trzeba uczyć przyszłe owce republiki.

Ophélie miała mały czarny plecak, wyraźnie przeładowany, więc zaproponowałem, że będę go niósł, a ona bardzo chętnie skorzystała z oferty. Był ciężki - przez materiał wyczułem między innymi szklaną butelkę. Szykował się kolejny surrealistyczny piknik. Moja pobudzona wyobraźnia podsunęła mi wizję tego, co nas czeka - dachy Paryża. Czysty romantyzm. Prawdziwa para Amerykanów karmionych stereotypami.

Jasne loki Ophélie wskazywały mi drogę, a ja potulnie szedłem za nimi pomiędzy gablotami z biżuterią ku schodom na piętra, gdzie królowali kreatorzy mody, pantofle, gotowa odzież... Światła, kolory, muzyka, zgiełk, przepychanie się - radości wielkich sklepów! Wszyscy klienci nastawieni byli na poszukiwanie, toczyli zahipnotyzowanym wzrokiem po masie towarów, pożądamy wyjątkowej zdobyczy, obawiając się coś przeoczyć. Ich czujne źrenice penetrowały każdy zakątek, przesywały ciała, a przedświąteczna obsesja sprawiała, że byli gotowi odepchnąć każdego, kto stanąłby im na drodze. Konsumenty z krwi i kości.

Nadeszła chwila, kiedy musieliśmy przeprawić się przez ludzkie bystrzyny, żeby dotrzeć na drugą stronę naszego piętra, nieco spokojniejszą i cichszą. Ophélie chwyciła mnie za rękę i poczułem ciepło jej gładkiej skóry. Dotknąłem opuszką palca jej długich paznokci. Dreszcz. I nagle szarpnęła mnie do przodu, gdzie znów znaleźliśmy się w skupisku konsumentów o niepokojących spojrzeniach. Ludzie przesuwali się jedni po drugich, w szmerze stłoczonych ciał, mieszaninie oddechów w wielkiej ciasnocie sklepu - za dużo było tu klientów, oczy traciły z pola widzenia towary, wzrok się wycęzał, wpadał w obłąd, rodziło się poczucie braku, wrażenie, że przegapi się DOBRĄ OKAZJĘ. Pot, brak tlenu, narastająca złość. Oddychać. Przejść. Konsumować. Wyprzedzić innych. Bronić swojego terytorium, chronić tę małą kulę, na którą napiera tłum. Oddychać. Przesuwać się. Wydostać się stąd. Oddychać. Uciec przed obmacującymi rękami. Przed uderzeniem torebką w twarz. Przed przyprawiającym o mdłości smrodem. Oddychać. A właściwie nie - lepiej nie wdychać cudzego potu, wzięwów z ust. Trwać w stanie bezdechu. Przesuwać się. Utorować sobie drogę i wyrwać się z tego stada.

Wypadliśmy na skraj alejki, między granatowe trencze ze złocnymi guzikami. Byliśmy cali.

Ophélie patrzyła na mnie rozbawiona.

- Wielkie sklepy przed Bożym Narodzeniem to wystawa człowieczeństwa!

- Tak, muszę przyznać, że w porównaniu z tym moja mała restauracja zapewniłaby nam więcej spokoju.

- Zanurzenie się w ludzkim tłumie to pierwszy składnik potrzebny do przekroczenia wrót czwartego wymiaru.

- Pierwszy składnik? Czyżby były jeszcze inne? To jakaś magiczna receptura?

- Drugi to zdolność zagubienia się w sobie.

- ...

- Odpowiada ci to?
- Co mamy zrobić?
- Nie puszczaj mojej ręki, a sam się przekonasz.

Ophélie zaciągnęła mnie w koniec korytarza, do toalety dla pań. Zamknęła się ze mną w kabinie dla niepełnosprawnych, położyła ręcznik na opuszczonej klapie i poprosiła, żebym usiadł. Potem siadła mi na kolanach i uśmiechnęła się zadziornie.

- Musimy przeczekać ponad pół godziny. Myślisz, że mógłbyś mnie całować przez cały ten czas?

Należę do mężczyzn, którzy lubią wyzwania. Mój język też.

Zajęliśmy się sobą, czas topniał na naszych językach. A przecież jedyną jego miarą są emocje: jest ulotny i harmonijny w rozkoszy, ciężki i chaotyczny w bólu. Istnieje cała kohorta czasów pośrednich, relatywnych, każdy ma własny czas, zmienny jak elektroencefalogram rejestrowany we śnie.

Przerywa nam płynący z głośnika automatyczny komunikat:

- Informujemy naszych szanownych klientów, że do zamknięcia sklepu pozostało dziesięć minut. Prosimy o kierowanie się do kas i dziękujemy za wizytę.

Ophélie i ja zignorowaliśmy miły kobiecy głos. Informacja została podana, ale moja przewodniczka najwyraźniej uznała, że nie przejmujemy się groźbą zamknięcia. Nasze języki kontynuowały swe przemiany w rytm zegara.

Kobiecy głos ponaglał:

- Informujemy klientów, którzy zaczynają nas wkurzać, że mają się pospieszyć i wychodzić. Personel sklepu też chciałby iść do domu i nie oglądać dłużej waszych łbów! Wynocha!

Po trzech minutach:

- Wynoście się, zboczeńcy!!! Nie macie rodzin!?!

Może to tylko moje odczucie, ale nachalność, z jaką odtwarzano ten sam komunikat, graniczyła z napastowaniem. W końcu język Ophélie odkleił się od mojego. Uświadomiłem sobie, że byłem z nią złączony jak stary nit, który od początku spaja elementy wieży Eiffla. Ścisnąłem ją wszystkimi porami skóry, niemal z nią zespawany, a mój członek był jak ta mała, przerdzewiała śruba, która trzyma całą konstrukcję.

Niebieskie oczy Ophelie patrzyły na mnie badawczo. Były imponujące. Tak, właśnie imponujące, a nie: piękne. Bo w słowie imponujący jest ten ciąg *m* i *p*, który czyni je niemal trudnym do wymówienia, a także do napisania. To słowo z pewnością trudniejsze od *piękny*, wymagające odrobiny wysiłku, zaangażowania osobistego,

aby go nie przekręcić, a więc i staranności. Właśnie takie były jej oczy - domagały się zaangażowania, minimum osobistego zainteresowania, chciały być zrozumiane, a w tym celu trzeba się było nimi rozkoszować. Jak tym *m* poprzedzającym *p* w przymiotniku podkreślającym zalety. Takie były oczy Ophélie - pełne zalet.

- Musimy wstać - powiedziała cicho, nie odrywając warg od moich ust.

- Prawdę mówiąc, myślę, że już nas tu zamknęli...

- Tak, ale wkrótce strażnicy będą robili obchód.

Zamierzałem jej powiedzieć, że w takim razie zostaniemy uwolnieni, ale zrozumiałem, że właśnie tego ocalenia chce uniknąć.

Dała mi znak, żebym wstał. Potem trwalismy w bezruchu, przytuleni do siebie, starając się utrzymać równowagę na klapie sedesu. Ukryci w małym boksie, czekaliśmy, aż trzasną drzwi, a skrzywienie butów przesunie się przez całe pomieszczenie, aż do najdalszej umywalki.

- W porządku - rzucił schrypnięty głos palacza. - Nikogo tu nie ma.

Zaskrzeczało radio. Inny głos odezwał się z kiepskiej jakości odbiornika:

- Ostatni klient zjechał na parter, możesz wyłączyć ruchome schody.

Minęło kilka minut, zanim stanęliśmy na posadzce. Ophélie parzyła na białą tarczę zegarka.

- Teraz trzeba im dać pół godziny na zamknięcie wszystkiego. Potem przez godzinę kręcą się tu ekipy sprzątające. Kiedy skończą, będziemy mieli wreszcie spokój.

- Mamy jeść kolację w wychodku Galerii Lafayette'a? Prawdę mówiąc, moja restauracyjka byłaby...

- Nie, ty głuptasie. Nie zostaniemy w toalecie. Zobaczysz.

- Ale... na zewnątrz strażnicy robią obchody, w dodatku są kamery. Od razu nas dopadną.

- Znam pory obchodów, a na tym piętrze wszystkie kamery są uszkodzone. W okresie świątecznym nie mają jak ich naprawić.

- Jesteś doskonale poinformowana.

- Sypiam z szefem ochrony.

Usłyszawszy to, upodobniłem się do duszka Caspra. Zrobiłem się nie tylko błąd, ale wręcz przezroczysty.

- Tak łatwo cię nabrać! Mój brat tu pracuje. Jest stróżem nocnym.

- Czyli to rodzinna kolacja?

- Nie, romantyczna. Dziś ma wolne. Będziemy tylko we dwoje.
- Cudownie.
- Ale oczywiście wszystkie manekiny będą nas obserwowały.
- To już gorzej.
- To czwarty etap na drodze do czwartego wymiaru - trzeba zatracić punkty odniesienia, zaakceptować to, co obce i dziwne.
- A trzeci etap? Mamy go już za sobą? Na czym polegał?
- Właśnie trwa. To zastrzyk adrenaliny. Chodźmy.

Wymknęliśmy się z toalety ukradkiem. Ophélie znowu prowadziła mnie za rękę. Legion wojowników w niebieskich kombinezonach uwijał się w alejkach, uzbrojony w odkurzacze, maszyny do mycia posadzek, sprzęt do czyszczenia szyb, szczotki i ścierki do kurzu, staczając identyczną jak co wieczór batalię, której wtórował zgiełk maszyn. Był to też wyścig z czasem - każdy musiał zdobyć wytyczone terytorium, zanim wskazówki przemierzają określoną drogę na tarczy zegara. Chyłkiem prześliznęliśmy się za załom ściany, między wieszaki pełne kaszmirowych płaszczy, i Ophélie odwróciła się do mnie, figlarnie uśmiechnięta.

- Praca zawęży horyzonty myślowe - szepnęła. - Popatrz.

Pchnęła mnie między cztery manekiny i zastygła, przybierając odpowiednią pozycję. O nic nie pytając, zrobiłem to samo.

Niebieski żołnierz zbliżał się, sprawnie przesuając szczotkę odkurzacza po wykładzinie dywanowej. Znalazł się dokładnie przed nami. Trzy szybkie ataki zakończonej szczotką rury i czarna plastikowa paszcza przesunęła się między manekinami a nami, uderzyła o moje buty, a głowa wojownika otarła się o mój brzuch. Starłem się prawie nie oddychać, żeby mnie nie zdemaskował. Gdyby uniósł głowę, byłoby po mnie.

Ale ten rycerz czystości już odwrócił się tyłem, aby rozszerzyć swoje włości o dział dodatków zimowych. Wciągnąłem powietrze w płuca i zgromiłem Ophélie wzrokiem. Mogła mnie uprzedzić. Jej kokieteryjna mina zirytowała mnie - postanowiłem ją skarcić. Spuścić jej lanie. Wiedziała o tym. Igrała ze mną. Władza, jaką zyskują nad nami kobiety, jest po prostu niesprawiedliwa. Prawdopodobnie to właśnie czyni z niektórych facetów mizoginów.

Armada przeniosła się na niższe piętro. Potem zapanowała cisza. Nagle światła zaczęły gasnąć sektor po sektorze, gęsty mrok dopadł nas ze wszystkich stron. Znaleźliśmy się w ciemnościach. Tylko mały kwadrat w dali wskazywał wyjście awaryjne. Nic poza tym. Miałem wrażenie, że dzielą mnie od niego kilometry. Był taki mały. Lada chwila mógł zawirować, pokazując mi, że wszedłem do czwartego

wymiaru, ale tym razem zamiast kobiety przemówi Rod Serling.

Ophélie sięgnęła do plecaka, który miałem na ramieniu, i wyciągnęła z niego plastikowe tulejki wielkości grubego długopisu. Przełamała je, a wtedy zaświeciły różnymi kolorami - żółtym, niebieskim, czerwonym i zielonym. Zaczepiła je na palcach otaczających nas manekinów. Otuleni tą bajeczną tęczą, usiedliśmy przy obrusie, który Ophélie rozłożyła na dywanie. Podała mi dwie dmuchane poduszki - zupełnie płaskie, a ja tchnąłem w nie życie, żeby zapewnić wygodę naszemu pośladowcom. Z plecaka wyłoniła się nasza kolacja: pojemnik z *taboulé*, plastikowa torba pełna kurzych udek, kartonowe pudełko sałatki owocowej. Butelka Crozes-Hermitage 2003 zastąpiła tym razem bordeaux, ale dlaczego nie? Słowem, i tym razem Ophélie pomyślała o wszystkim.

Napełniła mój papierowy talerz i powiedziała:

- Chciałam nawiązać do motywu naszego pierwszego spotkania.
- Kolacja pod okiem martwych? - powiedziałem, zerkając na manekiny, które otaczały nas kręgiem.

- Chodziło raczej o oderwanie się od świata żywych, do którego należymy, na tę chwilę niezwyklej wspólnoty, żebyśmy mogli rozmawiać bez skrępowania, lepiej się poznając.

- To właśnie jest czwarty wymiar?

- Tak sądzę. Wciąż jesteśmy w naszym świecie, a jednak z boku, zagubieni w niepowtarzalnym czasie, w wyjątkowej chwili, z dala od wszystkiego - także od naszych przyzwyczajzeń.

- Powiedz, czy każde nasze spotkanie musi być takie... oryginalne? Bo myślę sobie, że ja i moje tradycyjne małe restauracje nigdy nie sprostają twoim oczekiwaniom.

- Wcale nie próbuję cię zadziwić, a tylko pokazuję, kim jestem.

- Jak rywalizować z taką fantazją?

- Kto mówi o rywalizacji? Osobiście wolałabym, żebyśmy się uzupełniali. Czy nie to jest najważniejsze w związku?

- Żebym równoważył twoją fantazję monotonią?

- Tym, jaki jesteś. Dopóki jesteś szczery.

- Naprawdę jesteś oryginalna.

- Nigdy tego przed tobą nie ukrywałam. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie w moje urodziny? Powiedziałam ci, że maluję obrazy martwymi muchami.

- To prawda?

- Tak. Właśnie taka jestem. A ty? Jakim jesteś człowiekiem? Powiedz mi, co w tobie jest najbardziej oryginalne, co jest twoją największą wadą, i opowiedz mi o swoim powracającym koszmarze.

- Czy to rozmowa kwalifikacyjna?
- Oboje przeżyliśmy rozkosz na cmentarzu, więc myślę, że możesz odpowiedzieć na te trzy pytania.

Przełknąłem *taboulé*, dając sobie czas na przemyślenia, a potem zacząłem:

- Jestem noworodkiem, mam dopiero trzy tygodnie. Jestem księżycowym cynikiem. Nigdy nie pamiętam snów, poza tym jednym koszmarem, który zawsze jest taki sam: królik olbrzym ściga mnie po całym Paryżu, gdzie nie ma już nikogo innego. Ten potwór chce mnie zgwałcić. Na szczęście zawsze dotąd budziłem się, zanim mnie dopadł.

- Dziwaczny koszmar - powiedziała, nie uśmiechając się. - Opowiedziałeś go swojemu psychoanalitikowi?

- Uważa, że nie chcę pogodzić się z naiwnością i czystością, jaką zachowałem, a królik to symbol bardzo dziecinnej osobowości, którą mój cynizm traktuje jak zagrożenie. Mówi, że nie stanę się w pełni sobą, dopóki będę się bał pogodzić z tym, jaki jestem, nawet jeśli naiwne, mniej cyniczne podejście do świata bywa czasami źródłem większych cierpień niż ukrywanie się za skalą obojętności.

- A co ty o tym sądzisz?

- Że to brednie. Mój psychoanalitik nigdy nie widział potwornej paszczy tego olbrzymiego królika. To cholerna bestia, która biega na tylnych łapach, zupełnie jak człowiek, i chce mnie zerznąć. Tylko i aż tyle.

Uśmiechnęła się. Jedliśmy bez pośpiechu, a ja rozglądałem się po mrocznym wnętrzu, obawiając się, że królik sodomita mógłby czaić się między manekinami.

- A ty? Dręczy cię jakiś koszmar? - zapytałem po chwili.

- Tak - przyznała, jakby wydawało jej się to oczywiste i jakby dodawało jej otuchy. - Nawet kilka. W tym ulubionym owijają mnie bandażami jak mumię.

- Żywcem?

- A potem zamykają mnie w sarkofagu.

- Ale żywcem?

- Tak, do samego końca.

- To makabryczne.

- Nie, ale robi mi się smutno. Bardzo smutno, bo przed mumifikacją kapłani zadbali, żeby wszystko zrobić jak należy i napelnili mnie czym trzeba, wyjęli ze mnie narządy, tylko nie usunęli mi przez nozdrza mózgu. Zostawili mi go, więc martwię się, że muszę umierać z mózgiem, a przede wszystkim, że wejść z nim w

nieskończoność.

- I to cię zasmuca? Nie sądzisz, że to dziwne?

- Nie. Za życia ufam innym, a w chwili przejścia do wieczności uświadamiam sobie, że nie mogę na nich w pełni polegać. To bardzo przykre. Godzę się być sobą na czas życia, ale nie chcę na wieczność ani mojego serca, ani umysłu.

- To znaczy, że nie chcesz być sobą.

- Właśnie tak.

- A szkoda, bo o ile zdążyłem się zorientować, jesteś świetną dziewczyną.

- Może, nie zamierzam zaprzeczać. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że jestem świetna. Ale na jedno życie. To już dużo, nie chcę więcej. Wieczność to nie dla mnie.

- Dlaczego?

- Bo trwa zbyt długo.

- Nie wiadomo, może wcale nie.

- Pierre, wieczność to wieczność.

- A może daje wytchnienie.

- Wieczność ze sobą? Nie, nie wierzę. To musi być istny obłąd!

W końcu trudno znieść własne towarzystwo! I co wtedy? Przecież w wieczności nie można nawet odebrać sobie życia!

- Skąd wiesz?

- Pierre, nie żartuj! To wieczność! Nie miałyby sensu, gdyby można ją było zakończyć. Powstałby problem z koncepcją albo definicją tego stanu! Nie, to wykluczone. Wieczność oznacza pozbawienie jednostki fundamentalnego prawa.

- Prawa do samobójstwa?

- Właśnie.

- Uważasz, że to fundamentalne prawo człowieka?

- Oczywiście. A ty nie?

- Hm... nie. Podstawowe jest prawo do orgazmu. Ponieważ toruje drogę do życia. Do przedłużenia siebie. Do wieczności skonkretyzowanej, materialnej, a nie tylko duchowej.

- Ale życie i tak rozwija się bez ciebie, podczas gdy popełniając samobójstwo, decydujesz o przerwaniu wszystkiego.

- Taaa... Powiedz, myślisz czasami o samobójstwie?

- Własnym?

- Hm... oczywiście, inaczej należałoby mówić o zabójstwie.

- Nie. Można myśleć o cudzym samobójstwie. Nie myślę właściwie o moim samobójstwie, nie interesuje mnie to. Ale samobójstwa innych są pasjonujące. Chyba powinnam ci o czymś

powiedzieć.

- O czym?

Spodziewałem się strasznego wyznania.

- Ja je kolekcjonuję.

- Co takiego?

- Samobójstwa.

- Tak, to prawda. Od najmłodszych lat kolekcjonuję samobójstwa.

Chwila głębokiego niezrozumienia. Pustki. Śmierci. Nie wiem, jak to nazwać, ale to czas czegoś, co nie jest. Wewnętrznej nicości. Nie wiem już, co o tym myśleć. Jeżeli w ogóle jeszcze myślę.

W obecności wszystkich tych statycznych manekinów, które nas obserwowały, kryjąc się w ciemnościach, w wielobarwnej, niemal psychodelicznej poświacie lampek odcinających nas od mroku, spojrzałem nagle na Ophélie w zupełnie inny sposób. A przecież roztaczała nie tylko czar niezwykłej urody, ale i taki ogrom łagodności, że trudno mi było się bać. Ściągnęła zmysłowe usta i patrzyła na mnie.

- Wystraszyłaś mnie?

- Nie wystraszyłaś, ale zbiłaś z tropu. Oczekujesz, że pewnego dnia z miłości do ciebie odbiorę sobie życie?

- Tylko nie to! Gdybyś zrobił coś takiego, okazałbyś mi brak szacunku.

- Dziękuję, że zwróciłaś na to uwagę. Ale co to za kolekcja samobójstw?

- Co, nie zbierałaś znaczków, kiedy byłaś małą? Albo samochodzików Majorette czy czegoś innego?

- Hmm... Teraz zaczynam się bać. A jak wygląda kolekcja samobójstw?

- Od najmłodszych lat mnożyły się wokół mnie samobójstwa. Najpierw matka, kiedy miałam cztery lata, potem ojciec chrzestny. W liceum moja najbliższa przyjaciółka, a gdy miałam dwadzieścia lat - mój chłopak. I wreszcie, pięć lat temu - mój dziadek. To oczywiście tylko mój prywatny zbiór. Potem, kiedy uświadomiłam sobie, że z tej lawiny śmierci tworzę kolekcję, musiałam pogodzić się z oczywistością i zacząć nieodzowne prace poszukiwawcze, żeby wzbogacić ją o kolejne przypadki.

Oszołomiony walczyłem z myślami - podejrzliwość i niedowierzenie raz po raz przerywała ta sama kwestia: „Kurwa, co ja tu jeszcze robię? Czy naprawdę tego chcę?”. Ale Ophélie była taka piękna, seksowna, no i szalona!

- Jak *zbiera się* samobójstwa?

Wypowiedziawszy to pytanie, w duchu zadałem sobie inne: czy jestem kompletnym debilem, czy po prostu wpakowałem się w nieprawdopodobną sytuację?

- Poprzez odpowiednie dobieranie ludzi, z którymi się spotyka. Starannie ich selekcjonuję. Podkreślam, że nie robię tego dla siebie, w jakimś morderczym zrywie, ani żeby utwierdzić się w przekonaniu, że mam jakąkolwiek władzę nad życiem i śmiercią. Nic z tych rzeczy. Spotykam kobiety i mężczyzn, którzy są u kresu wytrzymałości, którzy mają już dość, i stają się ich powiernicą, ostatnim oparciem. Nie osądzam ich ani nie usiłuję nakłonić ich do odejścia, ani powstrzymać, po prostu przy nich jestem. A kiedy już decydują się z tym skończyć, o ile osiągają taki punkt, stają się tą, która wysłuchuje ich ostatnich myśli.

- Czy ty... im pomagasz?

- Nie! Oczywiście, że nie, to by wszystko zepsuło! Kieruję się bardzo rygorystycznymi zasadami etycznymi. Chętnie godzę się towarzyszyć im w odejściu, ale w żadnym wypadku nie interweniuję, chyba że trzeba powiadomić ich bliskich albo załatwić sprawy w zakładzie pogrzebowym. Nic poza tym. Godzę się stać u ich boku, jeśli czuję, że moja obecność naprawdę jest im potrzebna i że dzięki mnie ta chwila nie wyda im się aż tak straszna.

- Ale... gdybyś odmówiła, to może nie zdobyliby się na ten krok. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że twoja obecność może być dla nich zachętą do odebrania sobie życia, a bez ciebie po prostu by tego nie zrobili?

- I dlatego tak starannie ich selekcjonuję i wybieram wyłącznie prawdziwych desperatów, przypadki beznadziejne.

Nie, to nie ja byłem debilem, to sytuacja była nieprawdopodobna.

- A jak ich wyszukujesz?

- Teraz jestem znana w wielu stowarzyszeniach wspomagających osoby w bardzo złym stanie.

- Stowarzyszeniach? - powtórzyłem w osłupieniu.

- Tak. I to bardzo poważnych.

- Ale to...

- Szaleństwo? Tak.

- Chcesz mi powiedzieć, że ludzie do nich dzwonią i mówią, że jest im źle, a wtedy oni posyłają do desperata kolekcjonerkę samobójstw?

Ophélie wydeła usta - moje spojrzenie na problem nie przypadło jej do gustu. W przyplwywie tolerancji powstrzymała się od riposty i

spróbowała jaśniej mi to opisać:

- Nie przychodzę, żeby poddać ich eutanazji, nie dramatyzuj tak! Co ty sobie wyobrażasz? Że wolontariusze takich stowarzyszeń potrafią czynić cuda? Że co wieczór ratują komuś życie? Nie. Robią, co mogą. Słuchają. Czasem znajdują kogoś, z kim jest naprawdę źle, kto dzwoni wiele razy, kto jest bliski nieodwracalnego kroku, a kiedy uznają, że nic więcej nie są w stanie zrobić, podają mu mój numer. Jestem ostatnim ogniwem łańcucha wsłuchania się w rozpacz. Jeśli chcesz wiedzieć, jak brzmi ten głos desperacji, to możesz mnie zapytać.

- I... zdarza ci się kogoś uratować?

- Czasami. Ale pamiętaj, że ludzie, którzy do mnie trafiają, to najbardziej beznadziejne przypadki. Odsetek przeżywających nie jest zbyt wysoki. Prawdę mówiąc, nie jestem tego pewna, bo większość dzwoni do mnie raz czy dwa i już nigdy więcej nie słyszę o tych osobach. Ale rozmawiając z nimi, domyślam się, że są praktycznie straceni.

- To jakieś szaleństwo.

- Jestem owocem społeczeństwa hipokrytów, w którym nikomu nie chce się zdobyć na wysiłek wsłuchania się w głos zdesperowanych. Odmawiamy ludziom śmierci, chociaż jest ich fundamentalnym prawem. Nie wybieramy życia, ale możemy przynajmniej wybrać śmierć. Zrozum, jestem przydatna.

- Systemowi?

- Nie, system ma gdzieś takich jak ja, on opiera się na masach. Nie przejmuje się jednostką, bo liczy się tylko z tym, co staje mu na drodze, ale i to chce zmiażdżyć. Ja jestem przydatna dla bytu. Dla *człowieczeństwa* ludzkości. A przynajmniej dla tych, którzy jeszcze mają w sobie to człowieczeństwo i którzy nie potrafią już żyć w takim świecie.

Na usta cisnęło mi się jeszcze jedno pytanie.

- Powiedz... ile samobójstw masz w tej kolekcji?

- W tej chwili sześćdziesiąt osiem, ale jutro czy pojutrze może ich być sześćdziesiąt dziewięć.

Jej oczy lśniły w blasku kolorowych lampek naszego pikniku. W jej prawej źrenicy odbijała się czerwień, w lewej błękit.

Patrzyłem na nią z głupkowato otwartymi ustami.

Irytujący głos mojego psychoanalityka znów torował sobie drogę do mojego mózgu. Uprzedził mnie, że zadając się z tą dziewczyną, napytam sobie biedy. Nawet Julia mnie przed nią ostrzegała.

Cały świat mnie ostrzegał.

Bo teraz miałem tylko dwoje znajomych.

Ophélie sięgnęła po butelkę wina i napełniła mój kieliszek. Uniosłem go (wybrała prawdziwe, kryształowe kieliszki, żebyśmy mogli delektować się dobrym winem, a nie plastikowe kubeczki, i już to dowodziło, że jest nietuzinkowa, bo powiedzmy sobie szczerze, żadna normalna dziewczyna nie wpadłaby na taki pomysł) i dałem się przekupić. Dusza ludzka jest krucha.

Ciało jeszcze słabsze.

Bo Ophélie w półmroku wyglądała tak pięknie! Te wydatne kości policzkowe, te pełne usta. Nawet nie wspomnę o krągłych piersiach rysujących się pod wełnianym sweterkiem. Wystraszyła mnie tymi opowieściami, a ja mimo wszystko marzyłem tylko o tym, żeby się z nią kochać.

- Przed chwilą powiedziałeś, że jesteś trzytygodniowym noworodkiem. Wytlumacz mi, co miałeś na myśli?

Nie kazałem się prosić - uznałem, że warto skorzystać z okazji, żeby zmienić temat.

- Jestem nowym człowiekiem. Kolekcjonujesz samobójstwa, ale nie powiesz mi chyba, że masz w swoich zbiorach samobójcę, który powrócił pod inną postacią?

- Próbowałeś ze sobą skończyć? - zapytała z zainteresowaniem, które zmroziło mi krew w żyłach. - I co, nie udało ci się?

- Przeciwnie, doskonale mi się udało. Skończyłem ze wszystkim. A teraz zaczynam od zera.

Ophélie, która siedziała z podkulonymi nogami, lekko się przechyliła i wdzięcznym ruchem podciągnęła kolana pod brodę, otulając łydki rękami. Skupiła na mnie całą uwagę.

- Czyli na cmentarzu, kiedy mi powiedziałeś, że skończyłeś z dawnym życiem, to nie była metafora. I nie masz w sobie już nic z tego, kim wcześniej byłeś?

Jej oczy pałały.

- Nic. Zerwałem z przyjaciółmi, rzuciłem pracę, dawne miłości, rodzinę - wszystko.

- Czyli nie masz już przeszłości, o której mógłbyś mi opowiedzieć?

- Nie.

- Żadnych zachowanych wspomnień?

- Żadnych, wszystko odrzuciłem. Ale jeśli chcesz, mogę je sobie wymyślić.

- A więc to stąd.

- Co?

- Twój zapach.
- Zapach?
- Tak. Wtedy, na cmentarzu, kiedy się kochaliśmy, miałam wrażenie, że dziwnie pachniesz. Ale nie myśl, że to przykry zapach.
- Dziwnie?
- Tak. Pachniesz nowością.
- O!
- W dodatku bardzo filozoficzną!
- Hm...
- Ale czy można mieć doświadczenie bez wspomnień? Cudowne!

Ophélie uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, to genialne! - zachwyciła się.
- Dlaczego?
- Nie rozumiesz? Dla dziewczyny mieć takiego nowego faceta to niesamowite! Potrafisz robić wszystko, ale w pamięci nie zachowałeś nic z przeszłości. Każdy może odcisnąć na tobie własne piętno. Jesteś jak czysta kartka.

- I to takie dobre?

- To wspaniałe. I bardzo ekscytujące.

Pochyliła się nieoczekiwanie i kładąc rękę na obrusie, przysunęła się do mnie. Pukle jasnych włosów opadły, zasłaniając jej twarz. Właśnie wtedy stwierdziłem, że jestem nieokiełznanym samcem. Widziałem tylko jedno i tylko o tym myślałem. Jej piersi przesłoniły mi świat.

Czule mnie pocałowała.

Fajerwerki paryskiego Disneylandu wybuchły pod moimi powiekami. Mickey, Minnie, Donald - wszyscy byli piękni, wszyscy byli dobrzy. Zniknęły zmartwienia, świat stał się prosty. Czulem głębokie szczęście, dziecinne emocje, czystą rozkosz i zachwyt. I zwód.

Można by pomyśleć, że mózg składa się z niezależnych obszarów, ponieważ nawet gdy te najważniejsze wydają się zajęte tym, co aktualnie robimy, to jakaś mała część, bardziej przyczajona, nadal analizuje to, co zostało powiedziane. Ta wichrzycielka wykorzystuje ogólną szczęśliwość, żeby dojść do głosu. Nagle z moich ust popłynęły słowa. Nie spodziewałem się ich, poznawałem dopiero, słysząc własny głos.

- Zabierzesz mnie na następne samobójstwo?

- Może, ale pod warunkiem że pozwolisz mi zmyć z siebie ten zapach nowości.

I znów zaczęliśmy się całować. Wtedy zawibrował telefon

Ophélie. Natręt nie rezygnował, próbował trzy razy, ale Ophélie go zignorowała. Obdarzyła mnie ciepłym, wilgotnym szczęściem. Potem znów powtórzyły się wibracje - SMS. W roztargnieniu zerknąłem na rozświetlony ekran, na którym widniał początek wiadomości.

Caro, odbierz, to ważne.

Wyglądało na to, że kolekcja mojej ukochanej gwałtownie się powiększy.

I na to, że nie zdradza wszystkim prawdziwego imienia.

To wzbudziło we mnie wątpliwości. A jeśli ona wcale nie istnieje? Jeżeli to wszystko jest tylko tworem mojego udręczonego umysłu? Zbyt piękne, zbyt mocne, zbyt niezwykle.

Szepnąłem jej do ucha:

- Jesteś prawdziwa?

Wyszczrzyła zęby i przesunęła po nich czubkiem języka. Rzuciła mi zadziorne spojrzenie.

- Powiesz mi, czy naprawdę wątpisz w moje istnienie.

Chwyliła ręką mój pasek.

Jestem pewien, że wszystkim manekinom wokół nas fiuty stanęły jak bykom. Nawet jeśli to były damskie manekiny.

Ophélie nawet eunucha doprowadziłaby do orgazmu. Więc do diabła z logiką. Oszalałem dla niej, nie licząc się z konsekwencjami.

Te dwa spotkania z Ophélie pozwoliły mi zrozumieć, że między nią a mną narodziło się coś poważnego.

Kolekcjonerka samobójstw, która maluje obrazy zdechłymi muchami i uprawia seks nocą na cmentarzu albo w Galerii Lafayette'a, to kobieta idealna.

Nie mogłem pozwolić, żeby ta stuknięta dziewczyna mi się wymknęła. Z kobietą taką jak ona nie groziła mi nuda. Wiedziałem, że Ophélie w każdej chwili potrafi mnie zaskoczyć - w dobrym i złym znaczeniu tego słowa - ale zawsze będę za nią podążał, nigdy nie zdołam przewidzieć jej myśli, odgadnąć, co mi szykuje. Właśnie takiej kobiety potrzebuje facet, którego wszystko szybko nudzi.

Nazajutrz po naszej drugiej nocy czułem się lekko oszołomiony brakiem snu i cudownymi doznaniem, bo po łajdackich wyczynach pod okiem bandy lubieżnych manekinów dokończyliśmy kolację, a potem urządziliśmy sobie wycieczkę, podczas której przymierzaliśmy ciuchy, jakie wpadły nam w oko, i porzebieraliśmy z większą fantazją te obserwujące nas pozbawione życia ciała. Oczywiście zadbaliliśmy, żeby nie natknąć się na strażników, którzy co pewien czas wybierali się na obchód. Zasnęliśmy przytuleni do siebie w łóżku z baldachimem, zasłoniwszy się zasłonami zdobytymi w dziale dekoracji, i ze sklepu wymknęliśmy się niepostrzeżenie, kiedy po otwarciu wlała się do niego fala klientów.

Pocałowałem Ophélie przy paszczy metra, gdzie pachniało świeżymi croissantami oferowanymi przez pobliską piekarnię. Wtedy powiedziała mi, że tym razem to ja mam do niej zadzwonić, ale tylko jeśli spełnię pewien warunek. Dała mi klucz, mały, srebrny, najwyklejszy, i oświadczyła, że zobaczymy się dopiero, gdy ustalę, co otwiera. Rzuciła mi heroiczne wyzwanie godne średniowiecznego rycerza. Przyznała zresztą, że chętnie wysłałaby mnie na pojedynek ze smokiem, ale w dzisiejszych czasach trudno było znaleźć to stworzenie. Zastanawiała się także nad turniejem rycerskim, ale nie odpowiadało jej, że triumfator w nagrodę mógłby ją pocałować - nie miała ochoty, żeby robił to ktoś inny niż ja, a mogło się przecież

okazać, że nie radzę sobie z fechtunkiem. Muszę przyznać, że było mi to na rękę.

Znów mnie pocałowała i poprosiła, żebym był dobry i mądry, bo już zaczęła za mną tęsknić. Zanim zdążyłem zebrać myśli, zniknęła w tłumie przechodniów. A ja stałem jak idiota, ściskając w rękę klucz.

Po powrocie do domu osunąłem się na sofę. Nastawiłem budzik, żeby nie wstać zbyt późno, i ocknąłem się już o czternastej. Sen podsunął mi dwa pomysły.

Ustalić, co otwiera ten cholerny klucz, i znaleźć sobie pracę. Stało się dla mnie jasne, że aby wejść z Ophélie w poważny związek, musiałem nie tylko zarabiać, ale też funkcjonować w społeczeństwie, by mieć jej o czym opowiadać.

Dlatego rzuciłem sobie kolejne wyzwanie - przed następnym spotkaniem musiałem mieć posadę. Miałem na to tylko tyle czasu, ile potrzebowałem na sprawdzenie wszystkich zamków, wszystkich skrytek bankowych i bagażowych w stolicy. Błahostka! Zacząłem od tego, co dawało szansę na powodzenie - przejrzałem ogłoszenia.

Wahałem się między dwoma: zoo w Vincennes i klubem striptizowym na Pigalle, gdzie potrzebny był naganiacz. W końcu górę wziął prestiż zwierząt i tak zaczęły się dla mnie czasy sprzątania ton gówna tygodniowo.

Rozmowa kwalifikacyjna była dość banalna.

- Doświadczenie?
- Hm... w kwestii gówna? Owszem, dość...
- Nie, doświadczenie w pracy ze zwierzętami.
- Miałem dwa koty i psa.
- To wszystko?
- Muszę przyznać, że nie przepadam za paryskimi gołębiami.
- A doświadczenie w sprzątaniu?
- Przez wiele lat zajmowałem się marketingiem. Jestem świetny w lizaniu po dupie.
- Dynamiczny?
- Zakochany, więc owszem, bardzo.
- Kiedy pan może zacząć?
- Choćby wczoraj.
- Proszę podpisać. Zaczyna pan okres próbny jutro rano, o siódmej.

Podpisałem. Z kamiennego parapetu głupekowato gapił się na nas gołąb. Tak, właśnie gołąb. A kiedy już położyłem pióro na umowie, on wydalil małą brunatną kupkę i znów wlepił we mnie swoje puste ślepie. Od razu zrozumiałem, że zwierzęta dadzą mi tu w kość.

Niesamowite, ile można zobaczyć, kiedy się uważnie obserwuje. Wszystko dzieje się na naszych oczach, wystarczy tylko odrobina spostrzegawczości.

Mimo zmęczenia tej nocy spałem kiepsko. Bałem się, że sobie nie poradzę. Zastanówcie się, jakim trzeba być człowiekiem, żeby się bać, że nie sprosta się zadaniu polegającemu na sprzątaniu zwierzęcych gówień w zoo? Szufla, szczotka, grabie i po sprawie!

Prawdę mówiąc, okazało się to trochę bardziej skomplikowane.

Po pierwsze - kwestia godzin: w zoo każdy sra w swoim rytmie. Zgodnie z zegarem biologicznym. Nie można było pozwolić, żeby zwierzęta laziły po odchodach, żeby się w nich tarzały i żeby zwiedzający fotografowali je w brudnych boksach, więc musiałem systematycznie sprzątać.

Poza tym ważna jest konsystencja. Szybciej zbiera się sześć kilogramów zwartych balasków albo bobków niż sześć litrów mazi. Na początku myślałem, że wystarczy jedno gruntowne sprzątnięcie rano, po przyjeździe, a potem spokojny obchód w ciągu dnia, żeby utrzymać czystość w tym uroczym świątku. Byłem głupi i naiwny. Te zwierzęta mają kapryśne zady! Na przykład pingwiny wypróżniają się bez przerwy, zostawiają małe, zielonkawe placki to tu, to tam. Trudno to posprzątać. Strusie mają podobny styl, robią, kiedy im się zachce, fajdają wszędzie, brudzą się - mistrzowie elegancji! Nosorożce jednorogie są pod tym względem lepsze, na ogół załatwiają swoje potrzeby rano, to wygodne. Żyrafy sobie nie żałują przez cały dzień. Te safandule włożą we własne łajno, jakby to przynosiło szczęście, wszystko nim paskudzą - usuwanie tego to istna rozkosz. Wydry mają delikatne żołądki i skłonność do rozwolnień. Pozostają pandy. Moi najgorsi wrogowie. Z tych uroczych futrzaków wychodzi przemyślna ilość gówna. Nie mam pojęcia, jak one to robią. Srają całymi dniami, bez przerwy. Zupełnie jakby były podłączone do rury. Trzeba przyznać, że ta dwójka zre jak opętana! W pierwszym tygodniu błyskawicznie zrozumiałem, że nasze stosunki będą trudne. Najgorsze, że trzeba się z nimi pieścić. Wszyscy przychodzą do zoo, żeby zobaczyć pandy, a ponieważ one są równie głupie, jak ładne, to jeżeli nie sprząta się ich zagrody co dwie godziny, na pewno prędzej czy później wytarzają się w odchodach. Na zdjęciach upačkana we własnej kupie panda wyglądałaby naprawdę paskudnie. Taka fotka mogłaby przekonać całą ludzkość, żeby pozostawiła ten ginący gatunek na pastwę losu, pozwalając mu wymrzeć i oswobodzić świat od głupoty. Zrozumiałem to już pierwszego dnia, kiedy zobaczyłem, jak mama z dwójką dzieci zatrzymała się przy klatce pand i robiła zdjęcie

dwukolorowego misia o przygaszonych ślepiach, aż po nos w zaschniętym gównie. Zwierzak nie był już biało-czarny. Zobaczyłem to zdjęcie na małym ekranie cyfrowym - panda wyglądała na równie inteligentną, jak zdechła rozgwiazda i była brudna jak świnia tuż po wytarzeniu się w błocie. Chociaż w zasadzie lubię zwierzęta, to na widok tego zdjęcia wstydziłem się za pandę, pragnąłem, żeby zdechła i nie musiała już wieść tak nędznego żywota. Matka rodziny spojrzała na mnie i z jej oczu wyczytałem nieme pytanie: czy to normalne, że panda jest taka obfajdana, a ja tylko wzruszyłem ramionami, dając jej do zrozumienia, że to nie moja sprawa.

Ale w rzeczywistości to właśnie była moja sprawa. I to dzień w dzień. Musiałem dbać o godność zwierząt, chociaż one same jej nie mają, bo człowiek, odkąd wciska do klatek inne gatunki, żeby je podziwiać, z uporem wmawia sobie, że trzeba je pieścić. A mnie płacono za to, bym chronił niektóre zwierzaki przed ich własnymi odchodami, nawet jeśli wiadomo, że ich największą pasją jest tarzanie się w nich.

Na szczęście nie byłem jedynym sprzątaczem klatek i wybiegów. W ochronie świata przed poznaniem odrażającej prawdy pomagali mi obsesyjna zoofilka i krwiożerczy psychopata - Tess i Hugo.

Hugo bardzo szybko stał się moim powiernikiem. Mogłem mu powiedzieć wszystko, zwierzać się z najdrobniejszych, najbardziej intymnych detali, nie obawiając się, że będzie mnie osądzał, choćby poznał to, co było we mnie najgorsze. A wszystko dlatego, że Hugo nigdy uważnie nie słuchał, a jeżeli nawet coś usłyszał, miał to gdzieś. Hugo niemal natychmiast zajął miejsce mojego najlepszego przyjaciela. Prawdę mówiąc, Hugo był pozbawiony serca, uczuć i emocji. Był jak skała o ludzkich kształtach, ulegał impulsom, sterowany przez mały twardy dysk o pojemności mniejszej od pierwszych USB, zastępujący mu także pamięć. Hugo był nieodpowiedzialny za bezpieczeństwo w zoo. Przy nim życie waszych dzieci w ogrodzie zoologicznym było na każdym kroku zagrożone. Ale ważne było nie to, co robił, tylko to, jaki był na co dzień - podobny do cynicznej, szwankującej maszyny, ział nienawiścią do wszystkiego i do wszystkich i pałał żądzą śmierci. Nie własnej, ale innych, choć przecież pragnąć, żeby cały świat zdechł, oznacza w sumie także własną zagładę.

Tess była weterynarzem albo kimś w tym rodzaju. Z grubsza rzecz biorąc, całymi dniami wtykała coś w tyłki zwierząt i była tym zachwycona. Spisywała te analne dane w brązowym zeszycie i podniecała się faktem, że temperatura nosorożca jest tak niezmienna.

Zwierzęta pod dowolną postacią to jej pasja. Grzebała im także w uszach, zagłębiała głęboko do pysków, oglądała spód łap, badała sierść, obmacywała pręgi na skórze, podnosiła ogony, rozkładała skrzydła, kontrolowała genitalia całego tego wesołego świata, dawała się drapać, gryźć i lżyć we wszystkich zwierzęcych językach globu, pobieżnie splukiwała mocz, który prędzej czy później (na ogół wcześniej) każdego dnia plamił jej ubranie, nie obrażała się, kiedy na nią rzygano, rozplatała zaciśnięte na jej włosach palce małpek, które ubóstwiały udawać na jej głowie spółkowanie i robiły to, kiedy tylko udało im się wskoczyć jej na ramiona, jakby próbowały zgwałcić ją przez uszy. Krótko mówiąc, życie Tess było wspaniałe. Nie mówcie mi, że trzeba lubić zwierzęta, żeby zostać weterynarzem. Do tego trzeba przede wszystkim całkowicie wyzbyć się miłości własnej, mieć znieczulony węch, mnóstwo cierpliwości i ogromne zainteresowanie badaniem wszystkiego, co najbardziej odstręczające w istocie żywej.

To Tess nauczyła mnie wszystkiego, co wiem dziś o zwierzęcych ekskrementach. Jej zawdzięczam, że stałem się prawdziwą encyklopedią zoologiczno-skatologiczną. Chwała jej duszy.

Zacząłem osaczać Tess po dłuższym czasie, kiedy pewnego popołudnia znaleźliśmy się w korytarzu prowadzącym do klatki babuinów. Właśnie miałem ją wyczyścić (klatkę, nie Tess), a Tess przysła obejrzeć ranę jednej z małpek. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę na twixa i patrzyliśmy na małpy, które nas obserwowały, przeżuając gałęzie nie wiem czego, i wyraźnie z nas drwiły.

Jedliśmy w milczeniu, aż nagle Tess rzuciła:

- Zastanawiałaś się kiedyś nad charakterem orgazmu zwierząt?
- Szczerze?
- Szczerze.
- Nigdy.
- A ja stale o tym myślę.
- Stale?
- Tak. Zastanawiam się, jak osiągną rozkosz. I czy ją odczuwają.
- Można w to wątpić.
- Dlaczego tak uważasz?
- Ba... Nigdy nie widziano, żeby samica świstaka piszczała, kiedy spółkuje, ani nawet żeby przybierała wyuzdane pozycje.
- Mylisz się. Samica świstaka to urodzona kochanka. Pamiętaj, że nie możemy oceniać zwierząt wedle naszych kryteriów. Wydaje mi się, że muszą zaznawać rozkoszy. Prawdopodobnie przeżywają to, nie wrzeszcząc. Koza może lubić seks, chociaż nie rozkłada nóg i nie krzyczy: „Dalej, spraw, żebym meczała, mój wielki koźle!”.

Roześmialiśmy się. Głośno. Przez cały dzień zgięty w pół pchałem taczki pełne zwierzęcych odchodów, więc cieszyłem się, że mogę trochę odetchnąć.

- Może - przyznałem, ocierając łzy z oczu.

- Poważnie. Jak może wyglądać orgazm wilczycy? Albo kangura?

- Naprawdę cię to interesuje?

- Tak. Wiem na przykład, że lwica nie bawi się za dobrze, ponieważ członek lwa ma na końcu dużo drobnych kolców. A goryle mają bardzo małe fiutki. To takie niepraktyczne. Albo pandy - te wcale nie znają pociągu do seksu i dlatego są gatunkiem szczególnie zagrożonym.

- Biedactwa, mają pecha. A jeśli istnieje reinkarnacja? Byłaś człowiekiem, zostajesz pandą i uświadamiasz sobie, że w nowym życiu prawie nie będziesz się pieprzyć? To boli. Zła karma. Wiedziałem, że coś jest z nimi nie tak! Pandy to inkarnacje łotrów, łajdaków! Nie zasługują na takie dobre traktowanie.

- Chciałabym na jeden dzień zostać słońcą, żeby się dowiedzieć, jak to jest, kiedy wchodzi we mnie dwumetrowy fiut. Albo lemurem, żeby się dowiedzieć, co naprawdę znaczy *quicky*. A wiesz, że wieloryb za każdym razem wyrzuca z siebie kilkadziesiąt litrów spermy? Wyobrazasz to sobie, jeżeli orgazm zależy od ilości? Chciałabym mieć orgazm jak wielorybica...

- Tess, wiem, że krótko się znamy, ale czy mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie?

- Spróbuj.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, żeby... żeby spróbować tam wejść i...

- Czy próbowałam kiedyś pieprzyć się ze zwierzęciem?

- Właśnie.

Wzruszyła ramionami.

- Przyszło mi to do głowy.

- Ooo...

- Ale jeszcze nie jestem na to gotowa.

- ...

- Chcę wybrać właściwe, sam rozumiesz. Nie wilka, nie lwa ani małpę. Tak przynajmniej sądzę. Muszę się zdecydować.

Spojrzenie pani weterynarz zwróciło się na wianuszek babuinów, które nadal nas obserwowały. Niektóre z nich wyciągały w naszą stronę łapki i pokrzykiwały do kompanów, jakby wiedziały o nas coś ważnego, czego sami nie byliśmy świadomi.

Tess podsunęła mi kawałeczek twixa.

- Chcesz skończyć?

Wyobraziłem ją sobie nocą w boksie kucyków i od razu straciłem apetyt.

- Nie, dziękuję. Chyba pójde już pozbierać ich kupy.

- Masz rację, lepiej sprzątnąć gówna, niż je jeść.

Pomyślałem sobie, że warto było trzymać się tej posady. Trochę dla pieniędzy, a znacznie bardziej, żeby mieć Ophélie dużo do opowiedzenia.

Dlatego nadal się jej trzymałem.

I nigdy nie spotkało mnie rozczarowanie.

A muszę przyznać, że klątwa, o której pisałem na początku tej opowieści, już wkrótce dopadła mnie w pracy.

I to z całą mocą.

Osoby. Moje życie było pełne osób. Nowych ludzi, którzy dopiero mnie poznawali, podobnie jak ja poznawałem ich. To wrażenie pokazywania się wszystkim w stanie nowości było bardzo wygodne. Nie musiałem grać wielu ról, nakładać wielu masek społecznych, dobierając je do rozmówców, stopnia znajomości i zażyłości, ani tworzyć wrażenia bliskości i prywatności, ponieważ to jest dla wszystkich najważniejsze. Spalenie za sobą wszystkich mostów łączących mnie z dawnym życiem było najlepszym, co mogłem zrobić. Niekiedy mówi się, że żyje się tylko raz, i dlatego trzeba cieszyć się danym nam czasem, i mówi się też, że rodziny się nie wybiera i że nie da się przekreślić tego, kim się było. Dowiodłem, że to wszystko nieprawda.

Czasami przeszłość próbuje nas dopaść, ściągnąć jak guma, która potrafi strzelić w twarz, kiedy jest zbyt napięta, więc jestem czujny. Nigdy nic nie wiadomo. Nie spaceruję po mojej dawnej dzielnicy, nie zbliżam się do dawnego miejsca pracy. Mam nowy adres mailowy i wystrzegam się pozostawiania śladów administracyjnych, które mogłyby mnie zdradzić. I jak dotąd wszystko świetnie funkcjonuje. Nie tęsknię za matką. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Zawsze faworyzowała mojego brata. Takie rzeczy się zdarzają, nie warto z nimi walczyć. Jeżeli osiągnąłem jakiś sukces, to gratulowała mi, ale się z tego nie cieszyła, i czułem, że tak naprawdę moje osiągnięcia były dla niej niczym w porównaniu z małymi i wielkimi triumfami, które mógłby odnieść na tym samym polu mój brat. Musiał być ode mnie lepszy. Doskonalszy. Bardziej skuteczny. Inteligentniejszy. Przystojniejszy. Bardziej dowcipny. Bardziej kochający. I bardziej kochany.

Ale przecież temu, kto nie żyje, zawsze łatwiej zrobić wszystko lepiej.

Bo mój brat zmarł.

Prawdę mówiąc, z technicznego punktu widzenia, nigdy faktycznie nie żył. A w każdym razie nie takim życiem jak wasze czy moje.

Nie powiedziałem jeszcze, że byłem obok niego, kiedy to się stało. Jeśli można się tak wyrazić, wszystko widziałem. Byliśmy bliźnia-

kami.

Okrutni ludzie już mi powiedzieli, że go wchłonąłem. Niektóre maluchy szybciej rozwijają zdolności kognitywne, inne rozwijają sprawność fizyczną, jeszcze inne mają talenty artystyczne. Ja jestem przedwczesnym kanibalem. Podobno w przypadku bliźniąt takie rzeczy są dość częste na wczesnym etapie rozwoju. Jedno rozwija się dobrze, drugie nie i w końcu umiera.

Kiedy byłem mały, przerażała mnie myśl, że on wciąż jeszcze może być we mnie, nocą zdarzało mi się myśleć, że pojawi się, żeby mnie straszyć, że usłyszę jego głos w pokoju i będę go szukał, ale na próżno, bo przecież był *we* mnie. Że jestem skazany na słuchanie jego mściwego głosu do końca życia, że będzie dręczącą mnie zjawą. Ale nie. Nic się nie działo.

W wieku około siedmiu lat borykałem się ze strachem. Wtedy wymyśliłem sobie przyjaciela. Przy nim czułem się spokojniejszy, nie tak smutny, no i już się nie nudziłem. Aż któregoś ranka zdałem sobie sprawę, że być może on nie jest tym, za kogo go uważam, tylko duchem brata, którego pożarłem. Przez kilka tygodni nie wołałem go i więcej się nie pokazał. Zrozumiałem, że mam nad nim kontrolę, więc nie może być zjawą. Mój wymyślony kolega istniał, żeby się ze mną bawić, a nie żeby mnie straszyć. Znow zacząłem go przywoływać i robiłem to, dopóki matka nie zaniepokoiła się o mnie i nie zaprowadziła mnie do lekarzy, a oni kazali mi z tym skończyć. Początkowo odmawiałem, ale w końcu musiałem ulec autorytetom i systemowi. Muszę się przyznać, że najpierw tylko udawałem, że już się z nim nie bawię, i widywaliśmy się po kryjomu. Ale potem wszystko się wydało, bo za często siedziałem w kąciку i mówiłem do siebie.

I tak, zjadłszy najpierw własnego brata, potem unicestwiłem najlepszego przyjaciela.

Chyba nie muszę wyjaśniać, że po tym wszystkim nie traktowałem świata jako spokojnej i przychylniej ojczyzny. Ale jako nastolatek doszedłem do wniosku, że miało to dobre strony. Trudno podrywać dziewczynę i z nią rozmawiać, kiedy tuż obok siedzi wymyślony przyjaciel, który zagląda jej za dekolt... Niewiele dziewczyn ma tyle pobłażliwości i chyba najłatwiej szukać zrozumienia wśród pensjonariuszek zakładów psychiatrycznych.

W wieku piętnastu lat wciąż zastanawiałem się, czy jestem normalnym chłopakiem. To świadczyło zresztą, że jestem zupełnie normalny. Ale ta historia z pożartym bratem i przyjacielem na niby, którego zabiłem, nadal mnie przerażała. To wtedy, razem z grupą kumpli, odkryłem, że każdy z nas ma swoje sekrety i że to właśnie w

nich tkwią nasze korzenie. Stopniowo uporałem się z lękami i nabrałem pewności siebie, robiąc to, co powinno się robić w tym wieku - podrywając dziewczyny.

I tak, krok po kroku, uczyłem się i szukałem, aż poznałem Marie. Byliśmy razem przez sześć lat i początkowo dała mi dużo szczęścia, a potem bezmiar monotonii. To, co w pierwszych miesiącach wydawało mi się w niej niezwykle, z czasem uczyniło ją nieznośną. Dlatego coraz częściej uciekałem w pracę, a wracałem rozczarowany, sfrustrowany, zgorzkniały, aż pogrążyłem się w depresji. Miałem już dość pozornych przyjaciół, ludzi pełnych pychy, z którymi utrzymuje się kontakt raczej z przyzwyczajenia niż ze szczerzej sympatii czy ze względu na wspólne pasje. Wychyliłem kielich goryczy do dna. Moje złudzenia się rozwiały i czułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Widziałem wokół ludzi z mojego pokolenia dotkniętych podobnymi nieszczęściami i nieznajdujących innego wyjścia z sytuacji niż robienie dzieci, żeby odsunąć albo usunąć problemy. Ja wybrałem radykalne rozwiązanie.

W pewnym sensie uciekłem od siebie samego.

Podarowałem sobie zupełnie nową dojrzałość i zrobiłem to w pełni świadomie.

Każdy psycholog amator zauważy, że nie wspomniałem o ojcu. Bo nie mam ojca. Nie w znaczeniu rodzinnym. Mam tylko ojca biologicznego. Faceta, który pewnego wieczoru strzelił sobie numerek, a zmył się na wieść, że zostanie ojcem. Seks to dla mężczyzn akt nieodpowiedzialny, dlatego zapominają o wszystkim, kiedy osiągają orgazm. Potem niektórzy z nich, ci, którzy mają jaja, w razie potrzeby biorą na siebie odpowiedzialność, a inni uciekają z podkulonym ogonem. Tak, drogie panie, nasze jaja nie zawsze chodzą w parze z charakterem. Mój biologiczny ojciec należał do tych, którzy je mają tylko po to, żeby wzdęła je pycha. Jego nasienie to czysty egoizm. I muszę chyba przyznać, że sporo po nim odziedziczyłem.

Ponieważ jednak widziałem zdjęcia matki z tamtych czasów, to powiem szczerze, że nie mogę mieć do niego pretensji. Cóż, to moja mama, więc nie zamierzam być wulgarny. Kurwa, przecież wtedy na pewno chciały ją rznąć całe stada ogierów! Mam tylko nadzieję, że nie wszystkim się to udało i modłę się, żeby nigdy nie poznać prawdy.

Faktem jest, że mój ojciec zachował się jak ostatnia świnia. Ale w sprawach seksu mam dla mężczyzn dużą wyrozumiałość. Jestem dzieckiem nieokiełznanego pożądania. Jako nastolatek powtarzałem sobie często: „Mój ojciec to popęd. I nic więcej”.

A skoro już mowa o psychologu, to jedyną więzią z przeszłością,

której nie zdołałem zerwać, była właśnie ta z psy(chopatą).

Właśnie kiedy zaczynałem rozkwitać, sprzątając zwierzęce gówna, a wieczory poświęcałem szukaniu dziurki do cholernego klucza, mającego otworzyć przede mną drzwi do nirwany, telefon znowu zaczął dzwonić po kilka razy dziennie. Numer nieznanym. Żadnej wiadomości.

Aż do czasu, kiedy w chwili roztargnienia odebrałem.

- Pierre!

Natychmiast rozpoznałem ten głos.

- Niech mi pan da spokój!

- Musisz mnie wysłuchać!

- Nie. Muszę się rozłączyć.

Już odsunąłem iPhone'a od ucha, żeby zakończyć połączenie, kiedy usłyszałem w dali:

- Dała ci klucz, prawda?

Ręka zamarła mi w pół gestu. Skąd o tym wiedział? Stałem nieruchomo przez kilka długich sekund, niezdolny przerwać tę rozmowę, niezdolny ją podjąć.

- Pierre, masz ten klucz?

- Skąd... skąd pan wie?

- Po prostu wiem.

- Znowu mnie pan szpieguje! Kurwa! To pan powinien się leczyć!

Gniew sprawił, że odzyskałem mowę.

- Musisz wyrzucić ten klucz.

- Złożyłem już skargę. Słyszysz pan? A teraz ostrzegam: pójdę na policję i oskarżę pana o nękanie!

- Pierre, to ja cię ostrzegam, jeżeli dalej z uporem będziesz mnie odtrącał, zniszczysz siebie i wywołasz lawinę.

Jego głos był cichy, znacznie spokojniejszy niż zwykle. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, utwierdzonego w tym, co o mnie myśli.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan robi? - zapytałem. - Co to za postępowanie?

- Sporo wiem, Pierre. O tobie, o tej dziewczynie.

- To już molestowanie psychiczne! To moje prywatne sprawy!

- Zapomniałeś, że jestem twoim psychoanalitykiem?

- Był pan! Nie ma pan prawa zmuszać mnie, żebym nadal korzystał z pana usług! A już na pewno nie wolno panu tak za mną łązić, tropić mnie!

- Ważne, żeby cię ocalić.

Westchnąłem, zmęczony jego uporem. Nie ustępowałem:

- Wyrzuc kluczyk, który ci dała. Uwierz mi, że nie otwiera drzwi, których szukasz.

- Co jeszcze? Może mi pan powie, że Ophélie też jest pańską pacjentką?

- Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania. Muszę cię natomiast ostrzec, że jeśli będziesz szukał zamka, do którego pasuje ten kluczyk, to sam się zniszczysz.

- Pan jest szalony.

- To kluczyk do twojego zniszczenia. Może otworzyć tylko jedno: drogę do twojej zguby.

- Kretyn.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć, Pierre. Czekam, aż do mnie wrócisz. Dla własnego dobra.

- Wariat.

- Do zobaczenia wkrótce. A przede wszystkim pamiętaj, że ten kluczyk to twoje piekło. Nie próbuj go użyć.

- Świr.

Rozłączyłem się.

Lekko drżałem.

Myślałem o tym przez całą przerwę obiadową. Skąd wiedział? Nie mógł śledzić nas tamtej nocy w Galerii Lafayette'a. Czyżby przypadkiem stał tuż przy wejściu do metra, kiedy Ophélie dawała mi kluczyk? Czy była jedną z jego pacjentek? To byłby prawdziwy pech. Rozwikłanie tej zagadki stało się moją obsesją. Miałem ochotę zadzwonić do Ophélie, o wszystkim jej opowiedzieć, wiedziałem jednak, że nie mogę się z nią spotkać, dopóki nie znajdę zamka, do którego pasuje kluczyk. Obiecałem.

Po południu, kiedy wracałem do pracy, wiedziałem, że czas będzie mi się dłużył przez tego obłąkanego psychoterapeutę, tak nieodpowiedzialnie podchodzącego do swojej pracy. Jednak kiedy szedłem ze sprzętem do klatki pand - jak zwykle były moją zmurą - zawołał mnie Hugo i pomógł oderwać się od mrocznych myśli.

- Widziałeś Michauda?

Michaud był szefem personelu w zoo.

- Nie, dlaczego pytasz?

- Chciał z tobą pomówić.

- Tak?

- Myślisz, że cię zwolni?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Jestem zatrudniony na okres próbny.

- No właśnie.
- Denerwujesz mnie.
- Michaud cię nie lubi, to widać. Zresztą on nikogo nie lubi.

Gdyby mógł, wyrzuciłby wszystkich.

- Skoro jest szefem personelu, to gdyby chciał, mógłby zwolnić nas wszystkich.

- O niczym innym nie marzy. Ale nie lubi nikogo na świecie, więc gdyby nas wyrzucił, musiałby zatrudnić innych ludzi, a ich też by nie znosił. Dlatego nic nie robi. Ale ty to co innego. Dopiero przyszedłeś. Będzie mi cię brakowało. Słowem, nie ma sensu, żebyś tu potem wpadał z nami pogadać. Nie lubię tego. Takie wizyty to strata czasu w pracy, a w końcu zawsze się okazuje, że przy tym typie kontaktów nie ma o czym gadać z kimś, kto już tu nie pracuje. Żegnaj. Fajnie było cię poznać.

Taki właśnie był Hugo.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy wchodziłem do maleńkiego biura François Michauda. Zostałem go, siedział wciśnięty w wytarty fotel. Pięć pasemek (ani jednego więcej) starannie zaczesanych na czubek głowy tworzyło tyleż mostów między dwoma językami czarnych włosów, które obrastały obrzeża głowy za uszami. Cienki wąsik z bardzo sztywnych włosków, gorszych niż pędy bambusa, i policzki stale pokaleczone od golenia tej nieszczęsnej trzciny.

Poprawił okulary na ostrym nosie i wskazał mi miejsce na wprost siebie.

- Pierre, chciałem z panem pomówić, ponieważ mam kłopot.

Dostrzegłszy gołębia na parapecie, powiedziałem sobie, że to znak - naprawdę mnie wyleje.

- Proszę nie owijać w bawełnę - powiedziałem, żeby oszczędzić sobie dłuższej udreki.

- Chodzi o pandy.

Znowu te pandy!

- Przestały się wypróżniać.

Przy takich dawkach imodium, jakie im podrzucałem, trudno się było dziwić.

Wtrąciłem:

- Jeżeli mogę uściślić, to mniej srają.

- Tak, ale w przypadku pandy to już problem. To trochę tak, jakby krowa wytwarzała tylko kilka kropli mleka dziennie. Defekacja jest tym, co robią najlepiej.

Ja tego nie powiedziałem.

Nie wiedziałem jeszcze, czy sztuczka, dzięki której poświęcałem

mniej czasu na sprzątanie ich klatek, została wykryta, czy też jestem tylko przesłuchiwany jak każdy podejrzany.

- A ponieważ to głównie pan zajmuje się tą sprawą, chcieliśmy powierzyć panu pewną misję.

Nadstawiłem uszu.

- Jak agentowi Phelpsowi?

- Słucham?

- Nie, nic...

- Proszę mi to wyjaśnić!

- *Mission: Impossible.*

- Uważa mnie pan za idiotę! Proszę to wytłumaczyć?

- Właśnie wytłumaczyłem.

Michaud uniósł brwi, zdumiony takim porównaniem.

- Chcemy, żeby sporządzał pan dokładne raporty na temat częstotliwości, wyglądu i ilości ekskrementów pand. Codzienne raporty.

- I to wszystko?

- Tak.

- Daję słowo, babka klozetowa zwierząt, to jeszcze nic wielkiego, ale...

- To pańska praca.

- Sprzątanie, ale nie nadzorowanie i raportowanie. Staję się szpiclem defekacji. To dla mnie krępujące.

- Niech pan posłucha, Pierre, jeżeli to aż taki problem, może pan odejść. Przecież nie sprząta pan gówna lepiej od innych.

- Proszę sobie wyobrazić, że robię to z pewnym wdziękiem i wypracowałem sobie metodologię. Nie znajdzie pan nikogo równie kompetentnego.

- Do sprzątanania odchodów?

- Tak.

- Nie zgodziłbym się. Ale mniejsza o to, chcę, żeby co wieczór składał pan raport.

- A należy mi się za to podwyżka?

- Należy się panu tylko prawo zachowania pracy w okresie próbnym. Może być?

- Podwyżka byłaby bardziej motywująca.

- Jeśli pan odmówi, natychmiast pana zwolnię.

- W takim razie raport co wieczór.

- Doskonale. Szybko się pan uczy i to mi się podoba. Czeka pana u nas długa i piękna kariera, Pierre.

Wyobraziłem sobie przyszłość. Pewnego dnia syn, którego będę

miał z Ophélie, pójdzie do szkoły, a kiedy trzeba będzie wypełnić rubrykę „zawód ojca”, na jego twarzy pojawi się wyraz rozpacz. Długa i piękna kariera? Nie powiedziałbym. Ale mi płacili, a w dzisiejszych czasach to już coś.

- Teraz, panie Michaud, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, już pójdę, czekają na mnie pandy ze swoimi problemami trawiennymi.

Byłem już za progiem jego biura, kiedy zawołał, wyciągając palec wskazujący:

- Pierre! To poważna sprawa! Niech pan podejdzie do niej z sercem.

Tym razem ja uniosłem brwi. Ciągnął:

- Żadnej fuszerki, jasne? Chcę dostawać rzetelne raporty. Będę miał pana na oku.

Doprowadzał mnie do szafu.

- Dobrze, panie Michaud.

Gołąb wesoło gruchał za oknem. Ten pierzak był szpiclem Michauda, przypominał zresztą te śmieszne papugi piratów z kreskówek, tyle że Michaudowi przypadł zaledwie złajdaczony gołąb. Jaki pirat, taki ptak.

Michaud wcisnął okulary na nos i przyglądał ręką pięć pasemek włosów, żeby sprawdzić, czy wszystkie są równo zaczesane.

Wysoko się cenił ten pirat.

Rzecz jasna, nie przyszło mi nawet do głowy, że to jedno z naszych ostatnich spotkań. Klątwa czaiła się w mroku i już szykowała do ataku.

Tymczasem skupiałem się wyłącznie na swojej obsesji: małym srebrnym kluczyku.

Kluczyku, który w mojej świadomości otwierał drzwi do raju.

Albo do piekła, jeśli posłuchać mojej podświadomości i jej psychoanalityka.

Rozsądniej byłoby wybrać złoty środek. Ale co było między jednym a drugim?

Między świadomością a nieświadomością?

Obłąd!?

Ale te kobiety potrafią być pokręcone!

Przepraszam za ten spontaniczny przejaw mizoginii, to zryw gniewu, niesprawiedliwa obelga rzucona pod wpływem frustracji. Mimo to muszę przyznać, że przeklinam złożoność kobiecej psychiki. Dlaczego nie są prostsze? Prosto do celu, jak mężczyźni...

Nie, muszę teraz dowieść, ile jestem wart jako kochanek, i odnaleźć zamek do kluczyka bez podpowiedzi, bez wskazówek, bez niczego.

Optymizm pierwszych dni i jego uczuciowe podłoże stopniowo ustępowały miejsca trzeźwemu myśleniu i smutnej rezygnacji: przeanalizowałem wszystkie najoczywistsze, prawdopodobne tropy, ale żaden nie spełniał koniecznych kryteriów i nie prowadził do trafienia kluczem w dziurkę.

Włóczyłem się po paryskich przechowalniach bagażu i podmiejskich dworcach i choć takich przechowalni jest już niewiele, i tak zajęło mi to mnóstwo czasu. Na ogół skrytki mają dziś kody, a nie klucze. Klucze do pozostałych są znacznie cieńsze niż mój. Potem odwiedzałem największe banki i prosiłem, żeby pokazano mi skrytki. Liczyłem, że którąś będę mógł otworzyć. To nie był ten model. W sklepach kłódki mają bardzo różne klucze. W końcu zwróciłem się do policjantów, ale oni wyjaśnili mi, że bez numeru seryjnego, który powinien być wygrawerowany na kluczu, nie ma szans na znalezienie zamka. Oczywiście na moim srebrnym trofeum nie było żadnych znaków. Zdesperowany zwróciłem się do ślusarzy i od ostatniego, który miał warsztat w mojej kamienicy, usłyszałem, że taki model sprzedaje jeden z jego dostawców. Takiego klucza bazowego można było użyć do zrobienia duplikatu, jeśli oryginał był tego samego typu. Dokładnie go obejrzał i powiedział mi, że to egzemplarz prosto z warsztatu. Został wykonany niedawno, nie nosił śladów zużycia - piękny, nowiutki duplikat. Kiedy zapytałem, do czego mógłby służyć, odparł, że to paryski standard podobny do kluczy do bram i drzwi mieszkań. Możliwości były tysiące. Pech.

Wtedy coś sobie uzmysłowiłem. Ophélie z pewnością miała w sobie szczyptę perwersji, ale nie była wariatką. Skoro dała mi ten klucz, to:

- albo chciała się mnie pozbyć raz na zawsze, każąc mi do końca życia szukać zamka, który nie istniał;
- albo spodziewała się, że znajdę go dość szybko, a zatem w miejscu oczywistym.

Odruchowo wykazując się dużym optymizmem, odrzuciłem pierwszą opcję. Pozostawało mi ustalić adres Ophélie.

Dysponowałem trzema pomocnymi informacjami: znalazłem jej imię, zawód i numer komórkowy. „Ophélie, florystka z Paryża” - w Internecie zajmuje to cały wieczór, jeśli szuka się skrupulatnie. Ale nie znalazłem nic konkretnego, chociaż może byłbym zadowolony, gdybym lubił bujne piersi i filmiki z karłami... Magia sieci, tej diabelskiej maszyny, która każde niewinne słowo przerabia na dewiację seksualną!

Nazajutrz i przez kolejne dwa dni dręczyłem operatorów telefonicznych, uciekając się do wszelkich możliwych podstępów, żeby poznać nazwisko, a gdyby się dało - także adres właścicielki numeru komórkowego. Nie powiodło mi się - numer był zastrzeżony i nikt nie chciał iść mi na rękę.

Zdesperowany zostawiłem Ophélie trzy wiadomości głosowe i wysłałem do niej około osiemnastu SMS-ów, w których błagałem o podanie adresu, tylko adresu, ale nie odezwała się, co zresztą stanowiło dość jasną odpowiedź.

Musiałem pogodzić się z rzeczywistością - jeżeli chciałem do niej dotrzeć, zostawała mi tylko jedna możliwość - Julia.

Po chwili uznałem, że to całkiem logiczne i doskonale pasuje do charakteru Ophélie: chciała mnie zmusić do załagodzenia konfliktu z jej najlepszą przyjaciółką, żeby znów móc się z nią spotykać.

Od dwóch tygodni nie pojawiałem się na zajęciach teatralnych, zbyt zajęty nową pracą i wieczornymi poszukiwaniami dziurki do mojego klucza. Musiałem nastawić się na niezbyt miłe spotkanie.

Ale nie namyślałem się długo. Zaczekałem do najbliższych zajęć i pobiegłem ku tej arenie pozornych emocji. Po drodze wpadłem do apteki po arnikę, tak na wszelki wypadek.

Natknąłem się na Julię, zmierzając w stronę ławek w końcu sali.

- Cześć - powiedziałem.

- Żebyś zdechł.

Kiepsko się zaczynało.

- Julio, posłuchaj. Przepraszam, jeśli cię...

Przerwała mi, zwracając na mnie dwoje pałających jak żagwie oczu, i zacisnęła gniewnie usta, a potem wycedziła:

- Nie, to ty posłuchaj. Jedyne, na co ci pozwolę, jeśli *koniecznie* musisz ze mną rozmawiać, to na przekazanie wiadomości, że trawi cię rak albo zabija inna nieuleczalna choroba. Słowem, możesz się do mnie odezwać tylko wtedy, jeśli chcesz mnie uprzedzić, że jesteś umierający. Ale bardzo cię proszę, żebyś zrobił to jak najpóźniej, bo chciałabym się szybko od ciebie uwolnić.

- To dość ostre żądanie.

- Odpieprz się.

I splotła na piersi ręce niczym kurtynę, która po spektaklu zasłania scenę.

W tym momencie szansa na to, że jeszcze kiedyś ujrzę Ophélie, stała się znikoma, a mnie stanął przed oczyma obraz: Ophélie była na nim białą gołębicą i spoglądała na mnie małymi, niewinnymi oczyma, a na szyi miała medalion z wygrawerowanym gotykiem imieniem. Było to tak żalosne, że aż urocze. Nagle eksplodowała, przemieniając się w kulę ognia. Julia stała tuż obok, z dymiącą strzelbą w ręce i okrutnym uśmiechem na ustach. Pióra opadały na nas niczym szczątki anioła. Potem dymiące, zakrwawione ciało runęło mi pod nogi, abym w pełni pojął potęgę grawitacji i marność naszych ciał.

Byłem zdruzgotany. Straciłem Ophélie. Na zawsze.

Nie wiedziałem jeszcze, jak pomocny może okazać się Dionizos, bóg teatru, i nasz reżyser, który polecił Julii stanąć obok mnie na scenie. Mieliśmy improwizować.

Julia wstała z miejsca i oznajmiła:

- To chyba kiepski pomysł.
- Chyba nie masz wyboru.
- Ale...
- Wejdziesz na scenę albo wynoś się z moich zajęć.

Taki właśnie był nasz reżyser. Bezpośredni, autorytarny, o niemal dyktatorskich zapędach. Po trosze guru, ale bez wyznawców i bez daru jasnowidzenia. Niewydarzony guru.

W tej chwili jednak dla mnie był bogiem, bo dał mi jeszcze jedną szansę.

Gdyby to było możliwe, z oczu Julii posypałyby się kule jak z winchestera dużego kalibru. Kiedy do mnie podeszła, powietrze wokół nas tak naelektryzowało się jej złością, że trudno mi było złapać oddech. Zacząłem się nawet obawiać, że nie mam szans na przeżycie. Nad jej głową unosiły się opary wściekłości, jak wtedy, kiedy w upalne lato słońce topi asfalt. Tak potężny był płomień jej urażonej dumy.

Zwróciła się ku mrocznej sali.

Zawsze zachwycał mnie kontrast między rozświetloną sceną a czarną próżnią, jaka ją otaczała. Od innych oddzielał nas mur fotonów. Ta pustka wchłaniała całą naszą energię, całe skupienie.

- Temat improwizacji? - zapytała Julia, nie siląc się na odrobinę uprzejmości.

Głos Dionizosa dobiegł z kosmicznej próżni.

- Wybaczcie.

Bóg istnieje! To pewne. Cofam wszystko, co kiedykolwiek powiedziałem. Jestem profanem i heretykiem, strasznym poganinem, który doznał objawienia za sprawą głosu Pana. Wybacz mi, wybacz, Boże. Teraz w Ciebie wierzę. Dostałem szansę. A nagrodą za przejście tej próby miała być Ophélie.

Ta scena to moja łąka, moim rumakiem jest moja postawa, a słowa włóczęgią. Jestem rycerzem, który wyruszył na krucjatę dla damy swego serca.

Julia stanęła przede mną.

- A zatem wybaczenie - wycodziła, jakby to słowo nie chciało jej przejść przez gardło.

Dionizos dodał:

- Więcej emocji! Chcę wam uwierzyć! Chcę poczuć krew, silne emocje, chcę prawdziwego przebaczenia, tak żeby rozszlochał się sam Guy Georges! Zaczynajcie!

Julia świdrowała mnie wzrokiem. Nawet nie drgnęła, jakby była woskową lalką.

Rozchyliłem usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie, władczo unosząc palec.

Przeszła przez scenę, wzięła z półki z akcesoriami laskę i wróciła, by znów stanąć przede mną. Patrzyłem z niedowierzaniem, gdy cofała ramię, żeby z rozmachem, brutalnie uderzyć mnie w kolano. Osunąłem się na deski. Dосkoczyła do mnie, uniosła laskę nad moją głowę i wymierzyła mi cios w brodę. Nie zdążyłem się uchylić i kolejne uderzenie kompletnie mnie ogłuszyło. Świat zawirował, migotał, obracał się i tańczył, a dotkliwy świst, którego źródła nie potrafiłem zlokalizować, rozsadzał mi głowę. Ból.

Wiedziałem już, że arnika mi nie pomoże. Krwawiłem.

Julia zadała mi jeszcze jeden cios, tym razem w brzuch, dla czystej przyjemności, a potem się cofnęła.

- Och, przepraszam, Pierre.

Odwróciła się do Dionizosa i ze sztucznym uśmiechem na twarzy powiedziała:

- Silne emocje to krew i pot, potęga uczuć i prawdziwe wybaczenie. Chyba nam się udało?

I zniknęła ze sceny jak kometa na nocnym niebie: szybko i w ciszy. Tylko ci, którzy ją obserwowali, widzieli, jak przemyka do wyjścia. Wszyscy wiedzieli, że już jej tu nie zobaczą.

A ja pomyślałem, że jeśli Bóg naprawdę istnieje, to jest okrutny.

25

Moja sytuacja w styczniu zapowiadała się bardzo źle, bez iskiarki nadziei na to, bym kiedykolwiek ujrzał mą muzę. Na szczęście, dzięki pracy i kolegom, łatwiej przychodziło mi oderwać myśli od tej bolesnej sprawy.

Pewnego ranka, kiedy po raz kolejny zamknąłem kajet, zapisawszy, że pandy srają mało (choć ponosiłem za to odpowiedzialność, to czasami trochę niepokoiłem się o te maszynki do wydalania, borykające się z zatwardzeniem, otępiałe, jakby pozbawiono je jedyne-go celu życia), natknąłem się na Hugona, który z rękami splecionymi na plecach, zadartym podbródkiem i uniesioną brwią gapił się na całą klasę pierwszaków skupionych przy zagrodzie nosorożców białych. Nie twierdzę, że Hugo zazwyczaj był pogodny, co to, to nie, ale w tej chwili w jego spojrzeniu dostrzegłem coś niezwykle niepokojącego.

- Wszystko w porządku, chłopie?

Wydał wydatne, mięsiste wargi. Powtórzyłem:

- Masz kiepski humor?

- Ani lepszy, ani gorszy niż zwykle.

- To dlaczego robisz takie straszne miny?

- Przez te bachory.

- Jasne, rozumiem. Wyglupiają się, śmieją, są szczęśliwe.

Trudno to wytrzymać.

- Nie w tym rzecz. Martwię się o nosorożce.

- O nosorożce? No tak...

- Tak. Musi im być smutno, że wciąż się z nich śmieją.

- Ale to nie z nich się śmieją, Hugo...

- Z nich.

W jego głosie było tak głębokie przekonanie, tyle władczości, że wolałem się zamknąć. Każdy, kto ośmieliłby się w tej chwili mu zaprzeczyć, wystawiał się na śmiertelne zagrożenie.

- Bachory to hołota - dodał. - Są okrutne.

- Jak Bóg - szepnąłem.

- Co?

- Nie, nic.
- Nie lubię dzieciaków.
- Dorosłych też nie lubisz.
- Fakt. Ale te dzieciaki to co innego. Chętnie złapałbym za kark troje czy czworo, zaciągnął gdzieś na bok i porządnie przywalił łopata w łeb, śpiewając Herberta Leonarda.

- Herberta Leonarda?
- *Pour le plaisir*. To by je chyba uspokoiło.
- O tak, to by je na pewno uspokoiło! Może aż za bardzo.

Nie wiedziałem tylko, co - łopata czy piosenka - narobiłoby większych szkód, ale czasami zachowania Hugona przyprawiały mnie o gęsią skórę. To były reakcje człowieka chorego psychicznie.

Tym, co na szczęście trzymało go po dobrej stronie, nie pozwalając przejść do czynu, były ogromne pokłady nienawiści, jaką w sobie dusił. Tak bardzo nienawidził innych, że nie zaryzykowałby więzienia z ich powodu. Wyzwoliłby się, zabijając kogoś, jednak nikt nie wydawał mu się godzien, by marnować sobie przez niego życie. Pokrętnie rozumowanie. Tak jak Hugo.

W zoo wiele osób zastanawiało się, czy nie należałoby informować zwierzchników o takich jego wypowiedziach, ale Michaud podobno o wszystkim wiedział i nic sobie z tego nie robił. Tyle że Michaud gwizdał na wszystko, co nie zakłócało rytmu jego dnia i świętego spokoju, bo wcale nie miał ochoty zatrudniać nowego człowieka.

- No zobacz - rzucił Hugo. - Widzisz, jak te bachory wieszają się na siatce? Myślę sobie, że gdybym lekko odkręcił śruby, to następnym razem smarkacze powpadaliby na wybieg.

- Hugo! Przecież odpowiadasz tu za bezpieczeństwo. Nie możesz niczego takiego zrobić!

- Dzieciaki nie spadłyby przecież z wysoka. W dodatku jest tam mnóstwo błota, zamortyzowałyby upadek!

- Ale są i nosorożce.

- I o to chodzi! Może bachory zaczęłyby myśleć, gdyby znalazły się oko w oko z takim zwierzęciem. Odechciałyby się im nabijać z nosorożców.

- Hugo, nie pleć głupstw. To niebezpieczne. A twoim zadaniem jest czuwać, żeby wszystko tu było bezpieczne, zapomniałeś?

- Wpojenie odrobiny szacunku tym paskudnym bachorom to nic złego. Tego powinna uczyć szkoła!

- Dawać nauczki, maltretując dzieciaki?!

- Gdybym był nauczycielem, znalazłbym wiele sposobów, żeby je wychować. Zero tolerancji. Ból, żeby wpoić im teorię, kara w razie

nieposłuszeństwa.

Opadły mi ręce. Nic do niego nie trafiło.

- Nic dziwnego, że wy dwaj tak dobrze się dogadujecie! - rzucił nosowy głos za naszymi plecami.

Michaud patrzył na nas znad okularów. Pięć pasemek włosów przylegało do jego czaszki niczym blizny po dawnym pięknie, jeśli Michaud kiedykolwiek był piękny.

- Jakiś problem, Michaud? - zapytał Hugo.

- Panie Michaud! Mam was obu na oku! Przejrzałem waszą grę, bando obiboków!

Hugo spojrział na łopatę leżącą na moim wózku.

A mnie przebiegł zimny dreszcz.

- *Panie Michaud*, mówiąc tak, okazuje nam pan brak szacunku.

- Dobra, dobra, może ci się wydaje, że przestraszę się twoich zbójceckich min?! Wracajcie obaj do roboty, zoo nie płaci wam za gapienie się na dzieci.

Wtedy zauważyłem gołębia, który szedł kilka metrów za dyrektorem, i aż osłupiałem. Czyżby to był ten sam, który siedział na parapecie? Czy był tresowany? Czy da się wytresować gołębia?

Istotą rzeczy było jednak co innego: jaki człowiek chce tresować gołębie? Psa, to rozumiem. Kota, dlaczego nie? Może nawet gryzonia. Ale gołębia? Tak na serio?

Tak czy inaczej, ptak dreptał w ślad za nim, kołysząc się, jakby parodiował swojego pana. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu.

- A ty nie rób głupkowatych min! Pamiętaj, że masz umowę na czas określony, mogę cię wyrzucić z minuty na minutę! O, tak!

Uniósł rękę, żeby strzelić z palców, ale usłyszałem tylko ciche, miękkie potarcie skóry o skórę. Sfrustrowany porażką na tak banalnym poziomie, wyżywał się na mnie, grożąc:

- A przy okazji powiem ci, że zastanawiam się, czy nie zamienić całego czasu twojej pracy u nas w okres próbny.

- Jak pan chce to zrobić? - zdziwił się Hugo.

- Jestem dyrektorem, mogę robić, co mi się podoba.

Hugo zerknął na mnie, potem patrzył przez chwilę na łopatę i w końcu spojrział na Michauda. Może była to jedyna chwila, kiedy w jego oczach błysnęło jakieś pozytywne uczucie. Odrobina miłości. Kiedy zatrzymał wzrok na łopacie.

Mężczyźni mierzyli się na spojrzenia, mrużąc oczy. Pomyślałem wtedy o Sergiu Leone. Potem Michaud wruszył ramionami i odszedł, a za nim podreptał jego gołąb.

Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Michaud odchodzi ku swemu

przeznaczeniu, daleko ode mnie.

Zresztą najbardziej brakuje mi jego gołębia.

Hugo zwrócił się do mnie i nie spuszczał ze mnie oczu.

- Chciałbym, żeby zeżarły go leniwce - powiedział posepnym tonem.

- Właśnie leniwce!

- Tak. Leniwce antropofagi, które żartyby go tak wolno, żeby cierpiał przez wiele, wiele dni.

Powiedziawszy to, Hugo jeszcze raz rzucił okiem na dzieciaki, wciąż pełen wrogości, i też odszedł. Nie mogłem pojąć, jakim cudem ten człowiek mógł utrzymać się na nogach, dźwigając w sobie tyle gniewu i zła. Chyba że było ono jego paliwem. Może są takie istoty ludzkie, które żywią się wyłącznie tym, co najgorsze - nienawiścią, strachem, gniewem, cierpieniem.

Trochę jak George Bush albo Bin Laden.

Przecież świat to przestrzeń utrzymywana w doskonałej równowadze. Trzeba jakoś kompensować przesadną dobroć niektórych. Za Gandhiego czy za matkę Teresę musi gdzieś wściekać się taki Hugo. Chciałbym, żeby ktoś ich wszystkich zebrał. Po jednej stronie wszystkie kopie Charlesa Mansona, po drugiej - ojca Pierre'a. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy jest ich po równo na obu polach. Z jednej strony superbohaterowie, z drugiej złoczyńcy, jak w komiksach z mojego dzieciństwa. Być może stałem się świadkiem narodzin potwora. Któregoś dnia Hugo będzie musiał przecież przejść do czynu, dręczony przez swoje demony, a ja nie będę mógł temu zapobiec. Wpisałem się do grona tych, którzy byli najliczniej reprezentowani na świecie, tych, którzy nie podejmują działania. Figurantów ludzkości. Nie ma się potem co dziwić, że nasze życie jest mierne, a w każdym razie nieciekawe. Nie jestem ani herosem, ani łotrem. Tylko przechodniem, który pojawia się w jednej klatce kreskówki. Jednym z tych, na których nikt nawet nie patrzy - koniecznym elementem całościowej sceny, służącym estetyce, ale właściwie bezużytecznym. Tacy jesteśmy. W sumie potrzebni, żeby tworzyć tłum, ale w istocie, jako jednostki, zbędni. Każdy człowiek wierzy, że jego życie się liczy, że jest osią historii, ale to nieprawda - stanowi zaledwie cień w rogu obrazka zagubionego pośród setek stronik komiksu życia. I to w najlepszym razie.

Wieczorem wróciłem do domu przytłoczony. Pod prysznicem, nie mogąc się zdobyć na zakończenie kąpieli, myślałem o Ophélie. Tęskniłem za nią. Pragnąłem ją zobaczyć, usłyszeć, poczuć jej bliskość. Dzięki tej szczypcie szaleństwa, którą w sobie miała, łudziłem

się, że jestem żywy i wyjątkowy. Choć pod strumieniem gorącej wody znów czułem się bezwładny i banalny.

Julia była dla mnie jedynym mostem, a ja zerwałem go jak dureń.

Owinąwszy się ręcznikiem w talii, ociekając jeszcze wodą, napisałem do niej SMS-a.

Przykro mi, że Cię zranilem. Jeżeli Cię to pocieszy, to Ty jedna możesz teraz uczynić mnie szczęśliwym albo nieszczęśliwym. Potrzebny mi adres Ophélie, żebym znów mógł się z nią zobaczyć. Teraz to Ty pociągasz za sznurki. Masz władzę. Julio, naprawdę mi przykro: i nie tylko z tego powodu. Jest mi tak zwyczajnie, po ludzku przykro. Szczęrze.

Ledwie zdążyłem wysuszyć się na sofie, kiedy telefon zawibrował. Odpowiedź Julii:

Zdychaj, łajdaku.

Musiałem uznać, że nasze relacje zostały definitywnie zerwane.

Wiedziałem też, że Ophélie uważała za kwestię honoru wypełnienie zadania, jakie mi wyznaczyła. Gdybym przyznał się do porażki, przeprosił ją i błagał o drugą szansę przez telefon, nie byłaby już taka sama. Traktowałaby mnie jak przegranego, który nie potrafił wypełnić swojej misji. Chciałem przed nią błyszczeć, chciałem rozpalać jej oczy! Pragnąłem chwały! Chciałem dla nas wszystkiego, co najlepsze.

Ale nie miałem żadnego pomysłu, żadnej wskazówki. Julia była moją jedyną nadzieją. Wyobraźmy sobie, że Luke Skywalker znajduje na początku *Gwiezdnych wojen* ciało martwego Obi-Wana Kenobiego i że nie dochodzi do sceny, która otwiera całą historię. Facet pojawiłby się o dwie minuty za późno i nie zostałby największym bohaterem wszech czasów. Eks-przyszły wybawca Kosmosu żyłby samotny, zgorzkniały, obsiewając kamieniste pole.

Tak, czułem się trochę jak wojownik Jedi, który nie odebrał pierwszej lekcji i nawet nie wziął do ręki świetlnego miecza.

Goły.

Nawiasem mówiąc, właśnie taki byłem, a wszystko, co mogłoby choć trochę przypominać świetlny miecz, było pogięte, żalodne, niezdatne, by komukolwiek zagrozić. Cała różnica między fikcją a rzeczywistością sprowadzała się do fallicznego obrazka. Pomyślcie tylko, ilu małych chłopców na całym świecie marzyło, żeby posługiwać się świetlnym mieczem tak sprawnie jak Luke Skywalker, by w końcu przedwcześnie sprawdzać się w wytryskach...

Wstałem, żeby założyć slipy, i wtedy właśnie usłyszałem dźwięk

telefonu...

Julia!

*Ul. François Millet 36, w głębi podwórza po lewej.
Bądź z nią szczęśliwy i strać ją szybko, żeby mocniej cierpieć.*

Zastanawiałem się, czy odpisać jej i podziękować, ale pomyślałem, że uznałaby to za obelgę. Serce biło mi coraz szybciej. Ophélie była dla mnie adrenaliną. Byłem już na ulicy. W metrze. Znowu na ulicy. W budynku, którego nie znałem. W lewym rogu dziedzińca.

Włożyłem klucz do zamka i przekręciłem.

Zgrzyt.

Drzwi się otworzyły.

Duże niebieskie oczy Ophélie zwróciły się na mnie z wnętrza, które prawdopodobnie było kuchnią, ponieważ miała na sobie długi biały fartuch, w jednej ręce rondel, w drugiej drewnianą łyżkę.

- Mój rycerz podjął wyzwanie - powiedziała, uśmiechając się.

Fartuch miękko opadł na skrzypiący parkiet, Ophélie czule mnie objęła. Szczęście, radość, rozkwit, wesołość, śmiech, pocałunki, serdeczność, emocje, zachwyty, erekcja, świetlny miecz, ukojenie, drzenie, szczęście. Koło się zamknęło.

Piękna jak zawsze i jak zawsze ładnie pachnąca.

Pomogłem jej przygotować sos boloński do spaghetti, które szykowała, zanim przyszedłem, zwiększyliśmy tylko ilości składników, a potem usiedliśmy przy niskim stoliku w salonie, żeby zjeść kolację. Każda minuta była czystą rozkoszą, którą starałem się w pełni wykorzystać i docenić, ponieważ wcześniej uwierzyłem, że nie zobaczę już Ophélie. I dlatego, że miałem gówniany dzień, co w moim fachu brzmi jak eufemizm. I dlatego, że mi jej brakowało, chociaż prawie się nie znaliśmy. Dla mężczyzny, który od miesiący widuje się tylko z garstką ludzi, Ophélie znaczyła bardzo dużo. Można powiedzieć, że Julia była moją najlepszą przyjaciółką, a co do Hugona i Tess, to on wydawał mi się równie przerażający, jak ona niewinnie stuknięta.

Obejrzałem jej mieszkanie, ale nie znalazłem niczego oryginalnego, zdradzającego kolekcjonerkę samobójstw, dopóki nie trafiłem do pracowni, szklarni pełnej starych skrzynek z zielonymi łożkami, bardzo realistycznymi sztucznymi liśćmi, płatkami w najrozmaitszych kolorach z tiulu, z jedwabiu, z organzy i muślinu... Byliśmy w wylęgarni kwiatów - tu rodziły się co dnia dziesiątki wzorów, na tym zniszczonym stole, pod palcami mojej bogini.

Nareszcie spędziliśmy razem pierwszy prawie normalny wieczór -

przytuleni, rozmawialiśmy o minionym dniu. Moje opowiadki z pracy rozśmieszały ją i wszystko byłoby jak najlepiej na tym cudownym świecie, gdybym nie zobaczył jej zdjęcia na jednej z etażerek.

Prawdę mówiąc, czuję się trochę winny. Fotografia nie była widoczna, zauważyłem tylko jej rożek, a na nim czubek głowy, i domyśliłem się, że to moja blondynka. Ophélie wyszła właśnie do toalety. Z ciekawości pociągnąłem za ten rożek i ujrzałem ją w garsonce, w towarzystwie pięciu innych osób. Fotografia w kręgu współpracowników. Na białym pasku pod zdjęciem nadruk: „Od lewej: Lionel Ferro, Sabine Dexier, Faneck...”.

Ophélie była druga od lewej.

Nazywała się więc Sabine Dexier.

Po SMS-ie, którego autor nazywał ją Caro, i przestrofach Julii, twierdzącej, że moja dulcynea nie jest tą, za którą się podaje, miarka się przebrała.

Usłyszałem odgłos spuszczonej wody.

Miałem spocone dłonie. Co za idiotyzm! Odłożyłem zdjęcie na miejsce i próbowałem udawać odprężonego. Ale ta sprawa nie dawała mi spokoju.

Toteż kiedy poprosiła, żebym zaczekał w sypialni, aż weźmie prysznic, skinałem głową, ale nie poszedłem tam.

Zatrzymałem się w przedpokoju i szybko przejrzałem stosik listów zalegających w pudełku. Były adresowane do Ophélie Cartier. Prawie wszystkie. Oprócz jednego, do niejkiej Armelle Safran. Nie otworzyła ich, więc nie mogłem rzucić okiem na treść. Ale ciśnienie chyba mi skoczyło. Czułem się fatalnie - musiałem wiedzieć, rozwiązać wątpliwości. Mieszkanie było nieduże, więc w głównym pokoju szybko zauważyłem pudła pod biblioteczką. To, co zrobiłem, było złe. I dobrze na mnie zadziało. Zacząłem szperać, delikatnie otwierać. Tony papierów. Zdjęcia. Listy. Pocztkówki. Adresowane do Armelle. Do Sabine Dexier. Znalazłem wiele osobistych listów, w tym jedno wyznanie miłości - dla Amandine Naïs.

Ile kobiet tu mieszka? Albo ile kobiet mieszka w głowie Ophélie?

Może przechowuje rzeczy przyjaciółki. Kilku przyjaciółek. Nie bardzo w to wierzyłem. Szybko odłożyłem wszystko na miejsce i starałem się odprężyć, robiąc głębokie wdechy i wydechy, spokojnie wciągając powietrze przy oknie wychodzącym na podwórze. Myśleć o czym innym. Ciekawość to paskudna wada. Sieje wątpliwości, rozbudza nieufność, zżera zaufanie. Wszystko niszczyłem. Ophélie na pewno potrafiła mi to logicznie wyjaśnić - wmawiałem sobie. To nic. Powinienem skupić myśli na czymś innym.

Pościel była miła w dotyku i chłodna. Gładko przesuwała się po skórze, kiedy ją naciągałem. Nad głową zobaczyłem spękany sufit. Dwie szerokie szpary ciągnęły się od ściany do ściany.

Światło dogasło i już tylko świeczka paliła się na niskim stoliku. Ophélie pojawiła się w koszulce z czerwonej satyny. Bardzo stereotypowe.

I takie podniecające.

Nie chciałem tego psuć. Dlatego odłożyłem na bok wątpliwości. Jestem facetem.

To jednak nie przeszkodziło mi pomyśleć w pewnej chwili o dwóch pęknięciach na suficie. Jak nasze dwie spękane osobowości.

Nie wiedziałem, co ukrywa, ale wydawało mi się, że dobraliśmy się jak dwa ziarenka w korcu maku.

Oby tylko i ona nie była przeklęta.

Druga z nich.

Inne miejsce, inny czas.

Olivier Marchal pochylał się nade mną, przysiadłszy jednym półdupkiem na biurku.

Constance zmarła kilka godzin temu. Rozsmarowana po ścianach.

Zapadła noc i poddasze otwierało się już tylko na ciemności słabo rozpraszane przez cywilizację. O ile na zewnątrz pozostały jeszcze jakieś resztki cywilizacji. Po tym, co zobaczyłem dziś popołudniu w moim małym mieszkaniu, wątpiłem w jej istnienie.

- W porządku, twoja ówczesna dziewczyna miała wiele nazwisk, rozumiem - gliniarz pokiwał głową. - Ale co to ma wspólnego z tym, co spotkało Constance?

- Zaraz do tego przejdę.

- Czekam z niecierpliwością.

- Żeby wszystko zrozumieć, musi pan mieć pełen obraz sytuacji.

- Ale chciałbym już wiedzieć, dlaczego zabiłeś Constance. Twoja przeszłość, okoliczności łągdujące... Wiem, że masz ich mnóstwo, ale nie jestem sędzią. Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzyło dzisiaj.

- Nie mam pojęcia, co było dziś. Już panu powiedziałem, że to nie ja. Kocham Constance...

- Tak jak kochałeś Ophélie?

- Nie. To dwie różne kobiety, więc i różna miłość. Nie można porównywać tego, co nie jest do siebie podobne. Istoty ludzkie to nie książki, które kładzie się jedną obok drugiej, żeby wybrać tę, którą się woli.

- Czyli teraz mówisz, że to nie ty ją zabiłeś? Wycofujesz się?

Kiedy tylko znaleźliśmy się na jego terenie, zaczął mówić do mnie per ty. Słyszając, że pozwala sobie na taką poufałość, zrozumiałem, że przechodzimy do istoty problemu. Byłem podejrzanym. Teraz on zrobi wszystko, żeby nakłonić mnie do powiedzenia tego, co chce usłyszeć. Będzie mnie przyciskał, drażnił, posuwając się do granic tego, co wolno mu robić.

Dla siebie mam prawdę. I trzymam się jej jak nocą gwiazdy nieba. A z tego, co wiem, nikt nigdy nie widział, żeby gwiazda się urwała.

- Nigdy nie przyznałem się do morderstwa. To nie ja. Powiedziałem panu tylko, że już mi się to zdarzyło. I że to mnie przeraża.

To słowo nie jest zbyt mocne. Boję się. Nawet więcej niż boję. Wydaje mi się, że poczucie bezpieczeństwa zniknęło bez śladu. Że jestem w niebezpieczeństwie. Nie tylko ja, ale wszyscy wokół mnie. To przez tę klątwę. Uderza w najmniej spodziewanej chwili. Nic nie mogę na to poradzić. Prawdę mówiąc, ten ciasny pokoik prawie mnie uspokaja, chociaż pozbawia mnie wolności. Tu, twarzą w twarz z policjantem, w środku nocy, tkwiąc w budynku policji, czuję się niemal lepiej.

- Nie wykręcaj się, weź na siebie odpowiedzialność. Sąsiedzi słyszeli w południe krzyki!

W tym momencie mój głos łamał się z bólu, z żalu, z cierpienia, a obraz Constance walczącej o życie, krzyczącej, żeby się ratować, stanął mi przed otępiłymi oczyma.

- Po co gmatwasz sprawę, opowiadając mi o Ophélie i o zoo?

- Ponieważ, jeśli chce pan zrozumieć, co się stało z Constance, musi pan poznać historię mojego minionego roku.

- Dobra, byłeś z dziewczyną, która używała kilku nazwisk. I co dalej? Poprosiłeś, żeby ci to wyjaśniła?

- Nie od razu. Czekałem prawie miesiąc.

- Dlaczego?

- Bo chciałem się nacieszyć chwilą. Naszym związkiem. Wie pan, co to jest raj?

- Nie krępuj się, mów.

- To iluzja.

- I?

- Raj to tylko iluzja, którą żyją mężczyźni, żeby łatwiej znosić pustkę życia. Poskramia najbardziej wojowniczych, uspokaja przerażonych, wzmacnia, nadaje kierunek, pozwala się kontrolować. Raj to próżna obietnica, a my udajemy, że w nią wierzymy, żeby lepiej się czuć.

- Co to ma wspólnego z twoją byłą dziewczyną?

- Nie pytałem o jej tożsamość, ponieważ stworzyliśmy sobie mały raj. Żyliśmy beztroską początku, otoczeni drobnymi iluzjami, bez których nie ma szczęścia. Nadmiar prawdy, szczerości, cała ta uczciwość człowieka w jego relacjach z innymi, to piekło. Prawda to piekło. Dlatego żyłem sobie w pewnym przybliżeniu tego, o czym nie

wiedziałem, rozmawialiśmy o codziennych sprawach, o ideałach, tkwiliśmy albo w skrajnym konkretnym, albo w metaforyce, nigdy pomiędzy nimi, żeby unikać mówienia o sobie, o naszej historii. Tak przynajmniej było przez miesiąc po epizodzie z kluczem. Za bardzo bałem się tego, co mogłem odkryć.

- Co dalej?

- Zaraz do tego dojdę. Ale wcześniej muszę panu powiedzieć coś innego. Żeby mógł pan to zrozumieć. Klątwa po raz pierwszy uderzyła w zoo.

- Klątwa?

Powtórzył to słowo z pewną odrazą w głosie i z niedowierzaniem na twarzy.

- Tak.

- Tego jeszcze brakowało!

- Wiem, że kiedy tak o tym mówię, wydaje się to niewiarygodne...

- Żebyś wiedział!

- Ale ja naprawdę jestem przeklęty.

Marchał wbił oczy w sufit. Zaczynał tracić cierpliwość.

- Po prostu nie wie pan, co to oznacza - powiedziałem.

Pochylił się nade mną i nieoczekiwanie położył dłonie na podłokietnikach fotela, w którym siedziałem.

- Posłuchaj, chłopie - warknął. - Nie wystarczy, że opowiesz mi o duchu albo klątwie, żebym zostawił cię w spokoju, rozumiesz mnie?

- Ona nie zabija sama, zapewniam. Nie jestem aż takim debilem. Wiem, że ktoś za tym stoi.

Marchał cofnął się i westchnął. Splótł ręce na piersi.

- I może wiesz kto?

- Tak.

W jego oczach rozbłysło inne światło. Nie odbijało się już tak samo. Tam, tuż za źrenicami, była jego dusza, już nie kryła się w najgłębszych zakamarkach jego istoty, ale stanęła przede mną, patrzyła przez źrenice, ciekawa i niecierpliwa. Czatowała spragniona wiedzy - czekała na prawdę.

- W takim razie mów!

- Żeby to zrozumieć, musi pan najpierw wysłuchać całej historii.

Sfrustrowany policjant znów klapnął pośladkiem na biurko.

- Tego się obawiałem. Dobrze. Czyli przez miesiąc nie odważyłeś się zapytać przyjaciółki, kim jest, i w tym czasie klątwa uderzyła w zoo. Słucham.

- Powinien pan posłuchać trochę uważniej, nie podchodzić do

tego tak lekceważąco, bo w końcu kompletnie się pan pogubi.

Wyciągnął rękę, zachęcając, żebym kontynuował.

Czułem, że jest znużony.

- Diabeł tkwi w szczegółach - przypomniałem mu.
- Tylko mi nie wmawiaj, że to diabeł jest winny...
- W pewnym sensie...

23

Osobowość. Oczywiście, moja. Ale także osobowości Tess, Hugona, a nawet Michauda i jego gołębia. Vincennes to zoo osobowości. Prawdę mówiąc, to najciekawsze, co można tam zobaczyć.

Na początku lutego przyszedłem rano - jak zwykle miałem na czele listy codziennych zajęć pandy - i natknąłem się na Tess.

- Słyszałeś nowinę?
- Pandy zdechły?
- ...
- Łudziłem się. No mów, co się stało.
- Michaud zniknął.
- A czy naprawdę istniał?
- ...
- Ba... Facet jest taki przezroczystry, że można w to wątpić.
- Nie wygłupiaj się, Pierre. Wczoraj do dyrekcji przyszła policja.

On naprawdę zaginął.

- Pewnie siedzi chory w domu albo włóczy się z jakąś mołdawską kurwą, która zwęszyła tłustego gołębia.

- Nie, mieszka z matką. Nie widziała go od dwóch tygodni. Policja zaczyna traktować sprawę poważnie. Żadnych operacji na koncie bankowym, samochód nieruszany z parkingu. Nic. Jakby się ulotnił.

Przypomniał mi się Hugo i jego łopata.

- Rozmawiałaś już z Hugonem?

Tess dziwnie mi się przyglądała.

- Dlaczego? - zapytała.

- Nie wiem, żeby się dowiedzieć, co o tym sądzi.

Wciąż dziwnie na mnie patrzyła.

- No właśnie... Hugo i Michaud raczej za sobą nie przepadali - powiedziała tonem zdradzającym podejrzenia. - Hugo nigdy cię nie wystraszył?

- Wręcz przeciwnie. Nigdy nie napawa mnie spokojem.
- Tak jak mnie.
- Ale żeby myśleć, że...

Zerknęła przez ramię i dodała trochę ciszej:

- Jeżeli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to byłby zdolny...
- Tak sądzisz?
- Nie zdziwiłabym się.
- Ja bym się zdziwił.
- Nie wydaje ci się...
- Jeżeli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to nie byłby zdolny

do...

Patrzyliśmy na siebie bardzo dziwnie.

- Dlaczego nie? - zapytała.
- Nie jest jeszcze gotów.

- ...

- Chcę przez to powiedzieć, że jego destrukcyjny potencjał nie osiągnął jeszcze apogeum. Nie jest gotów się ujawnić, nie pokaże na razie prawdziwej twarzy. Superzły jeszcze się nie wykuł. A poza tym nie ma przeciwnika. Musi mieć superbohatera, dla równowagi, a tu takiego nie znajdzie.

- ...

- Nieważne, to tylko moja ocena.
- Tak, ty też jesteś dziwny.
- O, przepraszam, tylko nie zaliczaj nas obu do tej samej kategorii.

- Prawdę mówiąc, obaj figurujecie na mojej liście podejrzanych.
- Ja? Podejrzewasz mnie?
- Dlaczego nie?

Wyczułem, że Tess wcale nie żartuje.

- Ale ja... ja... ja to ja! Facet na luzie!
- Wydaje ci się, że nie zauważyłam, co robisz ze zwierzętami? Lampka alarmowa. Syrena. Czerwony alarm.

- O czym mówisz?

- Analiza krwi lemurów wykazała obecność kwasu lizergowego. LSD. A viagry u świstaków. Obserwuję cię od dziesięciu dni, widziałam, jak wrzucasz pigułki małpom. Wszłam tam tuż po tobie, żeby je zabrać. Dlaczego to robisz?

- To nic złego...

- Trucie zwierząt to ma być „nic złego”?

- To xanax, Tess, nie trucizna. Nie zauważyłaś, że odkąd tu pracuję, małpki się wyluzowały? Już nie wrzeszczą przez cały czas, nie skaczą na kraty, nie są agresywne...

- Nic dziwnego, nie są już sobą! Wpędziłeś je w depresję. Są naćpane do szpiku kości.

- Stosuję bardzo małe dawki.
- Pozwól, że zgadnę: to zaparcie u pand to też twoja sprawa?

Wzruszyłem ramionami.

- Przecież wyświadczyłem im przysługę - mruknąłem pod nosem.

- Przeciwnie, przerabiasz je od środka!
- Nazywasz życiem sranie od rana do nocy i od nocy do rana?!
- To ich życie!
- Polepszyłem je.
- To nienaturalne! Musisz respektować naturę zwierząt!
- Za to bardzo naturalne jest trzymanie ich przez całe życie w klatkach?

Cisza. Frustracja. Powściągany gniew. I cień zrozumienia: jednak *cirrus*, maleńki, ledwie uformowany.

- Gdyby Michaud się o tym dowiedział, udusiłby cię gołymi rękami.

Uniosłem ręce.

- Co ty pleciesz? Nie morduje się ludzi z takiego powodu.
- Chciał cię zwolnić.
- Mówi to wszystkim, dzień w dzień.
- Tak, ale ciebie naprawdę chciał wyrzucić. Nie mógł na ciebie patrzeć. Zrobiłby to.

patrzeć. Zrobiłby to.

- Kto ci to powiedział?
- Wszyscy o tym wiedzą.
- Wszyscy?
- Tak, poza tobą.
- Ale... przecież...
- Słowem, miałeś motyw. A jeśli zauważył cię z lekarstwami...
- Powiesz o tym?

- Że faszeryjesz zwierzęta tymi świństwami? Oczywiście. Moim obowiązkiem jest je chronić.

- Różąc się z nimi?
- Słucham?

Wzruszyłem ramionami.

- Powiedziałem tylko, że o ile ja staram się poprawić jakość życia naszych zwierząt - na swój sposób, to prawda - to ty masz bardzo osobliwą metodę.

- Nie mów tak.
- Nigdy się do żadnego nie dobiełaś?
- Potrafisz to udowodnić?
- Wszyscy o tym wiedzą. Przecież mówisz otwarcie o swoich

zoofilskich fantazjach.

Tess wrzała. Wykorzystałem okazję, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Posłuchaj. Proponuję ci układ: ty zapomnisz, że wiesz, co podawałem zwierzętom, ja zrobię to samo, zapomnę o twoich fantazjach. Każde z nas zajmie się własnym życiem i wszystko będzie tak, jakby nic się nie stało.

- Zabiłeś Michauda?

- Oczywiście, że nie!

- To co mu się mogło stać?

- Nie mam pojęcia. Ale jeżeli wygadasz, co wiesz, gliny się do mnie dobiorą. A ja nic nie zrobiłem. Przynajmniej Michaudowi.

- Przystaniesz truć zwierzęta?

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Umowa stoi?

- Stoi - potwierdziła.

Patrząc na siebie po tej ostrej wymianie zdań zakończonej uściśkiem spoconych dłoni, czuliśmy się niezręcznie.

- Ale wciąż nie wiemy, co się stało z Michaudem - powiedziała.

Właśnie wtedy podszedł do nas Hugo, jak zwykle niepokojący.

- Co z Michaudem? - rzucił.

Tess i ja. Porozumiewawcze spojrzenia. Porozumienie.

Hugo powtórzył:

- No i co z Michaudem? Znaleźli go?

- Nie - powiedziała Tess. - Jeszcze nie. Domyślasz się, co mogło mu się przytrafić?

- A skąd mam wiedzieć?

Wymowne spojrzenia między weterynarką zoofilką a mną. Porozumienie oczu. Podejrzewała Hugona. Nie, tak naprawdę była przekonana, że to on. Udało mi się, była już pewna, że ja go nie zabiłem. Ale jak mogło jej przyjść do głowy, że zamordowałem Michauda? Nie lubiłem tego typka, ale żeby posunąć się do zabójstwa?...

Hugo natomiast miał profil mordercy.

- Czy to nie ty widziałeś się z nim w piątek wieczorem jako ostatni, tuż przed wyjściem? - zapytała go.

- Możliwe. Dlaczego pytasz? Myślisz, że mógłbym go skrzywdzić?

- Niczego takiego nie powiedziałam. Coś ty taki nerwowo?

- Zasłużył sobie, żeby przywalić mu łopata. Coś ci powiem: to karaluch, nędznik, ale nie jest wart, żeby ryzykować za niego więzienie. Co to, to nie!

W tych słowach wyrażała się jego osobowość. Właśnie taki był. Nigdy nie podjąłby takiego ryzyka, nie zmarnowałby sobie życia dla takiej miernoty jak Michaud. Chyba że wieczorem, kiedy był już zmęczony, zalała go krew...

- Nie denerwuj się, Tess, spokojnie, tak sobie tylko gadam...
- Taaak...

Poziom stresu utrzymywał się przez cały dzień. Czuliśmy się trochę jak w tych reality show, gdzie trzeba obserwować współuczestników. To była paranoja - relacje na pozór kordialne, a zero zaufania do kogokolwiek.

Policja pojawiła się znowu po dwóch dniach. Funkcjonariusze wypytywali wszystkich, ale jakby w pośpiechu. Tylko po to, żeby zebrać różne opinie. I nic więcej.

Wieczorem poszedłem do Ophélie. Zamówiliśmy dwie pizze ociekające pikantną oliwą i popijaliśmy je schłodzonym rosé. Byłem wykończony. Dobiła mnie przytłaczająca atmosfera w zoo, pomijając już brak snu, bo trudno mi było oderwać się od telewizji przed drugą w nocy, o ile oczywiście nie rozkoszowałem się bliskością Ophélie. Zapomniałem, że muszę mieć się na baczności. No i przesadziłem z winem.

Późnym wieczorem popełniłem błąd.

Ophélie dostała SMS-a i przeczytała go w takim pośpiechu, jakby przynosił jej wstyd albo krył potworną tajemnicę. To podsyciło we mnie zazdrość, wzbudziło nieufność.

- A jak on cię nazywa? - rzuciłem.
- Nie rozumiem...

Duże niebieskie oczy wciąż miały szerokie tęczęwki, ale nagle ich blask przygasł.

- Ten SMS był do Ophélie czy do Caro? A może tym razem do Armelle, Sabine czy tej Amandine?

Ten, kto nigdy nie widział, jak pełne morze nagle przechodzi z łagodnego odrętwienia w przeraźliwy chaos, nie zrozumie, co wtedy zobaczyłem.

Ophélie-Caro-Armelle-Sabine-Amandine wystrzeliła z kanapy, żeby zgromić mnie jak Zeus, który ze szczytu Olimpu patrzy na prostego śmiertelnika sikającego na jego górę.

Moje jaja skuliły się, jakby to one były wszystkiemu winne, i ukryły w podbrzuszu niczym ślimaki, które błyskawicznie chowają się do skorupy. To musi być jakiś prastary odruch - atawizm, za którym stoją tysiące lat doświadczeń - atrybuty męskości samoistnie chronią się przed rozjuszoną kobietą. Po prostu jaja mają lepszą pa-

mięć niż mózg. Właściwie to dobre podsumowanie mężczyzny jako takiego.

- Szperałeś w moich rzeczach?

Jej głos był zimny jak lód. Oddech błyskawicznie schłodził powietrze w pokoju, poczułem, że gęstnieje mi krew, podkulają się palce u nóg, włoski przywierają do skóry, nawet niesforne kosmyki na głowie nagle stały się potulne i wygładziły się jakby nigdy nic.

- Nie - odparłem.

- Skąd w takim razie wiesz?

- Przypadek.

- Przypadek nie istnieje.

- No cóż, widocznie istnieje. Dostałaś kiedyś SMS-a i zauważyłem, że autor nazywa cię Caro.

- A reszta?

- Zostawiłaś na wierzchu papiery.

- Niczego nie zostawiam na wierzchu.

- Wygląda na to, że tak.

Zacisnęła pięści. Zawahała się. Była pełna sprzeczności. Pałający w niej gniew kontrastował z chłodem jej zachowań. Uczucie, jakim mnie darzyła, z odrazą do tego, kto ją zdemaskował albo zdradził - tego jeszcze nie wiedziałem.

Skoncentrowałem się, żeby dobyć z trzewi wszystko, co jest w nich najmiłsze, i starałem się upodobnić do kota ze *Shreka*:

- Ale... bardzo mi przykro.

Zacisnęła szczęki. Jasne loki kołysały się przy jej twarzy, podkreślając wewnętrzne zmagania, jakie toczyła, całe jej ciało jakby zawisło, targane nienawiścią i miłością.

Rzuciłem na stół ostatnią kartę.

- Przepraszam, nie chciałem wprawić cię tym w zakłopotanie, ale nie dawało mi to spokoju. Wyczuwam różne rzeczy i nie mogę dłużej tak żyć, nie wiedząc, co to oznacza. Te wszystkie imiona i nazwiska... Już nie wiem, kim jesteś.

Ściągnęła usta i nagle jej postawa uległa zmianie. Zdołała się uspokoić. Wolno pokiwała głową i uklękła przy mnie. Położyła dłonie na moich kolanach. Wybrała. Miłość zwyciężyła.

Ophélie wymierzyła mi siarczysty policzek.

Tsunami palców wbiło się w moje ciało, rozdarło policzek, sponiewierało godność.

- To za grzebanie w moich rzeczach. Musiałam zamknąć tę sprawę. A skoro wszystko jest już załatwione, to owszem, należą ci się ode mnie wyjaśnienia.

Przechyliłem głowę, bo fala uderzeniowa rozerwała bębenek mojego lewego ucha - biedak, zaginał gdzieś między małżowiną a poczuciem godności osobistej.

Ophélie wydawała się poruszona.

- Czy naprawdę jesteś gotów, by poznać całą prawdę? - zapytała.
- Teraz i tak niewiele słyszę...

Świst stawał się nieco mniej dotkliwy, kiedy wpatrywała się we mnie, a jej nastrój wahał się między kontrolowanym okrucieństwem, powątpiewaniem i cieniem szczerości.

- Tak sędzę - powiedziałem spokojnie i pokiwałem głową.
- Naprawdę całą?
- Jeżeli chcemy dać sobie szansę, to chyba nie ma innego wyjścia?

Przytaknęła z powagą.

- Jestem martwa - rzuciła nagle.
- Słucham?
- Umarłam. Już trzykrotnie.

Głucha cisza. Co mogłem powiedzieć?

Jedna z dwóch obecnych w pokoju osób była bez wątpienia szalona.

Tym razem postawiłem na nią.

22

- *Nie godzi się* uciekać do prostoty kłamstwa, więc wyznaj mi, co ci leży na sercu, ale szczerze - odparłem Ophélie ze spontanicznością i liryzmem usidłonego faceta.

Jeżeli chciała się mnie pozbyć, to nie musiała wciskać mi takich bzdur ani udawać wariatki.

Znowu się zawahała. Ująłem ją za rękę.

- Kolekcjonuję nie tylko samobójstwa - wyznała, ledwie poruszając ustami. - A przynajmniej... nie tylko cudze.

Niedowierzanie. Mętlik.

- Nie rozumiem. A kto poza innymi ludźmi mógłby popełnić samobójstwo? Gdybyś to zrobiła, nie byłoby cię tu.

- Baa... otóż tak. Kolekcjonuję również własne samobójstwa.

Wyobraźnia zbiorowa zwykle widzi synapsy, które przesyłają informację pod postacią drobnych błysków, jakby cały mózg się rozświetlał. W tej chwili w mojej głowie rozbrzmiał irytujący trzask kuchenki gazowej, kiedy zapalarka ciska mikroiskierki, a płomień się nie rozpała. Moje synapsy nie przechwytywały informacji.

Wszystko docierało do celu, jednak przetwarzanie się zacięło.

- Chodzi ci o nieudane próby samobójcze, tak?

Pokręciła głową.

- Nie. Ja naprawdę odbieram sobie życie. Skutecznie. Umieram. Zdarzyło mi się to już trzy razy.

- O!

Nierozumienie świata skumulowane w jednej głosce.

- Za pierwszym razem się utopiłam, potem wzięłam leki, a ostatnio zginęłam pod pociągiem. Nie wspomnę już o zaginięciu, ale to w pewnym sensie cztery śmierci.

- Która ci się najbardziej podobała?

Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Nie, Pierre, ja mówię poważnie.

- Ale przecież... przecież nie można się zabić i... i siedzieć tu teraz, w pełni życia.

- Najwyraźniej można.

Krzywy uśmiech zagościł na jej ustach.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś... nieśmiertelna?
- Nie, skądże. Jeżeli wbijesz mi nóż w serce, umrę jak każdy.
- W takim razie nic już nie rozumiem.
- Nigdy nie marzyłeś, żeby uczestniczyć we własnym pogrzebie?

Zobaczyć miny najbliższych, kiedy dowiadują się o twojej śmierci? Żeby się przekonać, ile czasu potrzebuje twoja dziewczyna na znalezienie nowego faceta? Usłyszeć, co mówią o tobie przyjaciele? Albo po prostu dowiedzieć się, czy byłeś *naprawdę* kochany?

- Każdy czasem to sobie wyobraża. To trochę marzenie ludzi wierzących w Boga, myślę się? Żyć po śmierci, obserwować wszystko z góry.

- Ale Bóg to obietnica, która dotyczy zmarłych, a nakłada zobowiązania wyłącznie na żyjących. Czyli można obiecać Bogu wszystko, przecież to nic nie kosztuje! Ja chciałam pewności. Konkretnie.

- I dlatego się zabiłaś?

- Właśnie. Wyreżyserowałam własną śmierć w najdrobniejszych szczegółach.

- Wy tłumacz mi, jak to się robi: topisz się „na śmierć”, ale ostatecznie nie umierasz?

- Ten pierwszy raz to był czysty przypadek. Miałam szczęście i umarłam.

- Tak? To możliwe?

- Miałam dwadzieścia trzy lata. Mój dziadek niedawno odebrał sobie życie. Zniknęłam. Pewnego ranka opuściłam dom ojca i pojechałam samochodem do Normandii. Tam włączyłam się po plażach - bez celu, nie kontaktując się z nikim. Byłam kompletnie załamana. Ojciec się wystraszył, powiadomił policję, rozmawiał z przyjaciółmi. W końcu znaleźli mój samochód w Étretat. Dwa dni później morze wyrzuciło ciało młodej kobiety. Leżała u podnóża klifu. Zwłoki pozostawały w wodzie dość długo, więc identyfikacja była mocno utrudniona. Żandarmi wezwali mojego ojca, przekonani, że to ja. Ojciec w to uwierzył - dziewczyna była do mnie podobna, w dodatku wydawało mu się, że rozpoznał mój sweter. Nie wiem, czy ojciec okazał się takim niedojdą, czy po prostu dopisało mi szczęście. Tak czy inaczej, nie odzywałam się, zostałam w ukryciu, czekając, aż prawda wyjdzie na jaw. Nie wiem, dlaczego tak postąpiłam. Po prostu czekałam, bez powodu. Szkoda tylko, że nigdy nie przywrócono prawdziwej tożsamości tej zmarłej kobiecie. A ja wciągnęłam się w grę. Spodobało mi się to. W przebraniu przyglądałam się z daleka

mojemu pogrzebowi, przy okazji obserwowałam przyjaciół, żeby się przekonać, jak reagują. Obserwowałam też, jak się to zmienia z upływem tygodni. Bardzo się rozczarowałam - życie szybko wraca do normalnego biegu. Ludzie płaczą trochę publicznie, potem robią to już tylko w samotności, we własnym domu, albo wcale. Dlatego wyjechałam daleko i zaczęłam nowe życie jako Sabine Dexier.

- Jak sobie radziłaś?

- Kradłam różne rzeczy. Włóczyłam się po noclegowniach. Ale dość szybko znalazłam pracę. Jestem zaradna.

- I nigdy nikt cię nie zdemaskował?

- Nie. Jestem ostrożna. Po dwóch latach to nowe życie mnie znużyło. Wtedy postanowiłam powtórzyć numer z samobójstwem. Wysłałam do nowych przyjaciół list pożegnalny, wyjaśniając im, dlaczego odbieram sobie życie, i opracowałam precyzyjny plan: sprowadziłam z Paryża aktorów, żeby udawali pracowników zakładu pogrzebowego. Jeden z nich grał rolę mojego ojca. W ten sposób zmyliłam znajomych. Udało mi się uniknąć pogrzebu - odbyła się tylko krótka ceremonia wysypania prochów do morza w obecności „ojca” i to wystarczyło, żeby wszyscy uwierzyli w moją śmierć. A potem wyjechałam.

- To jednak dość niesamowite, że nikt nie wykrył oszustwa.

- W obliczu śmierci ludzie nie przejawiają nadmiernej ciekawości. Wolą szybko zająć się czym innym. Przez następny rok byłam Armelle Safran. Uśmierciłam ją za nazwisko. Przyznam, że przez moment pławiłam się w pięknie. Bo początkowo Armelle Safran ładnie brzmiało w moich uszach, ale po dziesięciu miesiącach nie mogłam znieść tego imienia i nazwiska. Rzuciłam się pod pociąg.

- Ciekaw jestem, jak sobie z tym poradziłaś.

- Czatowałam przez dwa i pół miesiąca. Przeglądałam lokalne informacje, szukając dość młodej, niezidentyfikowanej zmarłej. I tak to rozwiązałam. Prawdopodobnie była bezdomną, nie udało mi się tego ustalić. Rzuciła się pod pociąg niedaleko miejsca, w którym mieszkałam. Znowu wynajęłam aktora, aby zagrał policjanta, i kazałam mu zadzwonić do mojej koleżanki. Powiedział jej, że osobą, która trzy dni wcześniej zginęła pod pociągiem, była Armelle Safran. Na życzenie rodziny pogrzeb miał się odbyć w gronie najbliższych. Dość już miałam Armelle Safran, nie chciałam przedłużać udreki.

- I stałaś się Ophélie...

- Nie, nie od razu.

- Wydawało mi się, że popełniłaś trzy samobójstwa?

- Oficjalnie tak, masz rację. Ale mówiłam, że trzeba do tego

dorzucić zaginięcie. Bo przed Ophélie była Amandine Naïs. Ta zniknęła pewnego ranka i nikt jej więcej nie widział. Nie można tu mówić o prawdziwym samobójstwie. Rozleniwiłam się, a poza tym brakowało mi pomysłów. To było w zeszłym roku.

- Czyli jesteś Ophélie dopiero od roku.

- Tak.

- Julia zna cię tylko rok?

- Oczywiście. Nigdy nie zachowuję żadnych znajomości z wcześniejszych żyć, dlatego mi się udaje.

- Ale jak to robisz? Nie masz dowodu osobistego, żadnych dokumentów?

- Mam. Najtrudniej znaleźć odpowiednią osobę. To musi być ktoś, kto jest do ciebie podobny. Musisz przetrząsać śmieci upatrzonej osoby, żeby zdobyć dokumenty na jej nazwisko. Wpadłam na pomysł, jak wykorzystać ambasady. Wystarczy przekroczyć granicę, nie dając się skontrolować, a kiedy jesteś już na obcym terytorium, zgłaszasz zaginięcie dokumentów. Krótko mówiąc, kupujesz bilet, na przykład Paryż-Rzym, na nazwisko tej osoby, w kasie wystawiają go, nie pytając o dowód osobisty, a kiedy już dotrzesz do Rzymu, biegniesz prosto do ambasady zgłosić, że skradziono ci paszport. Pokazujesz bilet kolejowy i jakieś papierki - starą fakturę, którą masz w torebce, i ambasada wydaje ci dokument tymczasowy. Podobieństwo fizyczne przydaje się, jeśli ambasada dokonuje weryfikacji, porównując zdjęcie z archiwum z wyglądem zgłaszającego kradzież, a ponieważ fotografie z archiwum na ogół są stare, nie ma z tym problemu, zwłaszcza że znużeni pracą urzędnicy nie przyglądają się zbyt uważnie twarzom. Mając to i skrócony akt urodzenia, który możesz uzyskać przez Internet, idziesz do swojego merostwa, a potem odbierasz nowiutki dowód na nowe nazwisko. Pewnie wydaje ci się to zbyt prymitywne, żeby mogło być prawdziwe, ale jestem chodzącym dowodem na to, że tak to właśnie działa. Teraz znam już całą masę podobnych sztuczek. Odkryłam to, kiedy nazywałam się Amandine. Przedtem szłam na żywioł, ale zmęczyły mnie codzienne problemy.

Brakowało mi słów. Nie wiadomo, co powiedzieć komuś, kto kilkakrotnie odbierał sobie życie - zawsze skutecznie. Człowiek czuje się malutki w starciu z taką osobą. Jakby ledwie żył.

- Wystraszyłaś cię? - zapytała.

- Nie, ale zrobiłaś na mnie duże wrażenie.

- Czym?

- Wydaje mi się, że jesteś bardziej żywa ode mnie. Od większości ludzi. Masz w sobie trzy, cztery razy więcej życia.

- A może trzy albo cztery razy mniej.

Pełna skrzepowania cisza. Trudno dobrać właściwe słowa, kiedy o śmierci rozmawiają osoby mające za sobą samobójstwo - choćby tylko symboliczne.

- Czy to coś między nami zmienia? - spytała.

- Nie sądzę.

- Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam.

- Nigdy wcześniej nie rozmawiałaś z nikim na ten temat?

- Nie. Gdybym nie dochowała tajemnicy, pozbawiłabym się szansy na kolejną przemianę.

- To znaczy, że nie popełnisz już samobójstwa, żeby przeprowadzić się daleko stąd.

- Prawdopodobnie.

Ująłem ją za rękę.

- A Caro? Kim jest? Ten przeznaczony dla niej SMS...

Ophélie kiwała głową, nieco zażenowana.

- Caroline to... zawór bezpieczeństwa. Kiedy mam już dość bycia Ophélie, staję się Caro. Świadkiem samobójstw. To zupełnie inne życie.

Wytrzeszczyłem oczy. Tyle zdumiewających faktów. Nagle przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl.

- Powiedz mi... czy w tamtym zupełnie innym życiu, jak się wyraziłaś, masz kogoś innego, czy jako Caro spotykasz się z innym facetem?

- Jestem mężatką, mam dwoje dzieci.

Miałem wrażenie, że kwas trawi moje trzewia, że doszło do perforacji żołądka. Do rozdarcia klatki piersiowej. I że pęka mi serce.

Widząc moją minę, odgadła, że potwornie cierpię, i szybko wyjaśniła:

- Tak wymyśliłam Caro! Ale to nieprawda! Życie Caro wcale nie istnieje. To tylko rola, w którą się wcielam, kiedy spotykam potencjalnych samobójców. Nie chcę opowiadać o sobie - w każdym razie nie o prawdziwej sobie, więc wymyśliłam moje równoległe życie. Uspokój się, nie ma nikogo poza tobą. To znaczy - w realu.

Wzruszenie ma nadzwyczajną i zbawienną moc. Brzuch, żołądek, zębra, płuca i serce - tych kilka słów zadziało jak balsam, rany się zasklepiły, zagoiły.

Pocałowałem ją. Ciepło, wilgoć, naelektryzowanie, krew, która wrze, oczy, które błyszczą, mrowienie w brzuchu.

A tymczasem z kanału Saint-Martin wyłowiono pana Michauda. Ociekał błotnistą wodą o nieprzyjemnym zapachu, która przypomi-

nała zalatującą torfem whisky, ale bez alkoholu. Breja ściekała mu po spodniach na buty. Pięć pasemek włosów stargało się i splątało. To był niepodważalny dowód, że Michaud nie żył.

Paryscy strażacy, wydobywszy zwłoki szefa personelu, ujrzeli coś niewyobrażalnie absurdałnego, co potwierdzało tezę o chorobie umysłowej biedaka - do jego piersi przywiązany był gołąb. Utopiony na sercu czterdziestolatka.

Klątwa znowu dała o sobie znać.

I uderzała coraz częściej.

21

Tego, że z każdym dniem mój związek z Ophélie się umacniał, byłem pewien. Porozumiewaliśmy się niemal bez słów, nawyki i mimika jednego z nas stawały się pewnym punktem oparcia dla tego drugiego, intonacja głosu przemieniała się w słownik nastroju, który potrafiliśmy odczytać. Czułem, że była bardziej pogodna i otwarta.

Wyznania dotyczące przeszłości samobójczyni recydywistki odmieniły jej postawę w stosunku do mnie. Oswobodziła się.

Coraz częściej sypialiśmy u siebie, a noce były dla nas źródłem szczęścia. Już nie starała się tak bardzo zaskakiwać mnie oryginalnymi pomysłami na wieczorne spotkania, zyskała większą pewność siebie, wiarę w to, że potrafi mnie zadziwić albo zainteresować po prostu tym, jaka jest - ona, a nie *decorum*. Gra stała się zbędna. Poznałem jej silny charakter, determinację we wszystkim, za co się brała, a za okopami pozornej pewności siebie odkryłem ziarenko wątpliwości, wrażliwości i potrzebę miłości.

I dawałem jej to, czego pragnęła. Miłość. Tyle, ile tylko mogłem. Kochałem ją mymi ramionami i czując jej głowę wtuloną w mą szyję, kochałem słowami i oczyma, pożądaniem i każdą cząstką ciała. Byłem miłością.

Czułem, że w zetknięciu z nią zrodził się we mnie płomień i wciąż przybierał na sile, ale tego nie mówiłem. Jeszcze nie. Bo było za wcześnie. Przychodzi czas na to, by powiedzieć komuś „kocham cię”. Ale zakochanym zawsze się wydaje, że zbyt długo trzeba czekać na tę odpowiednią chwilę. Boją się ośmieszyć, zrobić to za szybko, boją się braku wzajemności, boją się zdrady. Dlatego cierpliwie znosiłem udrękę. Miałem pewne zasady.

Nigdy nie mówić „kocham cię” jako pierwszy.

Nigdy nie mówić tego przed upływem trzech miesięcy. To kwestia zasad.

Nigdy nie mówić „kocham cię” jako pierwszy.

Nigdy nie rozwodzić się zbyt długo nad sprawami, które wiążą się z miłością - małżeństwem i dziećmi - dopóki się nie usłyszy „kocham cię”. Te tematy wypaczają uczucia i mogą wzruszać.

Nigdy nie mówić „kocham cię” jako pierwszy.

Doskonale zdają sobie sprawę, że są to sztywne i głupie zasady, ale w sferze uczuć łatwo zbroczyć z wytyczonej ścieżki i popaść w przesadę w okazywaniu emocji, to zaś działa niekiedy jak bumerang. Mężczyźni mają na ogół fatalne wyczucie miłosego kalendarza. Powinni zawsze pozostawiać tę sprawę kobietom. Nie przemawia przeze mnie żaden seksizm, ale realizm: trzeba umieć przyznać się do własnych niedostatków.

Tylko że od ostatniego weekendu narobiłem trochę głupstw. Ophélie musiała w środku nocy biec, by czuć przy potencjalnym samobójcy. To był trzeci taki przypadek w krótkim okresie, więc nawet nie kryłem irytacji.

- Naprawdę musisz tam iść? - zapytałem.

- Tak.

- Naprawdę odbierze sobie życie?

- Nie, to postulat, ale potem sprawa mogłaby się potoczyć bardzo szybko.

- I uważasz, że to ważniejsze niż bycie tu ze mną?

- Próbujesz mnie szantażować?

- Nie.

- Całe szczęście, bo to by było ohydne.

- Dlaczego?

- Ci ludzie mnie potrzebują. A ja ich. To kwestia miłości.

- Miłości?

- Tak. Nie mają jej już dość, żeby żyć.

- A ty?

- Upewniam się, czy naprawdę tak jest. A kiedy stwierdzam, że tak, uspokajam się. Za każdym razem uświadamiam sobie, że mam jej w sobie znacznie więcej, niż przypuszczałam. I mogę zostać. Mogę żyć. *Muszę żyć.*

A im pozwala to odejść w spokoju, bez wahania, bo są naprawdę puści jak wydmuszka i gotowi na śmierć.

- A czy ja nie daję ci jej dość, żebyś została?

- A co, kochasz mnie?

- ...

- Sam widzisz.

- A czy ty mnie kochasz?

- To nie jest odpowiedź na miarę naszej rozmowy. Ale coś ci powiem: dowiesz się, że cię kocham, jeżeli któregoś dnia posypią się na nas płatki róży.

Wtedy zrozumiałem, że nie będzie to takie proste.

Lecz jeśli pewnego dnia z nieba spadłyby płatki róż, otwarłaby się przed nami wspaniała droga. Albo stalibyśmy się dwójką naćpanych *junkies* zmierzających wprost ku przedawkowaniu. Kto bowiem zdoła uwierzyć, że róże spadają z nieba, jeśli nie da sobie porządnie w żyłę?

Tymczasem w zoo Tess, która trochę się uspokoiła, przestała mnie obserwować - szantaż okazał się skuteczny. O dziwo, była dla mnie nawet miła. Ponieważ nie było Michauda, pozwoliła mi zakończyć pisanie codziennych raportów o wydalaniu pand, zapraszała mnie na kawę, a czasami odwiedzała mnie podczas przerwy obiadowej. Rozmawialiśmy oczywiście o samobójstwie szefa i nie było w tym nic zaskakującego. Facet był stuknięty i wreszcie sam zdał sobie z tego sprawę. Powtarzałem sobie, że źle się stało i że gdybym wcześniej dostrzegł jego rozpacz, mógłbym skierować go do Ophélie, żeby mu towarzyszyła. W ten sposób zrobiłbym przyjemność im obojgu. Z pewnością przekonałaby go, żeby nie postąpił tak, jak postąpił, i żeby oszczędził gołębia. Chyba że ten pierzak przejawiałby wolę odejścia wraz ze swym panem. Nie mam pojęcia, czy można uzyskać tak głębokie porozumienie z gołębiem, nawet dobrze wytresowanym. Nikt nigdy nie zadaje fundamentalnego pytania: czy kiedy kapitan piratów idzie na dno ze swoim statkiem, jego papuga potulnie się topi, czy też odlatuje, bo ma tę szansę?

Tak czy inaczej, poznałem Tess dowcipną i miłszą, niż przypuszczałem. Nie była już maniakalnie skupiona na seksualności zwierząt, choć nadal często mówiła na ten temat, ale pełną werwy trzydziestolatką, która zaraża innych energią.

Któregoś dnia, kiedy siedząc przed kangurami, zajadaliśmy przyrządzoną przez nią sałatkę ziemniaczaną, zwróciła na mnie oczy i długo mi się przypatrywała.

- Upaąkałem się ziemniakami, tak? - zapytałem w końcu.
- Nie. Jesteś przystojnym facetem. Nigdy ci tego nie mówiłam.
- ...
- Szczerze. Im dłużej cię znam, tym bardziej wydajesz mi się pociągający. Wiesz, że masz w sobie coś z lwa?
- Nie, nie wiedziałem.
- Powinniśmy się sparzyć.

W tym momencie kangury zaczęły skakać w zwolnionym tempie, niebo gwałtownie pociemniało, a dobiegające z oddali głosy brzmiały jak wycie wichru albo dźwięki, jakie wydaje magnetofon, kiedy taśma wkręca się w mechanizm czytnika. Zamarłem. Po chwili spróbowałem odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ty powiedziałeś mi, że członek lwa

najeżony jest kolcami, które zadają ból lwicy?

- Nawet gdybyś zadał mi ból, nie narzekałabym. Wręcz przeciwnie.

I znowu mój organizm zaczął płaszać w nerwowym tańcu: płuca nie wciągały powietrza, ale o mało nie rozsadziły mi klatki piersiowej, żołądek ścisnął się, także próbując uciec jak najdalej się da - wszystkie organy szukały drogi ewakuacyjnej, nie chcąc zostać tu ani chwili dłużej. Całą tą bandą dowodziło serce, krzycząc „Ratuj się, kto może”. Zacisnąłem zęby i pośladki, modląc się, żeby mój pępek wytrzymał napór narządów wewnętrznych.

Byłem chyba jedynym pechowcem, którego narządy chciały uciekać, kiedy wpadał w panikę.

- Tess, przecież jesteście przyjaciółmi.

Przyznaję, że ta odpowiedź była trochę patetyczna, a trochę komiczna, ale skupiałem się wtedy głównie na zwieraczach.

- Co z tego? To nawet lepiej, unikniemy nieudomówień. Możemy się różnić, kiedy chcemy, bez zobowiązań.

- Jak bonobo?

- Jak zwierzęta, którymi jesteśmy.

- Tess, w moim życiu jest ktoś inny.

- Wierność to koncept filozoficzny. Nie zwracaj sobie tym głowy. Z czysto biologicznego punktu widzenia jest kompletnie bezsensowna.

- Może to koncept, ale drogi mojemu sercu.

- Dlaczego? Co to za problem? Przecież nie powiemy o tym twojej dziewczynie, skoro jest zazdrosna.

- Nie chodzi o zazdrość, ale o zaufanie!

- Zaufanie to najlepsza droga, żeby dać przyprowadzić sobie rogi.

- A ja wierzę w zaufanie. To podstawa wspólnego bytu. Jak twoim zdaniem nasz związek ma przetrwać po dziesięciu, dwudziestu latach, jeśli nie będę szanował mojej partnerki?

- Przecież jej tu nie ma, więc w czym problem?

- I właśnie kiedy jej nie ma, muszę być wobec niej najuczciwszy. Na tym polega związek, a miłość to wszystko, co odczuwamy i co robimy, kiedy nie ma przy nas partnera. Na tym polega zaufanie. I porozumienie. Wiesz, że możesz wierzyć partnerowi.

- Ale po co? Odmawiasz sobie przyjemności, a ona i tak nigdy się o tym nie dowie.

- Możliwe. Ale ja o tym wiem. To w pewien sposób wpłynie na to, co myślę o sobie, o niej, o nas. Poza naszą świadomością będzie psuło relację między nami. Bo wierność i zrozumienie powstają z

drobnych, delikatnych więzi, budowanych przez długi okres. Tylko w ten sposób można żyć we dwoje. Trzeba być szczerym, zwłaszcza wobec siebie.

- Opowiadasz mi teraz sentymentalne brednie, tak?

Już rozchyliłem usta, żeby odplącić jej ostrą repliką, ale jedynym, co przyszło mi do głowy, było powtórzyć:

- Tak, masz rację, to sentymentalne brednie.

Bo tak właśnie jest. Czułostkowy sentymentalizm. Banialuki.

Byłem jak pieprz - pikantny i ostry. Pozwoliłem oblać się gigantyczną warstwą cukru i karmelu. Z dodatkiem nutelli.

Miłość ma w sobie coś niewiarygodnego. Rozbudza w nas czułość, łagodność, wrażliwość. Gdyby się nad tym poważnie zastanowić, jest ohydna w smaku.

Krótko mówiąc, miłość potwornie oglupia. A na tym etapie życia ja byłem królem głupców.

Myślałem o Ophélie, o jej uśmiechu jak z reklamy pasty Colgate, o jasnych puklach włosów. Nie, nie byłem królem głupców, ale ich cesarzem.

Cholera, co z tego! Miłość podbudowuje. Pomaga uwolnić się od większości narcystycznych myśli - przynajmniej chwilowo - i robi niesamowicie dobrze. Mógłbym stać się nieco upierdliwy dla przyjaciół, ale ponieważ to zwykle trwa jakiś czas, a wtedy nie miałem prawdziwych przyjaciół, miłość nie zakłócała mojego normalnego życia. Podsumowując: skapałem się w różu, w puchu i w śmieszności.

Zdecydowany wyruszyć na krucjatę, by bronić mych przekonań, dorzuciłem perfidnie:

- Tess, nie boisz się umrzeć?

- Trochę, jak wszyscy. Strach przed śmiercią albo tym, że nie będzie się już żyć, a na pewno strach przed nieznanym, to nic niezwykłego.

- Boimy się, bo wobec śmierci jesteśmy samotni, wiesz o tym? Zupełnie samotni. Bo w gruncie rzeczy w życiu też jesteśmy samotni. Inny człowiek zawsze pozostaje istotą całkowicie od nas odseparowaną barierą cielesności. Inny człowiek nigdy nie stanie się „nami”. Nigdy. Chyba że wytworzysz prawdziwą więź porozumienia. To wyjątkowa, niezwykle silna więź. Niemal fuzja. Przychodzi czas, że mimo bariery cielesnej wczuwasz się w tego drugiego tak dobrze, że on staje się tobą, a ty nim.

- To się nazywa dopasowanie seksualne.

- Nie, uwierz mi, nie bredzę. To znacznie więcej niż seks. Ale to możliwe. Trzeba tylko czasu. I trzeba być na sto procent. Nie na

dziewięćdziesiąt osiem, ale na sto z tym drugim, być mu wiernym. Nie mówię tylko o wierności seksualnej, lecz także duchowej, mentalnej, o braterstwie dusz. Jeżeli znajdziesz kogoś, komu możesz oddać się do tego stopnia i kto odpląca tym samym, to wiesz, że jest osobą, z którą możesz przeżyć całe życie. Nawet kiedy jest ciężko, nawet kiedy się spieracie i kłócicie. Nawet kiedy partner cię irytuje, bo znasz go na wylot i doskonale wiesz, co w twoich oczach jest jego największą wadą. Jeśli po latach wciąż jesteś przy nim, to najwyraźniej jego najgorsze cechy już cię nie przerażają. Strach nie istnieje. Jest tylko jedność, komórka stojąca twarzą w twarz z resztą świata. Wtedy nie jesteś już sama, mimo barier cielesnych. I to otwiera nowe perspektywy.

- Mówisz o życiu po śmierci? Czyżbyś wierzył w te bzdury?
- Taka miłość do kogoś uskrzydla i uduchawia. Rodzi potrzebę wiary. Jakiegokolwiek. Bo trzeba wierzyć, że to się nagle nie skończy.
- Jesteś wierzący?
- Ani trochę.
- To dlaczego tak mówisz?
- Bo miłość wzbudza we mnie chęć wiary w coś. Nie wiem w co, ale tego mi trzeba na tym etapie życia.

Trochę się zagalopowałem. Najbardziej przytłaczający był fakt, że wcale nie zmyślałem, że w tamtej chwili wierzyłem w każde wypowiedane słowo, bo ogarnęła mnie głupia euforia zakochanego. Rzygałem uczuciami jak cnotliwy kaznodzieja, który wieczorem wraca wreszcie do domu i onanizuje się przy YouPorn... jak każdy inny.

- Widzę, że robisz zakupy w religijnym sklepie samoobsługowym.
- Może...
- Pierre, to bzdury! Nie możesz wierzyć w Boga, odrzucając reguły księgi, która o nim mówi, która go stworzyła! Nie traktuje się Biblii, Koranu czy Tory albo innych ksiąg jak bufetu na wczasach all inclusive, nie zostawia się tego, czego się nie lubi! Religia to nie menu restauracji - albo przyjmujesz całą koncepcję, albo nic. Przypominam ci, że księgi, które wymieniłam, to spisane słowo Boże, odrzucanie ich fragmentów to odrzucenie Boga. Nie może być tak, że każdy człowiek tworzy własną religię, jakby układał klocki z różnych kompletów. Lepiej pobawić się lego! Albo przyznać, że wymyśla się własnego Boga, takiego, jaki spełnia nasze oczekiwania, więc nie istnieje naprawdę, a tylko dodaje nam otuchy.
- Właśnie po to istnieje tyle religii, żeby każdy mógł znaleźć

odpowiedź na nurtujące go pytania.

- To tylko dowodzi, że religia została wymyślona przez ludzi i dla ludzi. Odpowiada ich potrzebom, stosownie do kręgu kulturowego!

- Albo że Bóg się adaptuje.

- Taki prozelityzm u faceta, który jest niewierzący?!

- Nie, po prostu jestem zakochany.

Tess wywróciła oczyma.

- Po szybkim numerku nie byłbyś taki nudny!

- Wyobraź sobie, że stawiam na koncept wzajemnej miłości i na wierność.

- Ale ja mówię o numerku ze mną, zrozum! To by cię tylko wzbogaciło! Trzeba mnożyć doświadczenia! Czy człowiek ma przestać czytać książki pod pretekstem, że trafił już na tę wyjątkową?

- Zamierzasz porównywać seks do literatury?

- To analogia jak każda inna. Wyobraź sobie ubóstwo wewnętrzne człowieka, który przeczytał tylko jedną książkę, bo uznał, że jest zbyt dobra, żeby mogły go zainteresować inne.

- Uważasz wierność za anachronizm?

- Za iluzję. To praktyczna metoda wymyślona po to, żeby zapewnić istnienie miastom, żeby ludzie się cywilizowali, żeby żyli w pewnych wspólnotach i żeby mogła powstać piramida społeczna i instytucje państwowe.

- Ale przecież wierność zdarza się także w świecie zwierząt.

- Rzadko, bardzo rzadko. Jest niemal anegdotyczna. Powiedziałabym nawet, że to anomalia.

- Mnie się podoba. Takie anomalie czynią nas wyjątkowymi. Może zwierzęta, które cechuje wierność, dochowują jej, ponieważ potrzebują wielkiej miłości. A tę potrzebę może zaspokoić jedynie totalna, silna, oparta na zrozumieniu relacja. Związek dwojga.

Tę mowę wygłosił facet, który przez miniony rok zdradził poprzednią dziewczynę z pół tuzinem kobiet. Byłem nieszczęśliwy. Nie spaliśmy już ze sobą. W tych dwóch zdaniach zamyka się wszystko. Nie ma się czym chwalić, ale też nie muszę się wstydzić, to byłaby przesada. Lecz kiedy rozmawiałem z Tess, wierzyłem w każde padające z moich ust słowo. Zrozumienie jako spoiwo rozkwitającego życia we dwoje. A wierność jako baza tego zrozumienia.

- To twoja opinia. Uważam, że twoja wewnętrzna biblioteka świeci pustkami - oświadczyła Tess.

- Za to ty czytasz dziesiątki książek...

- Setki.

- O, nawet setki! W porządku. W takim razie ty czytasz setki książek, przyglądasz się tym dziełom, podczas gdy ja i moja ukochana każdego dnia zapisujemy karty dziewiczej księgi. To nie to samo. Mylisz to, co zamarło, z tym, co jest żywe i co możesz budować, tworzyć, przeżywać. Kiedy czytasz, ty i tylko ty kierujesz się ku temu, co zostało już zdefiniowane, jest niezmiennie, podczas gdy pisanie, szczególnie we dwoje, to wspólnota, nieznanne, to działanie i rozwój. Idziesz w stronę muru, a ja mówię o wędrówce w stronę horyzontu, który kończy się tam, gdzie sięga twój wzrok.

Tess wzruszyła ramionami. Nie przekonałem jej do końca, chociaż wiem, że ten ostatni argument poruszył czułą strunę.

- Ja - powiedziała - proponowałam ci tylko, żebyśmy się ze sobą przespalili. Raz. I nic więcej.

Nazajutrz wysłała mi SMS-a.

Wczoraj było dobrze. Dziękuję za tę chwilę.

Najwyraźniej zasiałem w jej głowie zdrowe myśli. Może po prostu miłość dobrze wpływa na otoczenie - rozpryskuje się i podlewa czasem słodkie intencje. Sam zacząłem nawet wierzyć w pozytywne ideały...

Trzy dni potem, może zbyt niespodziewanie wszedłszy do sekretariatu, zaskoczyłem Hugona, kiedy rznął Tess na stercie kalendarzy ze zdjęciami z zoo na nowy rok. Stała oparta o biurko, z nosem tuż nad fotografią śmiejącej się małpy, a Hugo był za nią. Czoło miał zroszone potem, policzki czerwone. Ciężko dyszał.

- O, przepraszam - powiedziałem. - Miłej lektury, Tess.

Wyszedłem. Panienska wzbogacała bibliotekę.

Wracając do domu, nie mogłem uwolnić się od tego nieco poniżającego widoku kolegów z pracy. I o dziwo, nasunęło mi się skojarzenie, na jakie stać chyba tylko udręczonych mężczyzn: wyobrażałem sobie, że Ophélie przeżyła już coś w tym rodzaju, zanim mnie poznała, że pieprzyła się w pracy, na własnym biurku, i aż mnie skręcało. Dowiedziałem się, że jestem zazdrosny. Zazdrosny o jej przeszłość. Nigdy nie pytałem o jej życie miłosne i seksualne przede mną. Za bardzo się bałem. Bałem się cierpienia: Bałem się mnogości. Kiedy partner dzielił już swe ciało z wieloma innymi, ma w sobie bardzo nieprzyjemną stronę „używanego przez wszystkich”. Nie czujesz się uprzywilejowany, nie masz odrobiny wyłączności, niczego już nie odkryjesz. Przemierzasz tylko wcześniej przekopaną ziemię.

Szedłem po ulicy z wrażeniem, że gapią się na mnie wszyscy fa-

ceci.

Byłem ostatni na liście.

Dla mężczyzny to dość brutalne doznanie. Tkwią w nas resztki pradawnej zaborczości, przywiązania do terytorium, którego każdy z nas musi bronić jako samiec. Tak tworzyliśmy nasze plemię. A *posiadać* ją, uczynić swoją, staje się o wiele trudniejsze, kiedy mamy świadomość, że przed nami zrobiło to już wielu. To nie tylko trudniejsze, ale mniej uprawnione, mniej oczywiste. Dziwna, bardzo zwierzęca mentalność. Sądząc z rozmów w gronie facetów, jest jednak typowa dla większości z nich. Dlatego nie możemy przebywać w jednym pomieszczeniu z byłym chłopakiem swojej dziewczyny. To wyzwanie dla naszej męskości. Przypomina sytuację, kiedy kobieta przychodzi na ważne przyjęcie i przekonuje się, że jej największa rywalka ma na sobie identyczną suknię, a co gorsza - może lepiej w niej wygląda. Nie do zniesienia.

Wrzałem.

Zmieniłem kierunek.

A kiedy Ophélie otworzyła mi drzwi swojego mieszkania, zamiast dzień dobry, powiedziałem:

- Ilu ich było przede mną?

Wielkie niebieskie oczy patrzyły na mnie z niedowierzaniem.

- Słucham?

- Wiem, że to chamstwo, ale chcę wiedzieć.

- Po co?

- Muszę wiedzieć.

- Ale dlaczego?

- Bo jestem zazdrosny.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

O cholera!

20

Przyznać to w taki sposób, równało się druzgocącej klęsce moich zasad, przekonań i samokontroli. Jednym słowem, klęsce mojej męskości.

Ophélie zmierzyła mnie od stóp do głów. Długo stała, nic nie mówiąc.

Coś, co wyglądało na lekkie rozczarowanie, roztopiło się we łzie rozczulenia. Wzięła mnie za rękę i wciągnęła do pracowni. Pracowała właśnie nad zapachami, którymi skrapiała syntetyczne bukiety, bo w powietrzu unosiły się jeszcze kwiatowe i drzewne aromaty.

Stanęła pośrodku i znów na mnie spojrzała, nie puszcżając mojej ręki.

- Kochasz mnie taką, jaka jestem?

Za późno, żeby się wycofać. Lepiej ocalić resztki godności i powiedzieć szczerze:

- Tak. Właśnie taką. Bezgranicznie.

Wydawało mi się, że czuję ciepły karmel, że słyszę, jak topi się na nim bita śmietana. Ziarnko pikanterii zniknęło pod toną słodkości. Ckliwy to moje drugie imię.

- W takim razie nie ma znaczenia, że przed tobą byli inni, bo przyczynili się do zrobienia ze mnie osoby, jaką teraz jestem.

Taaak. Jako samiec nie poczułem się uspokojony. Miałem ochotę odpowiedzieć, że to wcale nie zmienia faktu, że i w moich, i w cudzych oczach pozostaję tylko kolejną twarzą na końcu długiej galerii portretów. Potencjalnie w jej życiu było tylu byłych, że to mnie dewaluowało. Przede mną posiadł ją cały Paryż, więc bycie jej facetem nie jest wielkim wyróżnieniem. A to najbardziej boli każdego samca. Ale jako kobieta oczekiwała czegoś zupełnie innego, więc łagodnie pokiwałem głową. A przede wszystkim zrozumiałem.

Zrozumiałem, że moja zazdrość przypisała jej przeszłość, o której tak naprawdę nic nie wiem. Sam robiłem sobie krzywdę. To wszystko najprawdopodobniej nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Może jestem piątym albo szóstym facetem w jej życiu, ale liczy się tylko, że to ja sprawię, że nie będzie następnych. I mniejsza o tych poprzed-

nich.

Inni. Mimo wszystko denerwuje mnie ta liczba mnoga.

Do ilu uznaje się, że to jeszcze do przyjęcia? Czy powyżej dziesięciu to za dużo? Powiedziałbym, że to zależy od wieku...

Nie wiedziałem, czy ona myśli tak jak ja. Przecież kobiety nie muszą zdobywać i posiadać terytorium, one powinny dbać, aby było zdatne do życia. Upewniać się, czy męski ugór jest już zdatny, by na nim budować. Przyznaję, że to też nie jest łatwe, zwłaszcza jeśli teren był już uzdatniany na różne sposoby i zgodnie z planami poprzedników. Czasami trzeba zaczynać od zera, licząc się z ryzykiem, że jeśli będzie się kopało zbyt głęboko, natrafi się na kanalizację zainstalowaną przez jedną z byłych.

Psychoanalityk powtarzał mi, że jestem zazdrosny, ponieważ brakuje mi wiary w siebie, a bez niej trudno uwierzyć, że można kochać totalnie, w pełni, wyłącznie. Miałem ochotę powiedzieć, że właśnie w to wierzę. Jestem porządnym facetem. Może nie najlepszym, ale jednak dobrym.

Lecz związek tworzą dwie osoby i nie wszystko zależy od mojej woli. Jej popędy, myśli, potrzeby, szaleństwa, perwersje. Wszystko, co może jego albo ją doprowadzić pewnego dnia do przekroczenia z nim albo z nią granicy. Na godzinę albo na całe życie. Do zdrady, do zburzenia od wewnątrz. Do zasiania ziarna, które zatruje cały ogród.

Ta wspaniała mowa, którą wygłosiłem w południe przed Tess, także była zatruta jadem zazdrości. To straszne, czasem wręcz odrażające uczucie. Chciałbym je wyciszyć, odciąć się od niego. Ale wiem też, że w zrównoważonym świecie pozostaje ono nierozzerwalnie związane z namiętnością. Jeżeli odetnę się od zazdrości, to odetnę się od cząstki mojej miłości. Jeżeli wypłuję karmel, to zrzucę bitą śmietaną i nutellę, a dodam ostrych przypraw, dodam pikanterii.

Pozostaje tylko umiar. Trzeba przesiewać przez sito życzliwości niszczycielskie zrywy, aby chronić związek. Nie atakować, kiedy nie ma to sensu.

Kurwa, kolejny porażający banał! Każdy facet, który się zakochał, przemierza tę samą drogę. Ani szczypty oryginalności. Brak osobowości. Jak komputer po uruchomieniu programu „zakochany, więc zazdrosny, więc w tematyce zaufania”. Stereotyp na stereotypie.

Jestem jak album fotograficzny ludzkości z całą jej monotonią.

Ale wtedy Ophélie zrobiła coś nieoczekiwanego - pociągnęła zwisający z sufitu łańcuszek.

Zgrzyt, tarcie, mechanika, obrót.

Zmiana dekoracji. Świat się rozpadł, ale z wielką elegancją.

Skrawki piękna spadły z nieba.

Okruszki ciała świata.

Zmrużyłem powieki. Jedwab pieścił moje policzki.

Ophélie patrzyła na mnie, jej usta rozchyliły się z radości.

Przytuliliśmy się do siebie.

Spadł deszcz czerwonych płatków róż.

Kochała mnie.

19

- *Ona* cię zniszczy.

Głos mojego psychoterapeuty torował sobie drogę aż do kory pierwotnej i przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Skóra krokodyla lepiej oddawałaby stan rzeczy, zwłaszcza że pod wpływem wielkiego guru mojej podświadomości aktywizują się obszary gadzie. Gęsia skórka brzmi sympatycznie, ale pokryć się skórą krokodyla, to już przerażające. A on taki właśnie jest.

Ten facet miał dar dzwonienia, kiedy byłem najmniej czujny i odbierałem, nie sprawdzając, kto dzwoni, albo przyjmując połączenie z numerem nieznanym.

Ciągnął:

- Zakochasz się, bo jest piękna, inteligentna, wie, jak do ciebie przemówić. Dziś potrafi uciszyć twoją zazdrość, ale z czasem przestanie to robić, będzie coraz bardziej znudzona twoimi lękami, a może nawet zacznie tobą manipulować, żeby zdobyć dominującą pozycję w związku i niepodzielnie w nim rządzić.

- Nie jest perwersyjną manipulantką.

- Za słabo ją znasz, żeby tak twierdzić.

- Czuję to.

- Zaślepiiony miłością? Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że wróżysz z ręki.

- Nie mam ochoty z panem rozmawiać.

- Wykorzysta twoje słabości przeciwko tobie. A wiesz, jak to się skończy?

- Zapomniał pan? Już panu nie płacę za te zatrute jademy rady.

- W końcu pozbawi cię wszystkiego: poczucia godności i własnej wartości, chęci życia, energii, nadziei. To wampir.

- Pieprzy pan.

- A wiesz, co otwiera klucz, który ci dała? Twoją własną puszkę Pandory. To klucz do twoich demonów, Pierre. Do twoich demonów.

- Ma pan rację. Jeden właśnie się do mnie zbliża, zaraz zabierze mi telefon i przerwie to połączenie.

Rozłączyłem się.

Byłem zdenerwowany. Ten facet wpędzał mnie w stres. Już sam fakt jego istnienia stał się dla mnie źródłem lęku. Wcale się z nim nie widywałem, a jednak wiedział o mnie prawie wszystko, jakby był tuż obok. Odnosiłem wrażenie, że zna Ophélie lepiej niż ja, jak jedną z pacjentek. Czy psycholog może tak postępować? Wtrącać się w kontakty swoich pacjentów? Oczywiście, że nie. Ale mój był wyjątkowy.

Próbowałem się uspokoić, wypijając pół litra coli, ale to nic nie dało. Pozwoliłem sobie na długą, bezowocną partyjkę telefonicznych łowów, która tylko wzbogaciła moją listę numerów nieprzypisanych. W takich chwilach miałem wrażenie, że czas przecieka mi przez palce.

Czułem się zmęczony, niekiedy wręcz tak, jakby świat mi uciekł albo jakbym to ja uciekł przed światem. Zdarzało się nawet, że budziłem się z odrętwienia jak po długim okresie blekautu... To mnie uspokajało.

Po południu Ophélie wpadła po mnie i wybraliśmy się na spacer po bulwarach. Szliśmy, trzymając się za ręce i wciskając brody w szaliki, żeby wytrwać na lutowym chłodzie. Wzajemnie poznawaliśmy swoje charaktery. Prowadziliśmy rozmowy wymagające wysokiego poziomu koncentracji, ponieważ Ophélie miała trzy czy cztery życia, a ja szybko się zorientowałem, że nie lubi mówić o tych poprzednich, podobnie jak ja unikałem opowiadania o egzystencji sprzed depresji. Tylko że potem nie byłem już nikim szczególnym. Trudno mówić o sobie godzinami, kiedy jest się noworodkiem.

Dlatego porównywaliśmy nasze gusty. Przed galeriami sztuki, pod fasadami domów, oglądając wystawy. Puszczaliśmy wodze fantazji, tworząc historie chmur i wymyślając rozmowy ptaków (gołębie zawsze musiały mieć zabawny akcent, kiedy je naśladowaliśmy - dziwna jest ta obsesja na punkcie gołębi, z których robimy podptaki...), odgadywaliśmy, jak żyją spotykani po drodze przechodnie. Kiedy nie wiedzieliśmy nic o patronie ulicy, Ophélie proponowała dla niego tożsamość, a ja snułem domysły, układając mu życiorys. Tak włóczyliśmy się po różnych dzielnicach, pisząc na nowo historię stolicy. Nasz Paryż był kolorowy, pełen ekscentryków, tajemnic, romansów, przyprószony pyłkiem magii, doprawiony pikanterią spisków, i miał historię utkaną z anachronizmów. Słowem, podczas tych wędrówek rodziła się pasjonująca kronika miasta.

Późnym popołudniem, kiedy rozgrzaliśmy się przy filizance czekolady i porcji ciepłej tarty z jabłkami, jak zwykle niesforna Ophélie zaciągnęła mnie do toalety w herbaciarni i namiętnie pocałowała, jakby jej serce krzyczało, że chce obudzić moją męskość.

Wzięłam ją brutalnie, pod ścianą. Nasze pachnące czekoladą oddechy mieszały się w tym pospiesznym spółkowaniu, spocone łędwie przeżyły się, gdy chwyciłem ją za włosy i obróciłem, by zaspokoić gwałtowną żądzę. Nagle oparła rękę o drzwi i zacisnęła palce, powstrzymując jęk i pobudzając moje podniecenie.

Zachęcała mnie, żebym robił to mocniej, ostrzej. Żebym dał z siebie wszystko, wziął ją całą, wbił się w nią. Chwyła mnie w łędźwiach, chciała jeszcze więcej. Chciała, żebym się w nią wtopił.

Szczytowałem długo, mocno, wyrzucałem z siebie potężne strumienie, jakby moja sperma musiała dotrzeć do jej serca, by powiedzieć, jak ją kocham. I żeby ona to zrozumiała. Żebym fizycznie wpisał to w jej krew.

To był jeden z tych cudownych dni kochanków, taki, który niesie szczęśliwy, ale niespokojny sen i obawę, że pewnego dnia to musi się skończyć. Bo nasze szczęście było stale warunkowe, unosiło się nad nim widmo rozczarowania, utraty i cierpienia. Mogliśmy być szczęśliwi tylko w obłoku niepewności.

Nauczyłem się jej w życiu codziennym. Okazało się, że telefon kolekcjonerki samobójstw dzwoni rzadziej, niż się obawiałem. Czasami musiała wychodzić na cały dzień albo wieczór, czasem wiedziałem, że spędza noc przy łóżku kandydata do śmierci. Radziłem sobie z tym. Zacząłem się przyzwyczajać. Zdałem sobie sprawę, że muszę się nią dzielić, tłumaczyłem sobie, że jest z ludźmi, którzy wkrótce umrą. Trudno w takiej sytuacji okazywać zazdrość, to zbyt egoistyczne.

Przyznaję jednak, że niekiedy mi to trochę ciążyło. Wtedy zadawałem jej mnóstwo pytań dotyczących śmierci. Czy widziała, jak odchodzą? Czy wyczuwała coś, jakąś duszę, która opuszcza cielesną powłokę? Czy zdarzało jej się bać?

Powiedziała mi tylko, że nie można się mylić, kiedy ktoś już nie żyje - jego mięśnie są zupełnie zwiotczałe, to widać także po twarzy, nie można myśleć, że śpi - natychmiast wiadomo, że umarł. Życie utkane jest z wątpliwości, ale śmierć to pewność.

Ja też opowiadałem jej o swoim życiu - o zoo, o kolegach. Mówiłem o wszystkim - o Hugonie, który dojrzewał jako superpodlec, o nimfomance Tess, o pandach, o kółku teatralnym, które Julia porzuciła... I na tym musiałem poprzestać, bo moje życie sprowadzało się do kilku punktów.

Aż do tego poniedziałkowego ranka, kiedy przyszedłem do pracy tuż przed ósmą, tryskając humorem po rozkosznym weekendzie w łóżku.

W sali personelu powitało mnie dwóch niezbyt miłych ludzi. Zapytali mnie o tożsamość, a kiedy odpowiedziałem, także się przedstawili.

- Brygada kryminalna. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

- To znaczy, że to nie było samobójstwo?

Popatrzyli na siebie zdumieni.

- Samobójstwo?

- Michaud i jego gołąb.

- Szef personelu, ten facet, o którym nam mówiono - domyślił się jeden z policjantów.

Drugi pokiwał głową. A ja skojarzyłem:

- Chwileczkę, doszło tu do zabójstwa? Nie chodzi o Michauda?

- O Tatianę Teskowitz.

Pokręciłem głową, nie rozumiejąc.

- Tess - wyjaśnił gliniarz. - Używała takiego imienia.

- Tess? - powtórzyłem w osłupieniu. - Ona... ona nie żyje?

- Tak.

- Ale... jest pan pewien?

- Tak.

- To znaczy... że ona... umarła taką *prawdziwą* śmiercią?

Cóż, od pewnego czasu ocierałem się o różnego rodzaju śmierć, także nieostateczną.

Policjanci patrzyli na mnie jak dwa tygrysy na małą gazelę, która potulnie wchodzi do klatki i spokojnie przebiega im przed nosem, nie obawiając się o swoje życie. Zdumiałem ich.

- A słyszał pan, żeby ktoś umarł nieprawdziwą śmiercią? - zapytał w końcu wyższy z policjantów.

- Zdarzają się różne niuanse.

- Będzie pan musiał nam to wyjaśnić. Tę różnicę między trochę trupem, półtrupem i prawdziwym trupem.

- Przedstawię panom moją przyjaciółkę.

Uświadomiłem sobie, że mówiąc w ten sposób, wychodzę na nekrofila.

Rozmawiałem z nimi bez emocji, jeszcze zaszokowany wiadomością.

- Dobrze pan znał Tess?

- Była moją dobrą koleżanką - powiedziałem beznamiętnie. - Jak umarła?

- Nie sama z siebie.

- To nie było samobójstwo?

- Chyba że potrafiła potężnie walnąć się łopata w głowę, potem odłożyć tę łopatę na miejsce i wrócić do domu, żeby umrzeć.

- Łopata?

- To dla pana jakiś problem?

Zaschło mi w ustach.

- Zatrzymaliście sprawcę?

- Pracujemy nad tym.

- Podejrzewacie kogoś?

- Parę osób.

- Gdzie są?

- Właśnie ich przesłuchujemy.

- I... Właśnie przesłuchujecie?! Jestem podejrzany?

- To zależy. Co pan robił wczoraj wieczorem?

- Byłem z przyjaciółką.

- Tą, która jest trochę albo na pół martwa?

- Jest całkiem żywa.

- Przez cały wieczór?

- Tak... Właściwie nie.

- Co: nie? Nie jest już całkiem żywa?

- Nie. Spędziłem z nią prawie *cały* wieczór.

- Jak się nazywa?

- Ophélie Elseneur.

- Adres?

Podaliśmy im adres i numer telefonu komórkowego, żeby mogli sprawdzić moje zeznania. Wyższy dopytywał:

- Był pan z nią *prawie* cały wieczór. A dokładniej?

- Musiała wyjść.

- Na długo?

- Nie było jej od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej.

- A pan był przez cały ten czas sam?

- No tak.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Czyli blisko znał pan Tess?

- Wydaje mi się, że nie w tym znaczeniu, które ma pan na myśli.

- Nigdy pan z nią nie spał?

Drugi policjant szybko dodał, jakby świerzbził go język:

- Bo według pańskich kolegów była dość... otwarta.

- Powiedzmy, że wolała bibliotekę wypełnioną po brzegi zbieraniną książek od niewielkiej półki z dziełami. Była kolekcjonerką.

- A to znaczy, że spał pan z nią, czy nie?

- Nie.

- Powiedział to pan jakby z żalem.
- Stwierdziłem oczywisty fakt.
- Bo uważa się pan za arcydzieło?
- Nie... ale za dobrą książkę. Mam nadzieję.
- Poinformowaliśmy pana, że zamordowano pańską koleżankę.

Chyba to panem nie wstrząsnęło?

- Jestem introwertykiem.
- Żadnych emocji?
- Przeciwnie, to dla mnie cios. Oczywiście, nie taki jak dla niej...
- To wszystko?
- A czego się pan spodziewał? Że będę się tarzał po ziemi i wył?
- Przynajmniej odrobiny uczucia.

Była moją koleżanką, nie siostrą. Była dziwna, poza tym nie znałem jej od lat! Owszem, czuję się podle, ale nie zamierzam płakać, na pewno nie tu i teraz, przy was. Taki już jestem, trudno doprowadzić mnie do płaczu. Poza tym zbyt silny wstrząs zabija emocje.

- Delikatnie mówiąc.
- Jest pan jej krewnym?
- Po prostu chcielibyśmy zrozumieć...
- Ja też. Przesłuchaliście już wszystkich?
- Nadal to robimy.

Drugi wtrącił:

- Dlaczego pan pyta? Ma pan na myśli kogoś konkretnego?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie, właściwie nie.

Oczywiście, że miałem. Myślałem o Hugonie. O nim i tej jego manii walenia łopatą po łbie, żeby naprowadzić na właściwą drogę. Mimo to milczałem. Superpodlec narodził się na moich oczach, a ja nie kiwnąłem palcem, żeby mu przeszkodzić? Czy jestem odpowiedzialny za śmierć Tess? Stałem się współnikiem poprzez milczenie?

Po Francois Michaudzie i jego gołębiu przyszła kolej na Tess - to trochę za dużo w tak krótkim czasie. Ale oczywiście za mało, żeby mówić o klątwie.

To był tylko dobry początek.

Przez całe przedpołudnie tylko raz widziałem Hugona. Natknąłem się na niego koło dwunastej, przy wejściu do zoo, kiedy rozmawiał z człowiekiem wyglądającym na dziennikarza i rejestrującym wszystko na dyktafonie. Hugo mnie zauważył i wskazał palcem. Skinąłem mu głową. Strzelił flesz. Zostałem uwieczniony z zażenowanym uśmiechem na twarzy i ręką miękko zwisającą w powietrzu.

Głupie, wręcz groteskowe zdjęcie, na którym odsłaniam część

górnjej szczęki, zupełnie jak pies, który ma zatkany nos. Patrząc ponuro i przez to wyglądam na kompletnego durnia. Takie zdjęcia najchętniej od razu się niszczy.

Pech sprawił, że nazajutrz pojawiło się na pierwszej stronie gazety.

18

Teraz już wiem, że kto zbyt długo żyje w śmiesznej szklanej kuli zakochanych, w końcu odcina się od świata.

Dlatego niczego nie zauważyłem. Ani gazety z moim zdjęciem w kioskach, ani nikogo, kogo należałoby ostrzec. Zwłaszcza że to był wolny dzień, taki, który zawiesza bieg realnego życia, bez celu, bez obowiązków - przerwa tylko dla siebie.

Ophélie wpadła po mnie, ale była małomówna, powiedziała tylko, że musimy coś załatwić, i zaprowadziła mnie na most des Arts, tam, gdzie przychodzą setki par, żeby zawiesić kłódkę z wygrawerowanymi inicjałami i w ten sposób uczcić swój związek. Było ich już tyle, że miłość groziła zawaleniem mostu, toteż kraty wymieniono na plexiglas i przejrzystość rozbiła wszystkie pary. Plastik jest fantastyczny - przepaść zamiast więzi szaleńców. Smutne.

Poprzedniego wieczoru próbowałem się do niej dodzwonić, żeby powiedzieć jej o zabójstwie Tess i żeby nie siedzieć samotnie w domu, ale do późnej nocy była przy kimś zajęta. Samobójstwo poronione w ostatniej chwili. Była w złym humorze. Nie znosiła ludzi, którzy zatrzymują się w połowie drogi, którzy nie mają motywacji. Żeby zadać sobie śmierć, trzeba determinacji, powtarzała. To nie jest gra dla niezdecydowanych. Samobójstwo nie jest dla mięczaków. A ponieważ trafiła na kobietę bez charakteru, zmarnowała całą noc. Dlatego rano niewiele mówiła.

W połowie mostu zostało jeszcze kilka metalowych barierek, do których najbardziej niepoprawni mogli przyczepiać kłódki. Ophélie zatrzymała się przy nich, wyjęła z torby dwie kłódki i poprosiła, żebym oparł się o balustradę i zamknął oczy. Zrobiłem to, o nic nie pytając, bo chciałem się dowiedzieć, co tym razem przyszło jej do głowy. Byłem podekscytowany. Dureń. Prawdę mówiąc, uważałem, że głupio byłoby ulegać błogosławionej i ogłupiającej szczęśliwości kolektywnej.

Zanim zdążyłem zareagować, poczułem metalowe bransoletki zaciskające się na moich nadgarstkach. Ophélie cofnęła się, patrząc na mnie.

Byłem przykuty kajdankami do kłódek, przyspawany do mostu.

- Teraz jestem pewna, że się nie wywiniesz.

- ...

- Wytłumaczysz się?

Twarz Ophélie zmieniła się. Pogoda zniknęła, jej miejsce zajęła lodowata wściekłość.

- Oczywiście - powiedziałem.

- W takim razie słucham.

- Ale w jakiej sprawie?

Właśnie w takich chwilach bycie zakochanym staje się niebezpieczne. Kiedy nie ma już żadnej bariery, żadnej warstwy ochronnej, wszystko urasta do groźnych rozmiarów. Każde słowo zamienia się w niszczycielską broń, więc patrzyłem na Ophélie z autentycznym przerażeniem.

- A jak ci się wydaje?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Jeszcze robisz ze mnie idiotkę?

Wyciągnęła z torby pomietą gazetę. W bocznej kolumnie pierwszej strony zobaczyłem swoją głupią gębę z wczoraj, a nad nią chwytliwy tytuł: „Zabójstwo w zoo w Vincennes! Podejrzewany kochanek”.

- Cholera!

- Też tak pomyślałam.

- Nie, chodzi mi o to zdjęcie, jest naprawdę fatalne. Jak ja na nim wyglądałam!

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Chyba nie wierzysz w to, co wypisują w tym brukowcu? Gdybym był kochankiem tej dziewczyny, dowiedziałabyś się o tym jako pierwsza!

- Nie jestem pewna.

- Daj spokój, Ophélie!

Zrozumiałem, że traktowała to znacznie poważniej, niż mi się wydawało. Już dokonała wyboru między zaufaniem do mnie a zaufaniem do prasy. I zrobiło mi się przykro.

- Przestań, chyba nie wierzysz w te bzdury! To zwyczajne brednie. Powiedziałem ci wszystko o Tess, była nimfomanką!

- I to usprawiedliwia fakt, że ją przeleciałeś, tak?!

„Przepraszam, kochanie, bzykałem się z nią, bo była nimfomanką. Musiałem coś zrobić!” Za pięć minut powiesz mi, że chciałeś tylko wyświadczyć jej przysługę? Albo może, że cię zgwałciła.

Za jej szafirowymi oczyma kłębiły się czarne chmury. Bardzo

niepokojący cień. Była naprawdę wściekła. Uświadomiłem to sobie. Nie urządziła mi drobnej sceny, tak trochę dla zabawy, żeby dodać pikanterii naszemu związkowi. Ophélie czuła się głęboko zraniona, uwierzyła w to.

- Skądże znowu - odpowiedziałem bardzo poważnie. - Nawet jej nie tknąłem.

Ophélie popatrzyła na gazetę. Skoro coś zostało napisane, musiało być prawdą. A przynajmniej zawierać ziarnko prawdy...

Podeszła, przytuliła się do mnie i wsunęła rękę do tylnej kieszeni moich dżinsów, żeby wyjąć z niej telefon. Sprawdziła listę połączeń i chyba ucieszyła się, że nie znalazła na niej imienia Tess, potem przeszła do SMS-ów i nagle się wyprężyła.

Podsunięła mi telefon pod nos. Musiałem odchylić głowę do tyłu, żeby zobaczyć wiadomość od Tess.

Wczoraj było dobrze. Dziękuję za tę chwilę.

- A, to - rzuciłem jak głupiec.
- Tak, to.
- Pogadaliśmy sobie o różnych sprawach.
- Pierre, nie kpj z mnie.
- Przysięgam ci, to prawda!
- Która kobieta napisałaby takiego SMS-a po *dyskusji*?
- Właśnie Tess!

Pąsowa ze złości Ophélie gwałtownie pobladła. Kręciła głową, patrząc na mnie tak, jakby rozczarował ją cały świat. Wyciągnęła z kieszeni małe kluczyki i cisnęła je do Sekwany.

- Ophélie, co ty wyprawiasz?! Przestań się wygłupiać! To zwykłe nieporozumienie!

- Masz rację - potwierdziła lodowatym tonem. - My dwoje to wielkie nieporozumienie.

Odwróciła się na pięcie.

- Zostawisz mnie tu? W takim stanie?
- Nie jesteś już moim problemem.

I odeszła.

Nieliczni przechodnie najzwyczajniej mnie ignorowali. W tygodniu o tej porze byli tu prawie sami turyści albo ludzie, którym spieszło się do pracy, więc okazałem się mniej interesujący niż paryskie zabytki albo prędkość, z jaką stopy mogą przemierzać most.

- Ophélie!

Miałem nadzieję, że to tylko głupi żart. Że wróci, że będzie się z tego śmiała.

- Ophélie?

Przyspieszyła i jej sylwetka zamazywała się w dali.

- Ophélie?

Tym razem powiedziałem to ledwie słyszalnym głosem, wydałem z siebie raczej żalosne miauknięcie. Poszła sobie. Zostałem sam, przykuty kajdankami do kłódek na moście des Arts. Byłem przekonany, że w najbliższych dniach znowu pojawię się na pierwszych stronach gazet...

Najbardziej poniżający nie był dla mnie ani śmiech przechodniów, którzy ze mnie drwili, ani rozbawienie strażaków, którzy aż się skręcali, próbując uwolnić mnie za pomocą nożyc do metalu. Nie. Najgorszym ciosem dla mojej dumy był ten dureń fotograf, który nie tracił żadnej okazji i który raz po raz strzelał z aparatu, żeby mieć pewność, że jeśli kiedyś zawiedzie mnie pamięć, to będę mógł przypomnieć sobie tę okropną chwilę dzięki zrobionym przez niego, sprzedanym i wydrukowanym na wieki fotkom.

Wyjaśniłem tylko z policją ten incydent, zapłaciłem za interwencję strażaków i szybko pobiegłem do mojej kwaciarki-kolekcjonerki samobójstw, żeby wytłumaczyć jej wszystko w bardziej przekonujący sposób. Wiedziałem, że to tylko kwestia energii, słów, intencji. Musiałem mówić jej o niej, o mnie, o nas, aż zrozumie, że nie mógłbym jej zdradzić.

Dzwoniłem wiele razy, uporczywie, a w końcu użyłem klucza i wszedłem. Nie było jej. Postanowiłem poczekać. Nie miała innego biura, jej życie zawodowe koncentrowało się tu, w pracowni. W najgorszym razie mogła pójść do klientów. Potem przypomniałem sobie, że wzięła wolny dzień, żeby spędzić go ze mną. W takim razie najprawdopodobniej włączyła się teraz po paryskich ulicach, nieszczęśliwa i wzburzona. Aż ścisnęło mi się serce.

Całymi godzinami siedziałem na kanapie, czekając na nią. Czas mijał, a ja układałem się wygodniej, jak do drzemki. Wieczorem leżałem już jak długi, z brodą wtuloną w ramię. A ona wciąż nie wracała.

Postanowiłem, że nie będę do niej dzwonił. Zależało mi na obecności fizycznej, spotkaniu twarzą w twarz, ale w końcu wybrałem jej numer. Odezwała się poczta głosowa. Obiecałem sobie poprzestać na jednej krótkiej wiadomości. Przez dwie godziny dzwoniłem co parę minut i wciąż trafiałem na pocztę głosową. Powtarzałem sobie, że lepiej nie nagrywać kolejnych wiadomości, bo ta pierwsza jest jasna - nie warto zbytnio się narzucać.

Wieczorem zostawiłem jej dziewiętnaście czy dwadzieścia

wiadomości - straciłem rachubę. Nie wspominam już nawet o SMS-ach. Od pierwszego, dokładnie przemyślanego, wyważonego, po zwyczajny ciąg rozpaczliwych znaków zapytania, którymi wypełniłem trzydzieści dwie linijki.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność, minuty były dwa, trzy razy dłuższe.

Ophélie nie wracała. Gdzie była? Odkąd stała się Ophélie, nie miała zbyt wielu znajomych - najwyżej dwadzieścioro tych, których spotkałem na jej urodzinach. Zwracała na siebie uwagę, szybko nawiązywała kontakty, wypełniała kalendarzyk w ciągu paru dni, ale wszystko to było albo prowizoryczne, albo powierzchowne. Dotąd jej jedyną przyjaciółką była Julia.

Nocowała u Julii.

A ja poszedłem do łóżka z Bezsennością.

Okolo trzeciej nad ranem padłem, wcisnąwszy twarz w poduszkę, a ocknąłem się gwałtownie o siódmej. Wciąż byłem sam.

Zostawiłem wiadomość w zoo - powiedziałem, że jestem chory. Zresztą od śmierci Michauda i tak panowała tam anarchia i nikt nie kontrolował personelu.

Przez cały ranek krążyłem po mieszkaniu. W południe żołądek donośnie przypomniiał mi o sobie, jednak nie miałem siły dać mu tego, czego się domagał.

Kolejna noc oczekiwania. Jej skrzynka była przepelniona, nie mogłem już nawet mówić w tę pustkę, która nas rozdzieliła.

Pięć dni bez wiadomości. Dręczyłem Julię, dopóki mi nie odpowiedziała. Jej SMS był jednoznaczny:

Nie mam kontaktu z Ophélie, odkąd z nią jesteś, i nie chcę już o niej słyszeć. Radź sobie sam. Cieszę się, że między Wami się popsulo. Cierp, lajdaku.

Zacząłem się bać. Wpadłem w panikę. W przerażenie. Czy mogę iść na policję, żeby zgłosić zaginięcie dziewczyny, która była już uznana za zaginioną, a nawet kilkakrotnie za zmarłą? Gdybym zdradził tajemnicę Ophélie, nigdy by mi tego nie darowała. Nigdy. Więc czekałem.

Znalazłem jej notes, przejrzałem numery klientów, dzwoniłem do nich, żeby zapytać, czy się z nią widzieli. Dowiedziałem się, że nie zrealizowała żadnego nowego zamówienia. Regularnie chodziłem do swojego mieszkania, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła dla mnie jakiejś wiadomości, i sam na wszelki wypadek przykleiłem liściki do niej do skrzynki na listy i do drzwi.

Weekend mijał, a ona nie dawała znaku życia.

Uświadomiłem to sobie w niedzielny wieczór.

Straciłem ją.

Ophélie znowu umarła. Tego wieczoru, patrząc przez okno w mrok, pomyślałem sobie, że jakaś Caroline, Dianę, Magalie albo Stéphanie także patrzy w ciemność, myśli o mnie, łajdaku, który ją zdradził, i powtarza sobie, że lepiej będzie rzucić wszystko i zacząć od zera. Taka właśnie była Ophélie. Skora do przesady w życiu, prawdopodobnie dlatego, że doświadczona w śmierci.

To bolało. Wiedziałem, że ona już nie wróci. Nigdy.

Już nigdy jej nie zobaczę. Nigdy.

Nie ma jej. Kochałem ją.

Ale w poniedziałek rano, po pierwszej nocy, którą spędziłem we własnym mieszkaniu, o siódmej obudziło mnie walenie w drzwi. Od tego huku aż rozboleło mnie serce.

Nadzieja umiera ostatnia. Najpiękniejsze są te historie, które niosą niespodzianki.

Szeroko otworzyłem drzwi, nie mając w głowie żadnego gotowego słowa, tylko emocje. Będę improwizował, a ona musi mnie wysłuchać. I zrozumieć, że bardzo się pomyliła. I że wcale jej nie zdradziłem.

Patrzyli na mnie dwaj policjanci z zoo.

- Proszę włożyć spodnie i iść z nami - powiedział pierwszy.
- Teraz?
- Jest pan zatrzymany.
- Teraz?
- Tak.
- Ale... z jakiego powodu?
- A jak pan myśli?
- Tess?
- Pan nam to powie.
- Więc o co chodzi?

Serce tłukło mi się w piersi jak spanikowany ptak. Poczułem taki ból żołądka, jakby bokser okładał go pięściami.

- Nie domyśla się pan?
- Michaud?
- Do tego też chce się pan przyznać?
- Ależ nie, to było samobójstwo.
- Dobra, dosyć tego zgrywania idioty.
- Proszę powiedzieć, o co chodzi, bo zaczynam się bać.

Wpadłem w panikę. Drżałem.

- Znalaziono ją.
- Kogo?
- Niech pan nie udaje niewiniątka. Doskonale pan wie, o kim mówię. Zidentyfikowano ją dzięki telefonowi komórkowemu. To numer, który pan nam podał. Jest pan zatrzymany pod zarzutem popełnienia morderstwa, gnojk.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Całe ciało odmówiło mi posłuszeństwa. W tej chwili nawet własny rozum nie chciał mieć ze mną nic wspólnego i zrejterował.

Oszalałem.

Plakałem, leżąc w progu mieszkania.

17

Chwyciła mnie za gardło. Ugodziła w pierś. Rozdarła duszę.

Pierścień rozpaczy coraz mocniej się zaciskał.

Znaleziono ją w kanale Saint-Martin, z rękami splecionymi na łonie unosiła się na wodzie w zielonej sukience, którą miała na sobie w dniu naszego rozstania, a wokół niej pływały sztuczne kwiaty. Wydawała się pogodna.

Powiedzieli mi o tym dwaj policjanci.

Tak przejmująco płakałem w areszcie, byłem tak zdruzgotany, że z podejrzanego zmieniłem się w kłopotliwy balast. Chwilami traktowano mnie nawet jak ofiarę. Wzbudzałem litość. Mam wrażenie, że wszyscy tam chcieli, żebym przestał, żebym się uspokoił. Ale nie mogłem. Chyba że była to tylko zmiana taktyki, bo skoro presja nic nie dawała, próbowano współczucia, żebym się w końcu przyznał.

Ale ja nic nie zrobiłem. I na tym polegał mój problem. Przez cały tydzień po naszej kłótni tak dalece nic nie robiłem, że nie miałem żadnego alibi.

Wielokrotnie pytałem ich, czy są pewni, że to morderstwo, a nie samobójstwo. Znając ją, musiałem brać pod uwagę taką możliwość, bo przecież Ophélie kolekcjonowała samobójstwa. To byłby dobry koniec, gdyby postanowiła się zabić! Zwłaszcza że sztuczne kwiaty wokół ciała były aż nazbyt symboliczne, żeby nie wziąć ich pod uwagę.

Podobno jednak nie było cienia wątpliwości. Została uduszona. Wyrazny ślad na gardle, złamanie kości gnykowej - słowem, ktoś posłał ją na tamten świat wbrew jej woli. A to na pewno się jej nie podobało.

Policjanci z sympatią klepali mnie po ramieniu.

- A kanał Saint-Martin - zagadnął wyższy - na pewno ci się z czymś kojarzy, prawda?

Nie miałem siły odpowiedzieć.

Drugi, równie zakłopotany faktem, że musi mnie gnębić, dodał:

- To tam odnaleziono Francois Michauda.

Pokiwałem głową. Nie zależało mi na szczerości wobec tych

dwóch.

- Trochę tego za dużo, Pierre.
- Owszem, sporo - potwierdził wyższy.

W końcu odparłem:

- Przyznaję, że to już przesada.
- Będziemy musieli uznać cię za zabójcę całej trójki, zgadzasz się?

Wyglądali na przybitych, jakby zarazili się moją rozpaczą.

- Pytacie mnie o zgodę? - rzuciłem, szlochając.
- Wolelibyśmy działać za obopólną zgodą.
- Tak - przyznał wyższy - ty i my powinniśmy być zgodni. Po co się szamotać?

Miałem wrażenie, że zapłaczą razem ze mną, że padniemy sobie w ramiona w wielkim braterstwie nieszczęśników.

- To znaczy?
- Po prostu oskarżymy cię, bo musimy to zrobić, chociaż wolelibyśmy nie. W ten sposób osiągniemy złoty środek i będziemy mogli zająć się czym innym.

Przez chwilę patrzyłem na nich w osłupieniu. Wreszcie jednak zareagowałem:

- Naprawdę uważacie mnie za takiego durnia?

Wysoki nagle wybuchnął, jakby zbyt długo się hamował. Walnął pięścią w stół.

- Kurwa, jak ty zawracasz dupę! - krzyknął. - Już prawie się dogadaliśmy!

- No nie, wcale się nie dogadaliśmy i czuję się zmuszony to podkreślić.

- A co? - nalegał jeszcze głośniejszy drugi. - Mógłbyś przecież zrobić krok w naszą stronę, skoro okazujemy ci tyle wyrozumiałości!

- Czyli teraz mamy targować się o moją winę?
- Staramy się tylko dojść do porozumienia.
- Odpieprzcie się. Ja tego nie zrobiłem.

Wyższy najchętniej wyrzuciłby mnie przez okno, ale ten drugi stanął mu na drodze i pochylił się nade mną, mówiąc ugodowo:

- Pierre, postaraj się trochę, daj nam coś, cokolwiek, a zostawimy cię w spokoju.

- Chcę ją zobaczyć.
- Dobrze.
- Chcę ją zobaczyć teraz.
- Nie ma sprawy. Powiedz nam tylko, dlaczego i jak ją zabiłeś, a za dwie godziny będziesz przy niej.

- Nie macie żadnych dowodów, bo to nie ja. Nie zabiłem nikogo z tej trójki. Nic nie zrobiłem. Ale chcę ją zobaczyć.

- Coś za coś. Podaj nam jakieś informacje o zbrodni, a my cię do niej zawieziemy.

- Nic wam nie powiem, bo sam nic nie wiem. To nie ja.

- Cała trójka to osoby z twojego otoczenia. Wiemy dziś więcej niż wtedy, kiedy rozmawialiśmy z tobą w zoo. Wiemy, że Francois Michaud chciał cię zwolnić, że sypiałeś z Tess, więc w każdej chwili mogła powiedzieć o tym tej twojej lasce. A o co poszło z Ophélie? Pokłóciliście się i sprawy wymknęły się spod kontroli?

- Nie spałem z Tess.

- Ci troje byli blisko ciebie. Znalazłeś się w centrum trójkąta.

- A jednak to nie ja.

- Więc kto? Kto znał całą trójkę? Komu mogło zależeć na ich śmierci? I kto chciałby cię zrobić?

Punkt dla nich. Nie miałem wokół siebie nikogo.

Ale w przypadku śmierci dwojga pierwszych potrafiłem wskazać prawdopodobnego sprawcę.

- Przesłuchaliście Hugona?

- Szefa ochrony zoo? Tak. Niesamowity typek.

- Ma obsesję na punkcie walenia łopata - powiedziałem. - Z niczym wam się to nie kojarzy?

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Fakt, że gość jest niepokojący.

Było mi trochę wstyd, ale czułem się wyczerpany rozpaczą i zwyczajnie zmęczony, a stawką była moja skóra. Albo on, albo ja, więc wyrzuciłem z siebie wszystko:

- Podłość zdominowała już jego naturę. Może to początek jego kariery. Trzeba go powstrzymać, zanim stanie się nieosiągalny.

Patrzyli na mnie w osłupieniu.

- Ej, czy ty aby dobrze się czujesz? - zapytał jeden z gliniarzy.

Czy czułem się dobrze? Nie wierzyłem własnym uszom. Toteż wybuchnąłem:

- Co z was za durnie! Pytacie mnie, jak się czuję?! Kurwa, co wy sobie wyobrażacie? Jesteście z kamienia? Nie macie oczu? Ani odrobiny empatii? Zdycham tu z rozpacz, pod waszymi nosami, jestem oskarżony o zabójstwa...

- O trzy morderstwa - sprecyzował wyższy.

- Straciłem kobietę mojego życia. Na zawsze. Zostałem sam...

- Kobieta twojego życia... Nie dramatyzuj. Znaliście się dopiero od kilku tygodni.

- Kiedy się kocha, to się kocha. Pewne rzeczy są oczywiste. I nie mówcie mi, do cholery, żebym nie dramatyzował, bo przeżywam dramat! Jestem dramatem! Cholera!

- Dobra, wystarczy, rozumiemy.

- Wcale nie jestem tego pewien. Jestem zdruzgotany. Nie smutny, ale zdru-zgo-ta-ny! Chciałbym zdechnąć. Iść do niej. I nie patrzeć już na wasze gęby. Zrozumcie, że potrzebuję spokoju. Muszę wam udowodnić swoją niewinność. A nie mam nic na swoją obronę, więc muszę wydać kumpla z pracy, bo to prawdziwy świr, a wy pytacie, czy dobrze się czuję?

Patrzyli na mnie, zbici z tropu. Zdezorientowani. Właśnie tacy byli - zwyczajni idioci próbujący mnie usidlić. Oglupieli. Nie wiedzieli już, co o mnie myśleć.

Czekali jeszcze kilka godzin, licząc, że zmięknę, a potem pojawili się znowu, ale mniej agresywni.

- W porządku, możesz wracać do domu.

- Chciałbym ją zobaczyć.

- To nie muzeum. Poddano ją sekcji.

- Co z tego? Chcę ją zobaczyć.

- Zobaczymy, co da się zrobić. Na razie spadaj stąd.

- Jestem wolny?

- Nie opuszczaj miasta, masz być do naszej dyspozycji.

- Nie jestem już podejrzany?

- Jesteś.

Chwyciłem marynarkę. Wysoki gliniarz przytrzymał mnie za rękaw.

- Jedno z dwojga: albo zabiłeś wszystkich troje, ale jesteś mistrzem komediantów, a mnie pozostaje pogratulować ci talentu... Ale wiedz, że tak łatwo ci nie odpuścimy...

Drugi podjął:

- Albo jesteś niewinny, ale w takim razie miej się na baczności, bo ten, który morduje w Paryżu, robi to w twoim kręgu. Jakby miał coś do ciebie.

W milczeniu pokiwałem głową.

To samo pomyślałem sobie, szlochając.

Śmierć deptała mi po piętach.

16

Kiedy zamyka się wokół nas krąg śmierci, najtrudniej jest żyć.

Po prostu normalnie żyć. Jeść, spać, pracować. Codziennosc.

Wcześniej przez ponad trzy miesiące zmagalem się z depresją. Po śmierci Ophélie znów dopadło mnie to świństwo, ale tym razem trwało dwa razy dłużej.

Przez pół roku wypełniałem każdy dzień taczkami pełnymi łajna w Vincennes i czekałem, by każdy z tych dni jak najszybciej minął. Ale ten łotr czas właśnie w takich chwilach zwalnia.

Niekiedy bałem się, że wydając ostatnie tchnienie, zdołam przypomnieć sobie tylko garść krótkich i pięknych chwil zanurzonych w morzu bezkresnej nudy. To byłoby irytujące. Takie rzeczy sprawiają, że człowiek odchodzi z żalem, myśląc, że trzeba mu jeszcze nieco miejsca na ziemi, żeby zdobyć trochę dobrych wspomnień. Nie liczyłem na to. Pragnąłem śmierci, postrzegając ją jako ulgę, potrzebę wytchnienia po zbyt długim okresie życia. Gdyby taka była, odszedłbym z uśmiechem. Obawiałem się, że będę się bał, kiedy po mnie przyjdzie. Często o tym myślałem. To naprawdę przerażające.

Tak czy inaczej, pewnego pięknego ranka dokonał się wielki postęp w śledztwie.

Dwaj policjanci przyszli około ósmej rano, żeby aresztować Hugona. Później dowiedzieliśmy się, że nie dysponowali przeciwko niemu żadnymi dowodami poza zeznaniami jego kolegów - w tym moimi - którzy mówili o nim jako o skrajnym psychopacie. No dobrze, odkryli też, że Hugo spędził osiem lat w zakładzie psychiatrycznym za usiłowanie zabójstwa. Tego nie wiedzieliśmy. Ponieważ jednak policjanci nie mieli żadnego innego tropu, uznali, że lepiej zrobić cokolwiek. Padło na Hugona. Mogło paść na mnie, bo tylko ja znałem wszystkie trzy ofiary i nie miałem alibi na czas popełnienia zbrodni, gliniarze nie dysponowali jednak żadnym dowodem materialnym, a nie mogli powołać się na moją przestępczą przeszłość ani uzasadnić przed sądem nagłego napadu obłądu. W przypadku Hugona natomiast, przy odrobinie starań, mogło się to udać. Pewnie tak myśleli ci dwaj gliniarze, którzy nie mogli już pa-

trzeć na zalegające na ich biurkach akta. Chcieli zamknąć śledztwo, choćby przez wsadzenie do więzienia niewinnego.

Tego ranka Hugo zobaczył ich i natychmiast się domyślił, po co przyszli. Powitał ich szerokim, sztucznym uśmiechem, a kiedy już sądzili, że wyprowadzą go, unikając wrzawy, chwycił łopatę i zatańczył z nią.

Rozległy się trzy dość potężne dźwięki, jakby gong zakończony chlupnięciem, i policjanci padli jak skoszone przez wichurę kwiaty.

Hugo zauważył, że go widziałem. Że widziałem łopatę w jego ręce. I strużkę krwi ściekającą mu po rękawie.

Mrugnął do mnie okiem i uciekł. Biegiem.

Mógłby się zwrócić do kogokolwiek innego - całą scenę widzieli ogrodnik i lekarka weterynarii - ale nie, on puścił oko właśnie do mnie. Tylko do mnie. Czułem się niemal zaszczycony.

O ile mi wiadomo, nikt go więcej nie widział. Z pewnością Hugo zbyt wysoko się cenił, żeby skończyć w więzieniu. Nie pozwoliliby, żeby ktoś go zamknął. Ten facet był czystą definicją wolności, nieokiełznanym, brutalnym popędem.

Tymczasem mnie złożyło wizytę dwóch innych policjantów, nawet podobnych do poprzedników - jeden był wysoki, drugi niski, jeden dość łagodny, drugi agresywny. Zasypywali mnie pytaniami o Hugona, o mnie, o Ophélie i o Tess, ale ledwie napomknęli o Michaudzie. Nawet po śmierci Michaud nikogo nie obchodził. Ale ponieważ niczego nie mogli się dowiedzieć, zostawili mnie w spokoju. Sądzę, że podwójnym zabójstwem o poranku Hugo sygnował trzy wcześniejsze morderstwa, mimo że nie zaliśmy motywów, jakimi się kierował. Potrafiłem sobie wyobrazić, że zabił Michauda i Tess, ale w przypadku Ophélie byłoby to dość skomplikowane. Czy zazdrościł mi szczęścia? Czy śledził mnie wieczorami i obserwował moje życie z nią? Hugo był skomplikowaną osobowością, twardą, należał do tych, którzy nie mieszczą się w granicach normalności i kierują się trudnymi do zrozumienia zasadami.

Właśnie to było niemal tak trudne, jak pogodzenie się ze śmiercią Ophélie: musiałem sobie powiedzieć, że nigdy nie poznam całej prawdy. Prawdy o jej śmierci, o ostatnich chwilach, jej ostatnich myślach ani cierpieniu. I dlaczego właśnie ona? Od miesięcy co rano widywałem Hugona i nigdy krzywo na mnie nie spojrzał. Nigdy nie miałem wobec niego wystarczających podejrzeń, żeby dopaść go w jakimś kącie, kiedy nie trzymał łopaty, i zażądać wyjaśnień. Nic z tych rzeczy.

W tamtym okresie nie mówiłem jeszcze o kłatwie, uważałem, że

po prostu trafiłem na niewłaściwą osobę. Na wariata, który uczynił z mojego życia melodramat.

Trzeba było czegoś więcej, żebym to zrozumiał.

W połowie sierpnia zacząłem się piąć w górę. Dzięki pewnemu człowiekowi w trudnym do określenia wieku. Miałem za sobą pół roku wegetacji. Przez cały ten czas zajmowałem się wyłącznie zapelnianiem notesów bezpieczeństwa numerami. W ciągu sześciu miesięcy zdarzyło mi się zaledwie kilka ciekawych rozmów z nieznanymi. Spirala nudy... Po takich telefonicznych połowach wracałem z niczym, czując jeszcze większą wewnętrzną pustkę, ale zawsze pocieszało mnie, że choć na chwilę uciekłem od świata. Dzięki tym bezowocnym łowom mogłem jednak stworzyć imponującą kolekcję notesów z tysiącami bezpieczeństwa numerów. Taka książka telefoniczna jest naprawdę bardzo przydatna.

Antoine'a spotkałem przed kościołem Saint-Augustin pewnego sierpniowego popołudnia. Tego ranka przechodziłem już w pobliżu, idąc na zabieg do kręgarza, bo od kilku miesięcy cierpiałem na bóle pleców i w końcu wziąłem się w garść, i postanowiłem się leczyć, a kiedy od niego wychodziłem, zauważyłem, że zgubiłem portfel. Przekonany, że stało się to rano, wyruszyłem tą samą trasą, żeby - choć nie robiłem sobie próżnych nadziei - rozejrzeć się w pobliżu ławki, na której przesiedziałem dłuższą chwilę, rozmyślając. Przez tych sześć miesięcy smutku często zdarzało mi się wpadać w zadumę, zatrzymywać się w pół kroku i pograżać we własnych myślach, to jednak wcale nie przynosiło mi ukojenia.

Po portfelu nie było oczywiście ani śladu.

I właśnie wtedy podszedł do mnie niski mężczyzna.

Antoine miał gęsty wieniec siwych włosów, okalający jego łysą czaszkę, kilka starczych przebarwień jako jedyną biżuterię, dwu- czy trzytygodniowy zarost i bardzo jasne, niesamowicie przebiegłe oczy, a raczej dwie szparki gotowe rzucić wszelkiego rodzaju spojrzenia - dwa okienka strzelnicze, których lepiej było się strzec - i małe różowe usta, które wykrzywiały się na wszystkie strony, kiedy myślał.

Na pierwszy rzut oka Antoine nie wzbudzał nieufności. Był standardowym dziadkiem, dobrotliwym marzycielem. Sprawiał wrażenie roztargnionego, zawsze trochę nieobecnego duchem, niezbyt troskliwego.

Ale to była tylko fasada.

Bo Antoine był niebezpiecznym starszym panem. Kiedy chciał, stawał się bardzo żywotny i podstępny. Znalazł sobie najlepszą kryjówkę świata, żeby mieć spokój - schował się za maską starca.

Ale Antoine niczego nie przeoczył. Widział wszystko. I wszystko analizował.

Tego dnia byłem przygnębiony utratą portfela. Osunąłem się na ławkę, a wtedy podszedł do mnie drobnym kroczeniem, bez pośpiechu, z siłą spokoju swego wieku, o ile oczywiście nie cierpiał na artrozę - ze starymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Przystanął przede mną i przez chwilę mi się przyglądał, jakbym wydawał mu się znajomy. Wahał się.

Przez sekundę bałem się nawet, że umrze tuż przede mną albo poprosi mnie o przysługę, a nie miałem najmniejszej ochoty mu pomagać, byłem zmęczony, zdenerwowany, we władaniu przytłaczającej mizantropii.

Pokiwał głową.

- To naprawdę on - powiedział cicho.

Wyjął z kieszeni marynarki coś czarnego, otworzył i porównał mnie z czymś znajdującym się wewnątrz.

Skrecałem sobie szyję i w końcu rozpoznałem portfel z dowodem osobistym w środku. *Mój portfel!*

- Młody człowieku, to należy do pana.

Odzyskałem moją własność, wewnątrz niczego nie brakowało, nawet sześćdziesięciu euro w gotówce.

- Dziękuję! Fantastycznie. Myślałem, że przepadł na dobre.

- Znalazłem go tu koło południa.

- A jednak mam piekielne szczęście! Nie dość, że teraz udało mi się na pana natknąć, to pan mnie zapamiętał!

- Zajrzałem do niego, żeby sprawdzić, czy właściciel nie zapisał gdzieś numeru telefonu, i zobaczyłem pańskie zdjęcie. Dlatego pana poznałem.

- To naprawdę bardzo miłe z pana strony, dziękuję.

Wyjąłem dwadzieścia euro, ale wyciągnął rękę, żeby mnie powstrzymać.

- Niech pan nawet nie próbuje.

- Chciałem panu podziękować za...

- Cieszę się pańską radością i to mi wystarczy. Miłego dnia, mój drogi.

Lekko pochylił głowę na pożegnanie i odwrócił się, jakby przyszedł na maleńki skwerek wyłącznie po to, żeby zwrócić mi moją własność.

Patrzyłem, jak odchodzi kaczkowatym krokiem. Jaka osobliwa postać!

To było silniejsze ode mnie - wstałem z ławki, żeby podążyć śla-

dem tego zabawnego człowieka. Szedł wolno bulwarem Malesherbes, podziwiał haussmannowskie fasady, zerkał na wystawy i nagle zatrzymał się, żeby podnieść coś z chodnika. Wyprostował się, rozjeździł wokół i szybko dogonił starszą panią z pieskiem. O dziwo, biegł za nią lekkim krokiem, z isticie kocia zwinnością, zapominając o wieku, zapominając o artretyzmie, jakby dośnięcie tej babci dodało mu skrzydeł. Najwyraźniej nawet koło dziewięćdziesiątki facet pozostaje facetem, trzeba tylko wiedzieć, jak go zmotywować.

Przeciął jej drogę, żeby musiała się zatrzymać, i pięknie się do niej uśmiechnął. Trzeba przyznać, że Antoine zachował resztki dawnej urody. W młodości pewnie upolował tak na ulicy niejedną dziewczynę!

Podał jej to, co zebrał, a stara wpadła w zachwyt i gorąco mu podziękowała. Ta scena była dla mnie niemal żenująca.

Ale Antoine zachował kamienny spokój. Pożegnał ją i odszedł.

Zawahałem się: kontynuować tę obserwację, czy wrócić do domu i ogłupiać się przed telewizorem. Dalsze podążanie za nim nie uczyniłoby mnie lepszym i niczemu by nie służyło, a poza tym zapewniłem już sobie odpowiednią dawkę lepszego nastroju, a po sześciu miesiącach postu lepiej nie przesadzać, nie obżerać się, bo to może zaszkodzić.

Gdyby epizod z Antoine'em naprawdę tak się skończył, zapomniałbym o nim, tak jak zapomina się o ładnej dziewczynie zauważonej w kawiarnianym ogródku i zagubionej w ciągu zdarzeń zwykłego dnia. Ale Antoine przypomniał o sobie pięć dni później, kiedy z rękami w kieszeniach włożyłem się po Champs Élysées, żeby się trochę przewietrzyć i wsłuchać w wielojęzyczne rozmowy wokół mnie. Uważam, że wspaniale jest zafundować sobie wrażenie, że wyjechało się do innego kraju, po prostu przechadzając się po Champs Élysées, gdzie nikt nie mówi po francusku!

Szedłem wolno, zmagając się z jedyną istotną kwestią egzystencjalną każdego człowieka, który szuka jakiegoś zajęcia na tej przepelnionej arterii - Fnac czy Drugstore? I nagle tłum rozstał się przede mną i wpadłem na niskiego, siwowłosego mężczyznę. Zboczyłem, żeby go nie trącić, i poznałem go dopiero, kiedy mnie zagadnął.

- Proszę, chyba pan to zgubił.

Podał portfel azjatyckiemu turyście, który patrzył na niego jak na gadającą małpę. Po chwili Azjata rozpoznał swoją własność i z uśmiechem na twarzy zaczął się zachwycać i dziękować starej małpie w dziwnym narzeczu, pełnym dźwięków, których nie potrafiłbym

powtórzyć.

Antoine serdecznie poklepał go po ręce i odszedł.

Mogłem pozwolić mu odejść za pierwszym razem, za drugim już nie. Przeciąłem mu drogę.

- Przepraszam pana! Pamięta mnie pan?

Wolno zwrócił na mnie oczy i sceptycznie wykrzywił usta.

- A powinienem?

- Spotkaliśmy się w ubiegłym tygodniu na skwerze Marcela Pagnola. Przypomina pan sobie?

- Prawdę mówiąc... pamięć czasami mnie już zawodzi. Przykro mi...

Lekko skinął mi głową, jakby przepraszał i zamierzał odejść, ale zatrzymałem go.

- Znalazł pan mój portfel! Zapomniał pan? Tak jak przed chwilą!

- A, to drobiazg. Po prostu go upuścił, tuż obok, na moich oczach.

- Przepraszam, wiem, że może się to panu wydać... Mówiąc wprost, chciałbym zaprosić pana na kawę.

Dwa okienka strzelnicze zwężyły się, zwrócone na mnie. Już czułem ostrza strzał wymierzonych prosto we mnie.

- Zaprosić mnie na kawę?

- Tak. Otóż... wydaje mi się pan sympatyczny.

- Nie jestem zbyt rozmowny.

- Dobrze się składa, bo ja też nie.

- Zapowiada się więc pasjonująca konwersacja! Przepraszam, to bardzo uprzejme z pana strony, ale nie mam czasu.

- A może innym razem?

- To byłby naprawdę zdumiewający zbieg okoliczności, gdybyśmy jeszcze się spotkali.

- Chyba że się umówimy...

Nagle poczułem, że go znieważylem. Spiorunował mnie wzrokiem. Już prawie słyszałem odgłos napinanych cięciw. Kusze były gotowe do strzału.

- Jest pan aż tak samotny? - zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

- A pan nie?

- Nie.

- O.

- Powinien pan iść do wyspecjalizowanego ośrodka, rozumie pan, o czym mówię. Znalazłby pan tam setki takich starców jak ja. Byliby szczęśliwi, że mają towarzystwo.

To był szczyt wszystkiego - jakiś staruch proponował mnie, trzydziestolatkowi, żebym wybrał się do domu starców.

- Są zgrzybiali.

- No właśnie. I dlatego będzie im się wydawało, że jest pan ich wnukiem, który w rzeczywistości nigdy do nich nie zagląda. Sprawi im to przyjemność.

- Może dodałoby im to energii i woli życia. Nie chciałbym wywołać takiej katastrofy. Ani dla nich, ani dla naszej planety.

Antoine pokiwał głową.

- Z tym akurat się zgadzam. Trzeba umieć odejść, nie trzymać się uporczywie życia.

- Czyli nie zgadza się pan na tę kawę ani dziś, ani przy innej okazji?

- Nie, nie zgadzam się.

- Trudno. Wydawało mi się, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

- Przykro mi, ale nie mam na to czasu.

- Jak pan chce. Mam na imię Pierre.

- Antoine - odpowiedział, lekko skrepowany.

- Smutno przedstawiać się w chwili pożegnania.

- Ale dzięki temu pożegnanie ma sens.

- Aha.

- Przecież to absurd, żeby żegnali się ze sobą dwaj nieznajomi.

Za to teraz...

- Tak, teraz, z minuty na minutę, nabrało to sensu.

- W takim razie żegnaj, Pierre.

- Żegnaj, Antoine.

I zanurzył się w tłumie z miną człowieka jakby nieobecnego.

Kiedy po godzinie przypadkiem się na niego natknąłem nieco dalej na Champs Élysées, a on znów podawał portfel azjatyckiemu turyście, zrozumiałem, że uprzejmy starszy pan to sprytny kieszonkowiec. Tyle że zwracał swoje łupy, nie zabrawszy z nich niczego.

Ukryłem się za załomem muru tak, żeby nie mógł mnie zauważyć, i przez dłuższy czas obserwowałem jego grę. Przechadzał się, patrzył w niebo, przyglądał się ludziom, przystawał na skraju chodnika, żeby śledzić balet samochodów, a ja w końcu stwierdziłem, że snuje się tu bez określonego celu. Nagle się wyprężył, przyspieszył kroku, przykucnął przy kiosku z prasą. Coś podniósł, przez chwilę trzymał to i oglądał. Zegarek. Obrócił się na pięcie, szybko powiódł wzrokiem po twarzach przechodniów, przeskakując z pary na parę, z grupki na samotnego spacerowicza. Po wnikliwej analizie podbiegł do młodej kobiety, która robiła właśnie zdjęcia. Położył rękę na jej ramieniu i

uniósł trzymany w drugiej zegarek. Kobieta odruchowo dotknęła nadgarstka i po chwili zaskoczenia uśmiechnęła się radośnie. Serdecznie dziękowała znalazcy, ten jednak niemal natychmiast skinął jej głową, przelotnie się uśmiechając, i odszedł.

W tym momencie zorientowałem się, że coś tu jest nie tak.

Starszy pan nie był kieszonkowcem.

On *naprawdę* znajdował zagubione rzeczy.

Co więcej: szukał ich właścicieli.

Zaprzątnięty tym odkryciem, stałem się mniej uważny.

W efekcie to ja go zgubiłem.

Ulotnił się, zniknął w tłumie.

15

Zepchnięty na dno rozpacz, mogłem ją pokonać, to jednak oznaczało, że popadnę w nudę. To nieunikniona sekwencja przeżyć w depresji.

Kiedy człowiek wyrwa się ze stanu głębokiego smutku, popada w długi jak wieczność okres nudy, kiedy kręci się w kółko. Nic mu się już nie podoba. Nic go już nie pociąga. Nic nie jest już tak jak dawniej. Nie chodzi o to, że wciąż wyniszcza go smutek (jak w moim przypadku po śmierci Ophélie: byłem bardzo smutny i to nigdy się nie zmieniło), ale raczej o to, że zmysły tracą ostrość. Smak potrawy, nawet ulubionej, nie jest już tak wyrazisty. Ciało kobiety trzymanej w objęciach nie robi natychmiastowego wrażenia, nie upaja. Miły wieczór przy meczu, piwie i orzeszkach ziemnych staje się deprymujący, nawet jeżeli planuje się po nim najnowszą grę wideo na Playstation. Brak ochoty na cokolwiek. Brak silnych wrażeń. Wszystko jest zniwelowane, i to do bardzo niskiego poziomu.

Właśnie dlatego zaintrygował mnie Antoine. Ten staruszek był nietypowy. On sam i jego czyny. Zaczynałem mieć już dość tej vegetacji przed telewizorem, przeplatanej czasem godzinami telefonicznych łowów - przypadkowego wybierania numerów, kończącego się na ogół wymianą paru słów z pozbawionymi ciekawości, nieuprzejmymi ludźmi - miałem dość zapełniania notesów nieprzypisanymi numerami, a nawet sobie nie wyobrażacie, ile ich jest! Dlatego zainteresowało mnie jego dziwne zachowanie. Stało się moją *idée fixe*, obsesją. Jedynym, co mogło mnie zaciekawić, kiedy wracałem z pracy. Chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej, widywać się z nim, zadawać pytania. Ale i tak miałem już szczęście, kiedy spotkałem go dwa razy w ciągu tygodnia, i wydawało się nieprawdopodobne, żebym wkrótce znowu go zobaczył. Nie miałem pojęcia, kim jest.

W kolejny weekend przemierzałem 8. dzielnicę, wypatrując okolonej siwizną łysiny. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym dziwniejszy wydawał mi się ten starszy pan. Miał w sobie coś, co różniło go od większości. Kryła się w nim jakaś iskra, jakby wiedział o czymś, czego my nie byliśmy świadomi. Prawdę mówiąc, kiedy o

tym myślałem, wydawało mi się, że anioł wszedł w jego skórę, żeby otrzeć się o śmiertelników.

I wtedy przyszło mi do głowy coś naprawdę dziwnego.

Wróciłem w okolice Saint-Augustin i krążyłem tam przez trzy godziny. W jednej kieszeni miałem portfel, w drugiej klucze od mieszkania. Kieszenie były płytke, właśnie dlatego wybrałem tę marynarkę - wszystko mogło się z nich łatwo wysunąć. Spacerowałem bardzo długo, niczego nie sprawdzając - to musiało wyglądać autentycznie. W połowie drogi zrobiłem sobie przerwę, żeby przetestować mój plan.

Zgubiłem klucze. Chowając je w tej kieszeni, musiałem się z tym liczyć.

To był kompletny idiotyzm. Szansa powodzenia wynosiła może jeden do tysiąca. Albo do miliona. No dobrze, niech będzie do miliarda.

Ale to, co dostrzegłem w tym starszym panu, napawało mnie swoją wiarą. Nadzieją. A w moim stanie tego właśnie potrzebowałem. W pewnym sensie on był tym kluczem, który mógł mi pomóc w wyjściu z odrętwienia, w odzyskaniu chęci na cokolwiek.

A jeśli naprawdę to potrafił? Jeżeli ten starzec miał niesamowity dar znajdowania rzeczy zagubionych i oddawania ich właścicielom?

Przez pięć godzin siedziałem przy wejściu do parku Monceau, czekając na niego.

Ostatecznie kosztowało mnie to sto czterdzieści dwa euro, bo tyle zapłaciłem ślusarzowi. I breloczek do kluczy w kształcie trupiej główki - prezent od Ophélie. Ten breloczek był dla mnie bardzo cenny. Tak głęboko wierzyłem, że Antoine odnajdzie zgubę, że nawet nie przyszła mi do głowy możliwość utraty pamiętki.

Co gorsza, kosztowało mnie to także nadzieję, która od kilku dni we mnie rosła.

Znów pogrążyłem się w rozpaczliwej nudzie. Przez trzy dni wracałem z pracy, czując się tak, jakbym ważył dziesięć razy więcej, niż w rzeczywistości ważyłem. Powłóczyłem nogami, pocilem się.

I oto pewnego pięknego wieczoru zobaczyłem go pod moimi drzwiami. Małe zielone oczy wpatrywały się we mnie drwiąco.

Uśmiechnąłem się. To był pierwszy prawdziwy, szczerzy uśmiech od niepamiętnych czasów.

- Znalazł pan moje klucze - powiedziałem z przekonaniem.
- Nie, a zgubił je pan?
- Owszem. Ale skoro nie chodzi o klucze, to co pan tu robi?

Wzruszył ramionami.

- Chciałem się z panem zobaczyć.

- Więc tak po prostu pstryknął pan palcami i pojawił się pod moimi drzwiami?

- Nie, przypomniałem sobie adres z pana dowodu osobistego.

- Aa...

W tym „a” brzmiało rozczarowanie. Jak u dziecka, które nagle odkryło, że magia i nadzwyczajne moce wcale nie istnieją.

- Podczas tamtej rozmowy był pan wzruszający.

- I w końcu znalazł pan czas?

- Czasu się nie znajduje, bo nie jest nigdzie ukryty, można natomiast zdecydować, że wykorzysta się ten, który właśnie płynie, i poświęci się go na coś innego, niż się zamierzało.

- Mogę zaprosić pana na kawę?

- Wołałbym dobre, zimne piwo w barze na zewnątrz. Lubię, kiedy wokół toczy się życie.

- U mnie z pewnością nie przytłoczyłoby pana życie.

Wyszliśmy i minęliśmy kilka domów.

- Początkowo wziąłem pana za kieszonkowca.

Zachichotał.

- Widział mnie pan w akcji?

- Wydaje mi się, że tak.

- I co pan o tym pomyślał?

- Nie wiem. Często się to panu zdarza?

- Trafiać na zgubione rzeczy? Ciągle.

- Jak pan odnajduje ich właścicieli?

- A jak pan sądzi?

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, zauważa pan to, co większości z nas umyka. A kiedy znajduje pan zgubę, błyskawicznie przygląda się pan osobom będącym w pobliżu, postępuje pan trochę jak Sherlock Holmes, posługuje się pan dedukcją...

Antoine skwitował moje słowa uśmiechem.

- Nie, to nie tak.

- W takim razie jak?

- To swoisty dar.

- ...

- Tak, to dar.

- Jakby... nadzwyczajna moc?

- Można to tak nazwać.

- Chwileczkę... Z jaką częstotliwością się to panu zdarza? Jedna czy dwie rzeczy na kwartał? Na miesiąc?

- Jeżeli jestem uważny? Na pewno raz dziennie. A jeśli naprawdę się skupię, częściej.

Moje kręgi „strzelały” jeden po drugim, aż ten dźwięk rozbrzmiał mi w czaszce niczym echo w ogromnej katedrze. Pustka. Trudno mi było myśleć. A zwłaszcza zrozumieć.

- Pan... chce mi powiedzieć, że robi pan to stale?

Antoine pokiwał głową.

- Tak.

- Od... od jak dawna?

- Od zawsze.

- Od urodzenia?

- Nie pamiętam, czy to się zaczęło tak wcześnie, ale na pewno w dzieciństwie.

- To niesamowite.

- Każdy z nas ma jakieś zdolności. Większości ludzi nie udaje się dokładnie ustalić jakie, więc nieliczni uprzywilejowani, którym dane jest to odkryć, powinni starać się jak najlepiej je wykorzystać.

- Występował pan już w programach telewizyjnych?

- W telewizji? Skądże znowu! Po co mi telewizja?

- Ponieważ jeżeli o czymś mówi się w telewizji, to istnieje.

Telewizja tworzy rzeczywistość.

- Naprawdę?

- Tak, ze względu na masowość. Masy oglądają telewizję, a jeżeli masa w coś wierzy, to staje się prawdą.

- Dodatkowy powód, żeby nie występować w telewizji.

- Mógłby pan podzielić się swoim darem! Pokazać go!

- Ale po co?

- Żeby udowodnić, że taka moc istnieje!

- Nie, to utrudniłoby mi zadanie.

- Ale to niesamowite!

- A ty, Pierre, czy wiesz, do czego masz zdolności?

Wkroczyliśmy w sferę intymności. Mówił do mnie per ty.

- Ja? Nie, niezupełnie.

- Z pewnością jest coś, co bardzo dobrze robisz.

Zawahałem się. A potem prawda stała się oczywista.

- Mam talent do depresji. Do tego, żeby nie lubić już życia. Ale nie mam odwagi z tym skończyć. Nie udaje mi się, nawet depresja nie jest dość ostra, żebym chciał się zabić. Prawdopodobnie szaleje we mnie jakiś nieustanny antycyklon, choćby bardzo słaby, który nie dopuszcza do uformowania się zbyt niszczycielskiego frontu burzowego. Niczego nie robię w pełni. Wszystko robię cząstkowo. Jednak naprawdę mam talent do depresji, zwłaszcza od roku.

- Nie sądzę, żeby to mógł być dar.

- Nie, ma pan rację, to bardziej przypomina... klątwę. Cholera. Jestem przeklęty.

Po raz pierwszy nazwałem po imieniu moją biedę.

- Wierzysz, że klątwy naprawdę istnieją?

- Straciłem kobietę, którą kochałem. Została zamordowana. Tak samo jak mój pracodawca i dwoje kolegów z pracy. To znaczy, ten ostatni został uznany za zaginionego. Poprzednie życie tak sobie spieprzyłem, że postanowiłem z niego uciec i zacząć wszystko od nowa, tu, teraz. Dlatego nie mam już rodziny. Ani przyjaciół.

- To poważna sprawa.

- Widzi pan...

- Ale żeby nazywać to klątwą... Klątwę trzeba wypowiedzieć. Jest intencją człowieka wobec człowieka. Klątwa nie spada na nikogo przypadkiem.

- Chce pan powiedzieć, że... że mam wroga?

- To wiąże się z klątwą.

- A czy pan wierzy w klątwy?

- Absolutnie nie.

- To dlaczego pan tak mówi? Podsycy pan lęk!

- Po prostu ci odpowiedziałem.

- Wystraszył mnie pan.

Antoine pchnął mnie do małego, pustego baru. Zamówiliśmy dwa małe piwa.

- Ale masz jakąś dziedzinę, w której jesteś dobry - powtórzył.

- Skąd pan może wiedzieć?

- Tak to jest. Istnieje równowaga. Musisz mieć jakiś talent! Nie zachowuj się jak ci wszyscy, którzy przeżywają życie, nie dowiadując się, co to jest!

- O, stanowią świetny materiał!

- Ale oni tak *naprawdę* nie szukają! Chcesz poszukać?

- Dlaczego nie?

Rzuciłem te słowa bez większego przekonania, a Antoine to wyczuł. Podjął:

- Masz jakąś pasję?

- Nie.

- Żadnego hobby?

- Nie. Właściwie tak.

Opowiedziałem mu o moich telefonicznych połowach i bardzo go tym rozbawiłem.

- Dobry początek! - zawołał.

- To ironia?

- Skądże. To zbyt nietypowe, żeby mogło niczemu nie służyć. Zobaczysz, że prędzej czy później ta gra okaże się pożyteczna.

Skrzywiłem się sceptycznie. Jedynym pożytkiem, jaki dostrzegalem w tej zabawie, był fakt, że czasami zdarzało mi się trafić na nieznaną czy nieznanego, z którymi dobrze się rozmawiało. Były to mile spotkania bez przyszłości, zamknięte tylko w słowach.

- Sam musisz odkryć, jak uczynić to pożytecznym - twierdził z uporem.

Nie miałem na to ochoty. Właśnie bezsensowność tej gry czyniła ją ciekawą. Nie służyła niczemu, do niczego nie zmierzała, nie miała żadnego sensu. Uświadomiłem sobie, że to dobre podsumowanie mojej egzystencji.

Ludzie żyli, żeby budować związek, rodzinę, mieć dzieci, kształcić je, aby tworzyły przyszłość, przedłużać własną dynamikę życia. Niektórzy nawet na co dzień skutecznie służyli ludzkości swoją pracą. Ja niczego takiego nie robiłem. To, czy istniałem, czy nie, niczego nie zmieniało. Nie miało absolutnie żadnego wpływu na nic. Miałem jedynie swój wkład w inercję masy i nic więcej. W sumie jedynym źródłem satysfakcji były dla mnie drobne przyjemności życia. Udany seks. Dobre żarcie. Dobre trunki. Byłem zwierzęciem. Nie istotą cywilizowaną. Albo cywilizującą.

Poczułem, że mój antycyklon nagle cichnie. Depresja brała górę. Gromadziły się czarne chmury.

Antoine opróżnił kufel piwa do dna, stłumił beknienie, otarł usta krawędzią dłoni i obrócił się, żeby spojrzeć mi w twarz.

- Pracujesz jutro?
- Tak.
- A przez kolejne dni?
- Tak.
- Weź urlop.
- Po co?
- Pójdiesz ze mną.
- Słucham?
- Potrzebuję asystenta. Pomożesz mi.
- W szukaniu zagubionych rzeczy?
- I ich właścicieli.
- Ale... po co?
- Co czujesz, kiedy coś tracisz? Zwłaszcza jeśli to coś ważnego?
- Denerwuje mnie to.
- To konsekwencja. A w kategoriach emocjonalnych?
- Smutek?

- Jesteś pewien?
- Pustkę. Czuję pewną pustkę.
- No właśnie. Ponieważ rzeczy są częścią nas samych. Dopełniają nas, czasem definiują. Gubiąc portfel, zapalniczkę, marynarkę czy torbę, tracimy fragment siebie, część tożsamości, pamięci, życia.

- Czyli będziemy wypełniać pustkę?

Antoine patrzył na mnie oczyma, w których czaił się uśmiech.

- Doskonale to ująłeś - powiedział, wskazując palcem moje serce. - Będziemy wypełniali pustkę.

Wyzaczył mi spotkanie nazajutrz rano. Patrzyłem, jak odchodzi, nic już nie mówiąc. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Łajdak poszedł sobie, nie płacąc.

Zgodnie z umową poszedłem nazajutrz na ulicę de Padoue w 17. dzielnicy.

Przez cały wieczór, a właściwie przez całą noc targały mną wątpliwości. Pomysł, żeby wypełnić pustkę innych, wprawił mnie w nieoczekiwane wzburzenie. Czuję się, jakbym przez długie godziny stał nad przepaścią, z palcami stóp w próżni, gotów w każdej chwili runąć w dół - nieodwracalnie pogrążyć się w nicości, lecąc ku potwornej śmierci.

Przekonałem się, jak dużo nauczyła mnie pierwsza depresja - pojawiło się przenikliwe ja, choć może ktoś powiedziałby: bardziej egoistyczne, świadome przelotności bytu, potrzeby odrzucenia zasad, społecznych błahostek, żeby trochę bardziej być sobą. Świadome, że poprawność polityczna usypia czujność, jest jak masowy środek uspokajający dla sfory, ale także gumowy, uniformizujący kombinezon dla jednostek. Wychodząc z depresji, byłem bardzo ostry. Kwaśny, prawie zły, chociaż osobiście wolę mówić o inteligencji indywidualnych korzyści. To, co mnie przynosi korzyść, o ile nie niszczy innych, jest dla mnie pożyteczne, a więc przyjemne. Kiedy się zakochałem, stopniowo wróciłem na prostą ścieżkę, żeby się „skonformizować”, znormalizować, żeby się nie bać, że Ophélie mnie odrzuci. Stałem się bardziej czuły. Oszlifowałem chropowatą osobowość, żeby nie odstręczać Ophélie, żeby zrobić dla niej miejsce. Żeby istnieć społecznie, żeby wzbudzać zaufanie. Po utracie tej, którą kochałem, ponowne pogrążenie się w mroku otwarło mi oczy. Przez kilka tygodni myślałem nawet o tym, żeby przejąć jej działalność na rzecz chętnych do samobójstwa, towarzyszyć im. Nie zdecydowałem się na to, bo pchnąłbym ich wszystkich do skończenia ze sobą. Dla nikogo nie znalazłbym żadnej wymówki. Żadnego powodu, żeby żyć. Nie byłem obiektywnie neutralny jak Ophélie. Wyznawałem pogląd: „Jeżeli chcesz umrzeć, pod żadnym pozorem nie odmawiaj sobie śmierci”. Namalowałbym tak gorzki i pozbawiony retuszu portret życia, że ci, którzy mieli największe wątpliwości, bez wahania przeszliby do czynu. Zrozumiałem to pewnego wieczoru, kiedy podczas

telefonicznego połowu natrafiłem na niezwykle przypadek.

- Nie znamy się? - powtórzył bez cienia emocji w głosie.
- Nie.
- To po co pan do mnie dzwoni?
- Tak sobie.
- Bez powodu? Po prostu na chybił trafił?
- Dokładnie tak.
- ...

Minęło co najmniej pół minuty, zanim jeden z nas zdecydował się podjąć rozmowę.

- Czyli jest pan swoistym znakiem - powiedział w końcu.
- Jakim znakiem?
- Nie wiem. Znakiem od życia. Albo jakiejś innej panującej nad wszechświatem siły.
- Dlaczego miałbym być znakiem?
- Bo zamierzałem właśnie popełnić potworne głupstwo.

Powiedział to jak dzieciak. Pomyślałem o czymś w rodzaju przyłożenia byleż w jakiś smutny wieczór albo o uchłaniu się tak, żeby rankiem zarzygać cały bar. Ale nie. To potworne głupstwo było innej kategorii. POTWORNE, wielkie głupstwo. Ostatnie, z samego szczytu listy.

- Zamierza pan przelecieć żonę najlepszego kumpla? - rzuciłem.
- Nie. Byłem gotów... się zabić.

Powiedział to zupełnie zwyczajnie, jakby przekazywał mi banalną informację.

- Teraz, natychmiast?
- Tak. Gdyby nie ten telefon, już bym to zrobił.
- To znaczy, że...

Wahanie. I on:

- To znaczy, że trzymam komórkę w jednej ręce, a broń służbową w drugiej.

- O cholera.
- Dobrze pan to ujął.
- Czyli to poważna sprawa.
- Raczej tak.
- Broń służbowa policjanta?
- Żandarma.
- Dobrze.
- Co mi pan powie?
- Jak to?
- Żeby mnie powstrzymać.

- A muszę coś mówić?
- No... tak. Byłoby lepiej, prawda?
- W przeciwnym razie zrobi pan to, kiedy skończymy, tak?
- Prawdopodobnie. Byłem mocno zmotywowany. Szykowałem się przez dwie godziny. Trochę mi to pan popsuł.

- Przykro mi.

Naprawdę było mi przykro. Czułem się zakłopotany, bo zrujnowałem jego ostatnią chwilę.

- Co mi pan powie?

- Cóż...

Zastanawiałem się, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Co mogłem mu powiedzieć? Że życie jest piękne? Kłamstwo, życie jest okrutne, bolesne i niesprawiedliwe. Że sama miłość zasługuje, żeby dać jej jeszcze trochę czasu? Bzdura, miłość to tylko frustracja, gorycz i rozczarowanie. Że powinien pomyśleć o wszystkich orgazmach, których już nie przeżyje? I co z tego - kiedy człowiek jest gotów się zabić, to znaczy, że odebrano mu wszystko, co się dało, na czele z popędem seksualnym. Że powinien pomyśleć o wszystkich ludziach, których unieszczęśliwi? Tylko nie to, bo mógłbym go dodatkowo zmotywować.

Nie znalazłem żadnego argumentu, żeby go przekonać do dalszego życia.

A dlaczego ja jeszcze żyłem? Z lenistwa. Z narcyzmu, ponieważ odbierając sobie życie, pozbawiłbym się wszelkiej szansy na cieszenie się z czegokolwiek, choćby tylko raz.

- Nie powinien pan tego robić.

- I tyle?

- Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

- To dość słaba argumentacja.

- ...

- ...

- ...

- Wie pan co? - powiedział. - Nie zrobię tego.

- A... Czyli wcale nie tak trudno było ugasić pański zapal. I sam pan to zrobił.

- Nie, obiektywnie rzecz ujmując, nie mam żadnego powodu, żeby dłużej żyć. Wręcz przeciwnie. Ale pan jest znakiem. Tak myślę. Tak. Przerasta mnie to, a jednak przyjmę ten znak.

- Nareszcie dobra wiadomość.

Powiedziałem to bez cienia radości. Prawdę mówiąc, było mi to kompletnie obojętne.

- Zobaczymy. W każdym razie dziękuję.
- Nie ma za co.
- Żegnam.

Kiedy się rozłączył, zrozumiałem, że każdy choć trochę zdesperowany człowiek, który by się ze mną zetknął, byłby gotów popełnić nieodwracalny czyn. On po prostu jeszcze do tego nie dojrzał.

Taki już byłem. Przez ostatnie półrocze stałem się sobą, tym, który krył się w głębi mojej osobowości - istotą brutalną, prymitywną, egoistyczną w trosce o własne przetrwanie, skupioną na sobie, całkowicie pozbawioną oglądy.

Dlatego tak bardzo przerażała mnie myśl o całym dniu poświęconym na wyświadczenie przysług, z których nic bym nie miał. Po co to? Tyle energii, tyle czasu - w jakim celu? Dla szczęścia innych? Nie byłem matką Teresą. Nie byłem nawet wierzący. Mój Bóg to ja, moja przyjemność. I mój Bóg był umierający. Odkąd się narodził. Pewnego pięknego dnia wykituje i zostanie po nim tylko jego rozkosz, równie ulotna, co błaha.

Mimo to o wpół do dziewiątej rano przyszedłem na ulicę de Pa-doue.

Żandarm w depresji nękał mnie przez całą noc. Ja jako bezcenny znak. „Gdyby nie ten telefon”... - te słowa wciąż odbijały się echem od ścian mojej czaszki. Będzie żył, bo jakiś świr dla zabicia czasu wybiera przypadkowe numery. Przez pierwsze minuty dostrzegałem ironię tej sytuacji. Potem przez krótką chwilę, w półodrętwieniu, które poprzedza sen, wydawało mi się, że dostrzegam w tym wszystkim jakiś sens. Jakby to, co przeżywałem od wielu miesięcy, było tylko gromadzeniem się znaków. Wtedy jednak się obudziłem i cień zrozumienia uleciał. W miarę jak ja przechodziłem do świata jawy, prawda umykała w zapomnienie snów. Następne godziny spędziłem na rozmyślaniach, na próbach pozbierania wrażeń. Usiłowałem zrozumieć. A jeżeli wszystko, co przeżywałem, nie było dziełem przypadku? Zmarli - zbyt wielu zmarłych, osobliwe spotkania, też zbyt liczne, numery wybierane na oślep, w większości nieprzypisane, ja ratujący życie... *przez przypadek?* Coś nieprawdopodobnego, gigantycznego, zaczynało się gdzieś w głębi, a ja o czwartej nad ranem byłem o tym głęboko przekonany. Ale nic z tego nie rozumiałem i o szóstej rano chrapałem, a wcześniejsza oczywistość po prostu się rozviała.

A w niespełna trzy godziny później stałem przed drobnym staruszkiem, który czynił dobro za nic, i pod oczyma miałem wory paskudne jak zad nosorożca.

Antoine podał mi plecak.

- Twój ekwipunek.

Spojrzałem na niego, jakbym patrzył na własnego kota, który nagle zaczął mówić.

- Do tego potrzebny jest jakiś ekwipunek?

- Butelka wody, batoniki zbożowe i inne podobne.

- Naprawdę będziemy zbawiali świat?

- Tak.

Ja byłem sarkastyczny. On bardzo poważny.

Chwilę potem przemierzaliśmy ulice - starszy pan w wieńcu siwych włosów i młody cynik w depresji. Nie minęła nawet godzina, a on zauważył skórzaną torebkę na ławce.

- Nasz pierwszy łup - zawołał z dumą.

Zważył ją w ręce. Zaproponowałem:

- A może zajrzemy do środka?

- Nie trzeba, należy do tamtej kobiety, która idzie z przyjaciółmi.

- Ale tak po prostu, z ciekawości.

Antoine obrzucił mnie karcącym spojrzeniem.

- Podglądactwo?

- Nie, skądże. Tylko ciekawość.

- Pierre, to paskudne.

Wzruszyłem ramionami.

- W końcu i tak wyświadczymy jej wielką przysługę, więc możemy sobie chyba pozwolić na drobną przyjemność i pogrzebać w jej rzeczach.

- Chcesz ją... okraść?

- Nie! Po co od razu takie ciężkie słowa! Chcę tylko zerknąć.

Przejrzeć jej kalendarz, zobaczyć drobiazgi, wyobrazić sobie jej życie!

- Ale... po co?

Antoine wydawał się naprawdę zażenowany, zupełnie nie rozumiał takich lekko spaczonych form przyjemności.

- Nigdy nie czuł pan drobnej radości, patrząc na majteczki sąsiadki suszące się na balkonie? Tylko dla uciechy?

Energicznie pokręcił głową.

- Mam dziewięćdziesiąt dwa lata!

Roześmiałem się.

- Nie widzę w tym nic zabawnego.

- Dziadku, ja się tylko wyglupiam. Dobrze, torebka należy do tamtej dziewczyny. Jest pan pewien? Widział pan, że tu siedziała?

- Zaufaj mi.

Dziewczyna z radości rzuciła się każdemu z nas na szyję - nawet nie zdążyła zauważyć, że nie ma torebki. Sprawiała wrażenie tak roztargnionej jak ja, kiedy mam we krwi trzy promile alkoholu. W dodatku nie była nawet ładna. Wyglądała jak ten świat - kiepsko zrobiona.

Dwie godziny potem znaleźliśmy psa. Błąkał się jak chiński turysta bez planu miasta i był bardzo smutny. Zaproponowałem, żebyśmy zadzwonili do ośrodka rejestracji psów i na podstawie tatuażu uzyskali adres właściciela. Antoine pokręcił głową. Ten facet był niesamowity. Już wiedział, gdzie mieszka ten pies. Trochę się z niego podśmiewałem, absolutnie w to nie wierząc, ale pani małego kundelka oszalała ze szczęścia. Dziadek: 2. Ja: 0.

- Skąd pan wiedział?

Wydął usta, jakby moje pytanie nie miało sensu.

- Po prostu wiedziałem.

- Mieszkał pan kiedyś w tej okolicy?

Nie odpowiedział. Pomyślałem sobie, że to niesamowite szczęście trafić na TEGO psa, którego się zna. Jemu jednak wydawało się to normalne.

Chodziliśmy po trzech dzielnicach, uważnie się rozglądając, zerkając na każdą ławkę, w każdy zaułek, na każdy parapet. Szukaliśmy zgub. I jakby za sprawą łańcucha drobnych cudów - znajdowaliśmy je. I przedmioty, i ich właścicieli.

Stopniowo traciłem orientację, uświadomiwszy sobie, że dla Antoine'a wszystko jest oczywiste. Im dłużej z nim przebywałem, tym mniej rozumiałem i tym więcej miałem wątpliwości. Czyżby był aż tak dobrym obserwatorem? Bo wszystko przychodziło mu z taką łatwością, było tak jasne...

W końcu zapytałem:

- Dlaczego zależało panu, żeby mnie ze sobą zabrać?

- Chciałem mieć towarzystwo.

- To wszystko?

- Jestem dość osobliwym starszym panem.

- I co z tego?

- A ty jesteś dość osobliwym młodym człowiekiem. Powinniśmy się wzajemnie słuchać, zostaliśmy stworzeni, żeby się porozumieć.

- I co jest celem tego wszystkiego?

- Celem?

- Tak. Po co ścieramy sobie podeszwy?

- Powiedziałem ci wczoraj: żeby wypełnić pustkę.

- Ale co nam to daje?

Staął na środku chodnika i zmierzył mnie srogim spojrzeniem.

- Chłopcze, jesteś ograniczony - powiedział, trochę rozczarowany.

- Lubię rozumieć.

- Nie, lubisz mieć kontrolę, a to co innego. Chodźmy już. Czuję, że coś na nas czeka jak na tacy w okolicy Saint-Lazare. Dworce to istna kopalnia dla takich jak ja.

Westchnąłem, bo i ja poczułem się zawiedziony brakiem wyjaśnienia. Zaczynałem tracić cierpliwość.

- Mówiłeś dziś rano o patologicznej przyjemności. A wiesz, co mnie sprawiłoby przyjemność?

- Tylko spokojnie, Antoine. Starsi panowie mnie nie interesują! Zignorował tę uwagę i podjął:

- Chciałbym, żebyś mi opowiedział o najciekawszych rozmowach z telefonicznych połowów. Byłbym zachwycony!

- Skoro o to chodzi, to chyba zdołam pana zadowolić.

I tak spędziliśmy kolejne trzy godziny, rozmawiając. To znaczy, mówiłem głównie ja, przytaczając najwspanialsze tyrady, jakie wygłosiłem. Równocześnie znaleźliśmy męską szaszetkę, parkę, dwa portfele i parasol. Tak mocno pogrążyłem się we wspomnieniach, starając się jak najwierniej przedstawiać mu rozmowy prowadzone z nieznanymi, że przestałem zwracać uwagę na to, co robił. Stało się to automatyczne.

Dopiero wieczorem, kiedy zmęczeni wracaliśmy do niego, a ja miałem język jak kołek, stopniowo zacząłem sobie uświadamiać, co się stało.

Nagle stanąłem oko w oko z prawdą. Dłużej nie mogłem jej przeczyć.

- Niech mi pan powie, nie jest pan żadnym Sherlockiem Holmesem, mam rację? Wcale nie opiera się pan na dedukcji. Pan jest jasnowidzem.

Uniósł ramię, równocześnie lekko przechylając głowę. Wyczułem, że poczuł dumę.

- Już ci powiedziałem: to dar.

- Kiedy pan coś znajduje, już pan *wie*, do kogo to należy. Wyczuwa pan to.

- Można tak powiedzieć.

- To nadprzyrodzone.

- Nie mów tak, *nadprzyrodzone* brzmi przerażająco!

- Pan też jest przerażający, jeśli się nad tym dobrze zastanowić!

Antoine patrzył na mnie przez chwilę, zastanawiając się, czy mó-

wię poważnie.

Uspokoilem go krzywym uśmiechem, bo sam wcale nie czułem się pewnie.

- Jestem na dnie, Antoine, naprawdę na dnie.

- Nic już nie mów. Robię to od zawsze.

Przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu.

- Jutro znów się spotkamy. W tym samym miejscu o tej samej porze, zgoda?

Jeszcze zaszokowany, pokiwałem głową.

- I przygotuj dużo innych pasjonujących rozmów. Opowiesz mi o nich! - zażądał, odprowadzając mnie do drzwi.

Przeżyłem właśnie najbardziej zadziwiające doświadczenie.

A on zasiał w moim duchu ziarenka, zanim cokolwiek zauważyłem.

Te ziarenka zaczęły błyskawicznie kielkować.

Już tego samego dnia wieczorem.

13

Jej głos?

Ona miała przyjemny, łagodny, jakby znajomy głos.

- Jest pan pewien, że się nie znamy?

- Oczywiście. Wybrałem numer przypadkowo.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Nie wydaje się panu, że to trochę... Że tak postępują zbo-
czenicy?

- Dlaczego każdy, kto zoczy z utartej ścieżki, uchodzi natych-
miast za nienormalnego?

Powiedziałem to bez cienia wrogości, bez napięcia. Stwierdziłem
tylko coś, nad czym powinna się zastanowić.

- Racja.

Bingo.

Było w pół do dziesiątej wieczorem - najlepsza pora na telefo-
niczny połów. Ludzie albo leniwą się w rodzinnym domu, ogłupiają
przed telewizorem, żeby zapomnieć o gównianym dniu, i nie odbie-
rają, albo, jeśli jest im trochę smutno, bo są sami, podnoszą słuchawkę
i wtedy łatwiej dają się wciągnąć w grę. Dzwoniąc, nigdy nie ujawnia-
łem swojego numeru, żeby nikt nie mógł do mnie oddzwonić, i robi-
łem to w miarę możliwości z telefonu stacjonarnego, żeby jakoś
połączenia była dobra. Dzięki takim rytuałom ta chwila stawała się
ekscytująca. Wieczorem sięgnąłem po słuchawkę, żeby usiąść na
sofie z notesem pełnym bezpańskich numerów na kolanach, i poczu-
łem lekkie mrowienie w krzyżu.

Ktoś starszy pomyślałby wtedy o zapaleniu korzonków. Ja
odbierałem to jako niemal podniecenie seksualne.

Nagle uświadomiłem sobie, że dziewczyna może mieć rację, że to
zabawa dla zбочeńców. Ale po całym dniu opowiadania o moich
połowach Antoine'owi wszedłem do domu, myśląc tylko o tym, żeby
chwycić za słuchawkę i wypróbować wszystkie możliwe numery.

- Jaki jest w takim razie cel tego telefonu? Zamierza pan mnie
poderwać?

- W żadnym wypadku.
- No cóż, dziękuję!
- Chcę tylko pogadać z kimś, kogo nie znam i kogo nigdy nie zobaczę. Dyskusja bez przyszłości.
- Jak pójdzie z kimś do łóżka na jedną noc.

- ...

Rozpustna. Sprowadza wszystko do seksu. Jakby była facetem.

Jej głos mnie urzekał, uspokajał. Brzmiał znajomo, jakby była moją krewną. Nagle ogarnęła mnie chęć przedłużenia tej rozmowy, bałem się nawet, że za szybko się rozłączy.

- Jest pani szczęśliwa?
- To bardzo osobiste pytanie!
- Nie znamy się.
- No właśnie.

A wtedy zaserwowałem jej tradycyjną mowę: ponieważ się nie znamy i nigdy już do siebie nie zadzwonimy, tworzy się sytuacja, w której wszystko można sobie powiedzieć, nie obawiając się, że zostanie to powtórzone; i że to nawet lepsze od rozmowy z psychoterapeutą, bo nie tkwimy w żadnych ramach, nie będzie żadnych konsekwencji - możemy zwierzyć się ze wszystkiego. I tak dalej. Byłem doskonale przygotowany.

Ale ona, wciąż podejrzliwa, zapytała:

- Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan jednym z moich znajomych, który robi mi kawał?
- To byłoby idiotyczne.
- Ludzie są głupcami.
- Racja.

Zapadła cisza.

- Jest pan żonaty? - zapytała.
- Nie.
- Związany?
- Nie.
- Gej?
- Nie.
- I bawi się pan, dzwoniąc do nieznajomych, żeby się trochę podniecić?
- Wcale nie. To znaczy, tak, dzwonię do nieznajomych, ale nie po to, żeby... Po prostu lubię rozmawiać z nieznajomymi. To do niczego nie zobowiązuje, a można sobie wszystko powiedzieć.
- I nigdy nie spotkał się pan z nikim tak poznanym?
- Owszem, raz, ale nie taki jest cel.

- I jakie było to spotkanie?
- Szczerze?
- Szczerze.
- Rzeczywistość okazała się taka jak zawsze: rozczarowała mnie.
- Dziewczyna była brzydka?
- Kto pani powiedział, że to była dziewczyna?
- Przed chwilą powiedział mi pan, że nie jest gejem. Czyli to musiała być dziewczyna. Poszedł pan na spotkanie, mówiąc sobie: „W najlepszym razie to kobieta mojego życia, w najgorszym po prostu ją bzyknę”.
- Tak, to była dziewczyna.
- I była brzydka.
- Trochę.
- Przespał się pan z nią?
- Trochę.
- Co to znaczy „trochę się przespałem”?
- To wtedy, kiedy robi się to bez przekonania, bez pociągu, bez wyraźnego pożądanego. Po prostu zalicza się dziewczynę.
- Należała do tych, których nigdy nie poprosiłby pan o rękę, no ale żeby się spuścić...
- Można to tak ująć.
- Potwierdza się moja teoria.
- Jaka teoria?
- Że są dziewczyny do bzykania i inne, do życia. Ta była widocznie do bzykania, czyli dziewczyna śmieciarka.
- Zaczynam się pani bać.
- Te do życia są jak ziemia, na której można budować, trzeba tylko trafić na dobrego budowniczego, nie takiego, któremu nic się nie udaje, nie oszusta albo majsterkowicza, który kleci coś szybko w co drugi weekend, a takich jest wielu. Tak czy inaczej, te dziewczyny są stworzone do budowy, która ma przetrwać. Inne to tylko śmieciarki, do których można wyrzucić to, co zbędne. Faceci przelatują je, żeby się spuścić, i odchodzą po paru godzinach albo miesiącach, a nawet latach, jeżeli są leniwi. Ale te dziewczyny niczego nie budują.
- To przerażająca wizja.
- Ja jestem taką śmieciarką.
- Nie można tak mówić.
- Wiem, że tak jest, trzeźwo oceniam sytuację, pogodziłam się z tym i teraz łatwiej mi to znieść. Nawet najgorsze staje się mniej dotkliwe, kiedy się z tym pogodzimy.
- Mimo wszystko... Ma pani taki łagodny głos i chyba jest pani za

młoda, żeby wygłaszać tak kategoryczne poglądy.

- Mam dwadzieścia siedem lat.

- Czas na zmianę... Zobacz pani, że ta śmieciarka za dwa czy trzy lata stanie się kompleksem hotelowym z basenami, polem golfowym i luksusowymi willami.

- Uważa mnie pan za ładacznice?

- Nie, chciałem tylko powiedzieć... Niezręcznie to ująłem, ale przecież pani mnie zrozumiała.

- Drocę się z panem.

- A, całe szczęście. Bo ten pani pomysł z dziewczynami śmieciarkami i terenami budowlanymi nie przypadł mi do gustu. To fatalizm. Myślę, że każdy decyduje o tym, kim jest i co robi z własnym życiem. Dziewczyna śmieciarka po prostu pozwala się traktować w taki sposób. Gdyby potrafiła się cenić i szanować, zrekuitywowałaby swoje poletko i mogłaby coś wybudować.

- Jest pan optymistą.

Parsknąłem śmiechem.

- Ja? Co to, to nie! Pierwszy powiedziałbym pani, że każdy może sobie zdychać, jeśli chce, bo w tym cholernym życiu nie ma odrobiny nadziei, ale jestem tylko cynikiem, a nie fatalistą.

- W miłości też jest pan cyniczny? To chyba skomplikowane.

- Skomplikowane... Tak, to trafna definicja mojego życia miłosego.

- I dlatego jest pan samotny?

- Nie, to nie z powodu cynizmu.

Wspominając o kłótwie, mógłbym ją sprowokować do rozłączenia się, więc pominąłem ten element.

- Moja sfera uczuciowa jest jak kolejka górską na szczytach Himalajów.

- Zachował pan jeszcze nadzieję?

- Nie mam już nadziei, ale mam fiuta, więc mam i ochotę. Jeśli to połączyć, można jeszcze zachować złudzenia.

- Ma pan ochotę spotkać kiedyś tę właściwą?

- Ostrożnie, to śliski temat!

- Już pan taką miał, ale pan ją stracił, tak?

- Tak, właśnie tak.

To ona przejęła kontrolę nad rozmową. Ograła mnie.

- Jest pan mężczyzną: albo tym, który buduje, albo tym, który bruka. Albo kimś pośrednim, kto oscyluje między jednym a drugim, czyli majsterkowiczem. Do której kategorii się pan zalicza?

- Skoro mam wybierać, to może ma tam pani kategorię grabarzy?

- Słucham?
- Jestem wdowcem. Można to tak ująć.

Cisza.

- Przykro mi. Mówię szczerze.

Znów głucha cisza. Tylko drobne trzaski na linii - odległe zjawy milionów innych rozmów.

- Chętnie bym się z panem spotkała - powiedziała. - Mam wrażenie, że jest pan wartościowym człowiekiem.

- To telefon.

- Sporo pan cierpiał, prawda?

- Żyję, więc cierpię, jak my wszyscy.

- To pańska dewiza filozoficzna? Kartezjusz skrzyżowany z de Sade'em?

- Powiedziałbym, że z Marilynem Mansonem. Z gwoździami i tak dalej.

- Lubię pański głos. Wydaje mi się znajomy.

- Odniosłem takie samo wrażenie. Jest pani lekko zakatarzona i to dodaje mu uroku.

Moc słowa *wdowiec* okazała się niesamowita. W jednej chwili wszystko się odmieniło - ona była rozczulona, a ja z potencjalnego zbrojeńca przeistoczyłem się w biedactwo, które trzeba pocieszać. Chciała się ze mną spotkać!

- Jak pan ma na imię? Tylko imię.

- Pierre.

- ...

- Halo?

- ...

- Halo?

- Pierre?

- Tak. A pani?

- A jeśli powiem, że... Julia, co pan odpowie?

- O cholera!

12

Wolą losu było, żeby Julia wybaczyła mi ten telefon, który podniósł ją na duchu? Nie, raczej nie. Ale zadzwoniła do mnie po dziesięciu minutach.

- Spotkajmy się.
- Teraz, zaraz?
- Tak.
- Myślałem, że mam zdechnąć jak łajdak, którym jestem?
- Przecież właśnie to robisz. Zdychasz powoli od śmierci

Ophélie.

- Dobrze. Zaraz będę.

I tak późnym wieczorem znów przemierzałem Paryż. Mijałem wszystkie te przytłoczone twarze, najczęściej przytłoczone przez życie, przez pracę, przez chęć zapomnienia, picia, ciupciania... Światła miasta spadały na nas jak niezwykle anioły starające się rozświetlić tylko pewne sfery naszego jestestwa, ujawnić jedynie to, co je interesuje w tej nocnej porze. Nie podkreślały tego, co w nas najpiękniejsze, wręcz przeciwnie - były bezlitosne. Podkręzały oczy, wydłużały policzki, pogłębiały zmarszczki. Przy nich nie byliśmy już częstkami społeczeństwa, ale surowymi rzeźbami, niemal niepokojącymi. Nocą wyłania się to, co w nas najbardziej mroczne i specyficzne. Nocą ludzie są prawdziwi. Nocą nie możemy kłamać w każdej sprawie, przez cały czas, bo prawda wychodzi na jaw.

Rude loki Julii otworzyły mi drzwi.

W tej samej chwili dostałem SMS-a.

Numer nieznanym.

Czytając go, to ja poczułem się jak nagi błazen.

Całkowicie pozbawiony intymności.

*Nie rób tego. Wracaj do domu. Posłuchaj mnie! Wracaj.
Natychmiast.*

Mój psychoanalityk. Ten wariat znowu mnie szpieguje. Nie odzywał się przez ponad pół roku, więc myślałem, że się od niego uwolniłem. Na samym początku, tuż po śmierci Ophélie, próbował

nawiązać ze mną kontakt, dowiedzieć się, jak się czuję. Nie odpowiadałem, nic mu nie odpisałem, więc w końcu dał mi spokój.

Odsunąłem Julię i podszedłem do okna jej salonu, żeby wyrzeć na ulicę. Nikogo nie dostrzegłem. Bramy były pogrążone w mroku. Mógł gdzieś tam stać, przycziąć się, śledzić mnie ukryty w ciemnościach. Chyba że siedział w jednym z zaparkowanych na ulicy samochodów.

- Coś się stało? - zapytała Julia.
- Sprawdzam, czy nie ma tam mojego psychoanalityka.
- Psychoanalityka?
- Tak. To psychopata.
- O! Nie powiem, wieczory z tobą są naprawdę urocze!

Podawała mi szklankę whisky.

- Nie przepadam za mocnymi trunkami.
- Napij się. To ci pomoże trochę się odprężyć. A whisky jest dobra, wspomaga wydzielanie śliny.

Julia w pełnej krasie.

- Paskudnie wyglądasz - dodała.
- Dziękuję.
- To prawda. Widać, że potrzebujesz wyjść, trochę się przewietrzyć. Przypominasz stary dywan, który długo się kurzył.
- Zamierzasz wytrzepać mnie za oknem?
- Niezły pomysł.
- Za to ty wyglądasz dobrze.
- Dobrze? Tylko tyle? Staram się, jak mogę, zrobić sobie świetny makijaż, a ty mówisz, że wyglądam *dobrze*? Kiepski jesteś, Pierre.

Wzruszyłem ramionami. Przede wszystkim nie przyszedłem, żeby się do niej zalecać. Julia była ładna, żywiłowa, więc idealna do łóżka. Przestałem się okłamywać co do celu tej wizyty w windzie. Nie przyszedłem tu rozmawiać o Ophélie, nie po to, żeby lepiej się poczuć czy też przeprosić Julię. Przyszedłem, bo czułem, że możemy wylądować w łóżku. Potrzebowałem tego. Poczuc dotyk czyjejś skóry, życie tętniące tuż obok, poczuć ten dreszcz, jęczeć, zaznać rozkoszy.

I dokładnie tak potoczył się ten wieczór.

Julia nie marnowała czasu - wpiła się w moje usta w pełnym pasji pocałunku. Stało się jasne, że uznała je za swój teren zabaw, za piaskownicę dla swojego języka - nadpobudliwego dziecka, nieposkromionego, które rozsypywało piasek na wszystkie strony i cieszyło się z tego, bo chciało zwracać na siebie uwagę.

Dla faceta, który od pół roku jest żywy jak zjawia, to nadmiar życia w jednej chwili. Poddałem się jej, a ona chętnie przejęła inicjatywę. Zresztą nawet gdybym nie chciał, Julia by mnie zdominowała. To ona

musiała przewodzić, rozkazywać, kontrolować, być górą.

Jej piersi w moich ustach. Moje spadające ciuchy. Jej język na mnie. Wszędzie. Ona na mnie. Wszędzie. Ja w niej. Wszędzie. Jej orgazm. Zachęta, żebym i ja wspiął się na szczyt. Zaspokojeni.

Potem wstała, narzuciła wytarty szlafrok i patrzyła na mnie trochę poirytowana.

- Co się stało?
- Już po wszystkim, więc możesz się ubrać - rzuciła.
- Teraz?

Krocze miałem jeszcze wilgotne, pot nie wysechł na moich skroniach, wciąż dyszałem.

- Tak, teraz.
- Chcesz, żebym sobie poszedł, tak?
- Tak, właśnie. Pieprzyliśmy się, było dobrze, a teraz spadaj.

Nie powiedziała już ani słowa, tylko jej zniecierpliwione oczy mówiły, że cokolwiek bym zrobił, nigdy nie wyjdę wystarczająco szybko. W progę, w krzywo zapiętej koszuli, z rozwiązanymi sznurowadłami, odwróciłem się do niej:

- No cóż... dobranoc.

Zdobyła się na sztuczny uśmiech, który nie był nawet uprzejmy, bo na jej twarzy dominowało rozdrażnienie.

- Zdzwonimy się i...

Trzasnęła drzwiami.

W normalnej sytuacji poczułbym ulgę, uspokojony po tej nocy, oszczędzając sobie zbędnej czułości, bez pytań o jutro, o przyszłość związku. Czysta rozkosz cielesna i reszta nocy, żeby wyspać się w samotności. Zwłaszcza że chodziło o Julię - dziewczynę zdolną niespodziewanie wybuchnąć. W kilka sekund po orgazmie odzyskałem rozum i powiedziałem sobie, że zrobiłem monstrualne głupstwo. Już przy pierwszym spotkaniu dostrzegłem w Julii coś, co zapowiadało, że seks z nią oznacza pakowanie się w tarapaty.

A jednak nie. Nic z tych rzeczy.

Wiem, że się powtarzam, ale myślę, że świat woli pozostawać głuchy na oczywistość, która bardzo uprościłaby nasze relacje, gdybyśmy *naprawdę* ją zaakceptowali. Kiedy narasta gorączka orgazmu, mężczyźni stają się zwierzętami. Są gotowi na wszystko, żeby się uwolnić - potrafią bezczelnie uwodzić, kłamać, godzić się na każdą rzecz. Ledwie sobie ulżą, a wracają do świata cywilizacji i to często okazuje się katastrofą. Sądzę, że właśnie w tym momencie upodobniamy się do seryjnych zabójców. Popęd był nieodparty. Wiadomo, że nie należy tego robić z tą dziewczyną, ale to od nas silniejsze.

Wymyślamy sobie preteksty, wymówki, jesteśmy pewni, że znajdzie się jakieś wyjście, które pozwoli się wyplątać z głupiej sytuacji - potem. Ale kiedy już popełnimy „zbrodnię”, wraca świadomość, zaczynamy znowu myśleć całym mózgiem, a nie tylko jego gadzią częścią. I często dochodzi do katastrofy.

Najgorsi ze wszystkich są ci tchórzliwi faceci, którzy nawiązują relację tylko po to, żeby się „sprawdzać”, zaliczając dziewczynę w jedną noc. To nieszczęśnicy, którzy grają kogo innego i próbują.

Tej nocy czułem się, jakby przeleciał mnie jeden z tych facetów i jakbym ja sam był tym, który się nie sprawdza.

Czułem się brudny. Zbrukany.

Nie chciałem wracać do domu, błądziłem po Paryżu, w głowie kłębiły mi się myśli, które skupiały się i tworzyły pontony ratunkowe o nieprawdopodobnych nazwach, jak „Wróc ją zerznąć teraz” albo „Wróc nafaszerować się tabletkami nasennymi i popij je wódką, żeby nie czekać długo na sen”.

I tak znalazłem się przy moście des Arts.

Były tam wszystkie te kłódki przytwierdzone do balustrady niczym wojownicy miłości, którzy przykuli się do szyn, żeby powstrzymać konwój przewożący odpady radioaktywne. Wróciły, przytwierdzone do łańcuszków, do wstążek owiniętych wokół poręczy nad plexiglasem. Paryskie merostwo próbowało się ich pozbyć, uniemożliwiało ich zawieszanie, ale na próżno. Ten most stał się jawnym dowodem sprzeciwu - uczucia miały prawo być wyrażane. To Kwatery Generalna oburzonych zobojętnieniem w życiu codziennym. Ekologów miejskiej miłości. Uchodźców serca. Jakby bezdomnych, którzy przenieśli się i zamieszkali w jej albo jego duszy.

I oczywiście pomyślałem o Ophélie.

To tu widziałem ją po raz ostatni. Nie była zadowolona.

Szedłem wolno, aż dotknąłem palcami tego miejsca, w którym uczyniła mnie więźniem swojego gniewu. Zobaczyłem, że wciąż są tam ślady kajdanków, bo stal złuszczyła farbę.

Brakowało mi jej. Jej żywioowości, tej szczypty szaleństwa. I jej zapachu. Jej ciała.

- Uprowadziłem cię - powiedział znajomy głos.

Był tu, tak jak ja, stał oparty o balustradę. Nie musiałem odwracać głowy, żeby wiedzieć, że to on.

Patrzyłem w dal, na Sekwanę.

Nie rozwścieczyło mnie to spotkanie, byłem zbyt zmęczony, żeby zdobyć się na złość. Zbyt zrujnowany wewnątrz.

- To jest silniejsze od pana? Musi pan wciąż za mną chodzić...

Powiedziałem to bez cienia wrogości, spokojnie. Cicho.

- Beze mnie przegrasz. Mogę naprowadzić cię na właściwą drogę. Mogę cię ocalić.

- Uznał pan to za swoje wyzwanie? Czyn, który przyniesie zbawienie pańskiej duszy?

- Nic nie rozumiesz.

- Tak, przynaję, nic z tego nie rozumiem. W dodatku wcale nie chcę zrozumieć. Mam to gdzieś. Jest pan świrem.

- Dlaczego mnie dziś nie posłuchałeś? Dlaczego przespałeś się z tą dziewczyną?

- Podśluchiwał pan pod drzwiami?

- Nigdy mnie nie słuchasz. A przecież cię ostrzegałem. I tylko popatrz teraz na siebie...

- A co? Zaliczyłem dziewczynę, miewam się jak najlepiej, dziękuję.

- I dlatego wylądowałeś tu o drugiej nad ranem, ze łzami w oczach?

- Odpieprz się.

- Ta dziewczyna nie jest dla ciebie, zupełnie tak jak tamta.

- Niech mi pan da spokój.

- Pierre, nie rezygnuj z własnego życia. Nie w ten sposób wraca się do równowagi.

- Dokonałem wyboru. Teraz czuję się dobrze.

- Odrzucając wszystko, czym byłeś? Rezygnując z pracy, z dziewczyny, kolegów i rodziny? A przede wszystkim - z siebie?

- Nowy początek.

- Ale to tak nie działa. Popatrz na siebie. Jesteś w depresji, musisz się le...

- Człowieku, zostaw mnie w spokoju. Już dawno zrozumiałem, że moje nagłe odejście spowodowało u pana coś w rodzaju narcystycznej rany, ale proszę się już ode mnie odczepić. Niech pan sobie wreszcie powie, że stracił pan pacjenta, a to się zdarza, takie jest życie. Niech pan przestanie mnie szpiegować, niech pan nie próbuje zachować nad wszystkim kontroli. Jest pan przerażający. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Twoja sytuacja nie będzie się poprawiała, jesteś w błędzie.

- Mówimy teraz o mnie czy o panu?

- Nigdy nie rozwiązujesz żadnego problemu, zamiatasz je pod dywan. Nadejdzie taka chwila, kiedy gwałtowny podmuch wiatru uniesie ten dywan, a wtedy udusisz się całym zgromadzonym tam gównem.

- A może to tylko doda pikanterii mojemu życiu.
- Kierujesz się egoizmem. Wszedłeś w spiralę samouniemożliwienia i nawet nie pomyślałeś o innych. O tych wszystkich, których ciągniesz za sobą w przepaść.
- Czyli o kim? Nie mam nikogo.
- Zaczniemy od twojej rodziny.
- Dawno o mnie zapomnieli.
- Wygodnie ci w to wierzyć.
- Skoro pan tak twierdzi...
- A ludzie, z którymi się teraz spotykasz? Na przykład ta dziewczyna.
- Julia? Taki facet jak ja nie zakłóci jej spokoju!
- Myślisz wyłącznie o sobie, patrzysz na świat wyłącznie z własnego punktu widzenia, nie bierzesz pod uwagę uczuć innych.
- I jak dotąd nieźle na tym wychodzę.
- Tak sądzisz?

Ciężkie westchnienie rozerwało noc po mojej prawej ręce i niemal natychmiast uleciało z wiatrem.

- Pierre, ty żyjesz. A to oznacza, że każdy twój czyn i każde słowo pociągają za sobą konsekwencje. Nic nie jest niezmienne. Świat oddziałuje na ciebie, ty na świat. Czy ci się to podoba, czy nie, stanowisz jego część. I każda twoja decyzja odbija się na nim. Nie tylko na tym twoim egoistycznym światku, ale także na światach innych ludzi. Na ich życiu.

- Zrozumiałem tę lekcję, nie musi pan powtarzać mi tego dzie sięć razy.

- Nie byłbym taki pewien. Uważasz, że świat jest brudny, ohydny, niesprawiedliwy? Ale przecież sam tak właśnie postępujesz. Świat to nie mur, od którego odbijasz sobie piłkę, ale prawdziwy partner. Przyprawia cię o mdłości? Więc zamiast tak go traktować, staraj się trochę go zmienić i uczynić znośniejszym, a stanie się taki.

- Tak, tak, już to słyszałem...

- Pierre, błagam, przestań zatykać uszy, przyjmij moją pomoc. Chwyć rękę, którą do ciebie wyciągam. Razem możemy to wszystko poukładać. Ulepszyc.

Paryż był rozświetlony od środka, okna błyszczwały jak uważne oczy nocy, a nieliczni przechodnie, daleko od nas, byli ledwie sylwetkami, bezimiennymi cieniami.

Ta rozmowa już mnie nudziła. Chciałem być jedną z tych osób, które dostrzegałem - bez rozpoznawalnej twarzy, bez celu, bez niczego poza torem ruchu, bez śladu, bez zobowiązań poza tym, żeby

żyć: trwać w nurcie swego bytu.

Moja przeszłość już mnie nie obchodziła. Nie miałem planu na przyszłość. Byłem tylko stałym punktem na łuku, tylko punktem. I szedłem w paryską noc.

Zmrużyłem oczy i uświadomiłem sobie, że idę wzdłuż rzeki.

Pozbyłem się mojego psychoterapeuty. Nie nalegał. Ale domyślałem się, że znów nagra mi się na sekretarkę - może jutro, może za tydzień.

W tej chwili ważne było tylko, żeby iść przed siebie. Wrócić do domu, zasnąć i zapomnieć. Jutro będzie nowy dzień. Sen zmyje brud minionego. Nastroje są w ostatecznym rozliczeniu tylko fragmentami zapisanych kredą słów, niedokładnie startych z czarnej tablicy, a sen to mokra i czysta gąbka.

Chcę, żeby moja gąbka była bardzo mokra. Żeby po przebudzeniu nie został żaden ślad, nawet błady cień ogonka czy znaku przestankowego. Dlatego namoczę się przed pójściem do łóżka.

Mój psychoterapeuta może mówić, co chce, współoddziaływanie ze światem mnie nie pociąga. Nie chcę tego znosić. Chcę tylko przejść przez świat.

Moje życie nie ma żadnych konsekwencji. Ja jestem konsekwencją.

Przynajmniej tak właśnie uważałem jeszcze przez kilka godzin.

Zanim dowiedziałem się przed południem, że około czwartej nad ranem Julia rzuciła się z okna swojego mieszkania.

Skutkiem tego była wielka plama rozbryzganego mózgu w kałuży krwi.

W południe tego dnia zrozumiałem wreszcie, że to klątwa ciężąca na moim życiu.

Jestem klątwą.

Dla każdego, do kogo się zbliżę.

Jestem trucizną. Czegokolwiek dotknę, umiera.

Życie zabija. Powoli i okrutnie. Życie u mojego boku jest powalające.

Kilka minut po jedenastej zadzwonił telefon. Mój psychoanalityk. Powiedział tylko: „Ona nie żyje. Dziś w nocy Julia wyskoczyła przez okno...”, a ja rozłączyłem się, nie pozwalając mu dokończyć.

Wiedziałem, co muszę zrobić w tej sytuacji.

Nadszedł czas, żebym to ja wykazał się determinacją.

Doszedłem do przekonania, że jestem przeklęty, wybrałem rozwiązanie radykalne, ale skuteczne.

Skoro życie już mnie zmęczyło, wolałem umrzeć młodo. Przygotowałem sobie koktajl z lekarstw, dwie butelki wyborowego wina - wybrałem Château Climens, bo chciałem odejść pięknie - usiadłem na sofie, skupiłem się i jeszcze raz sprawdziłem, czy o niczym nie zapomniałem, zupełnie jak przed wyjazdem w długą podróż, ale wciąż miałem nieprzyjemne wrażenie, że jest coś, co pomiąłem. I nie mogłem przestać o tym myśleć.

Z pewnością nie zapomniałem nikogo pożegnać, bo nikogo już nie miałem. Antoine nie mógł mieć mi tego za złe, zbyt życzliwie odnosił się do ludzi. A poza tym, biorąc pod uwagę jego wiek, przenosiłem się na tamten świat krótko przed nim.

Nie zapomniałem o wyłączeniu gazu, a gdyby nawet tak się stało, nie pokrzyżowałyby to moich planów, wręcz przeciwnie, stanowiłoby dodatkową gwarancję.

Nie miałem do nakarmienia żadnego psa ani kota. Nie potrzebowałem ubiegać się o żadną wizę, a przynajmniej miałem taką nadzieję, bo byłoby głupio, gdyby cofnięto mnie z granicy, co ponoć się zdarza. To doświadczenie śmierci klinicznej.

Byłem więc gotów.

Pigułki czekały już na stoliku - była ich pełna szklanka. Silne środki uspokajające, nasenne, potężna dawka aspiryny - niczego sobie nie żałowałem. To mój bilet w jedną stronę. Brakowało tylko Przewodnika zmarłego wędrowcy i pliku zagranicznych pieniędzy, ale nie miałem pojęcia, jaką walutą płaci się w raj... Dobrymi uczuciami? W takim razie stanę się tam nędzarzem... Obym zebrał dość złych uczynków, żeby dotrzeć na inny brzeg - do piekła, bo wbrew wszystkim zawsze i w każdej kwestii wolałem Milтона od Woltera. A może będę mógł jeszcze wrócić, żeby zgwałcić jakąś staruszkę i zapewnić sobie lepsze miejsce, zdobyć piekielną kartę Premium - miejsce dla VIP-ów na wieczność.

Bujałem w obłokach.

Nie potrafiłem podjąć decyzji.

Wystarczyło połknąć kilka garstek proszków, ale nie mogłem się na to zdobyć. Jeszcze nie. W pełni zdawałem sobie sprawę, co to oznacza. Kres wszystkiego. Mnie. Świata. Bo świat istnieje wyłącznie przeze mnie. Jeśli umrę, on też umrze. A trudno mi go zabić. Zniszczyć wszystko i wszystkich. Powiedzieć im: żegnajcie.

W chwili gdy zdobędę się na ten krok, wszystko się rozstrzygnie, przelknięcie będzie niczym gest ręki, który zmiata wszystko z powierzchni globu. Nie chciałem, żeby stało się to pod wpływem nagłego impulsu. Pragnąłem, żeby ten gest był dojrzały, przemyślany, dopracowany pod każdym względem, ze wszech miar oczekiwany. Chciałem delektować się każdym etapem tego doznania. Chciałem czuć, jak śmierć wnika do mojego przelyku, i przypatrywać się wyrwaniu z korzeniami wszystkich drzew, w zwolnionym tempie, widzieć domy walące się jak budowle z piasku niszczone przez wieczorny wiatr, chciałem podziwiać znikanie kolejnych ludzkich sylwetek. Chciałem widzieć, jak się wykrwawiają, jak ziemia pozbywa się całego ludzkiego gówna, spuścić po nim wodę... Tak, ostatnie zjadliwe żarty, na jakie się zdobędę, będą eschatologiczne.

Tymczasem jednak łupał na mnie drwiąco diabelski koktajl. Był jak Kot z Cheshire, proponował, że będzie moim przewodnikiem po tym przerażającym świecie, ale znikał na rozstajach dróg.

Postanowiłem umrzeć. Ale właściwie dlaczego?

Żeby już nie żyć.

To dobry początek.

I co jeszcze?

- Niczego nie muszę już kończyć. Wszystko, co zacząłem, jest skończone. To znaczy, praktycznie nic.

Nagle wyobraziłem sobie, że na wprost mnie, w fotelu, siedzi mój psychoanalityk. Wolno kręci głową.

- Jesteś tego pewien?

- Odrzuciłem swoje życie, żeby podjąć próbę zbudowania sobie nowego, ale to też nie pozwoliło mi się rozwijać. Wszystkie związki, które tworzyłem, doprowadziły do śmierci moich partnerek...

- Wszystkie? Mówisz także o Julii? Czyżbyś ją kochał?

- Jajami, tak.

- Hipokryta. Kłamiesz.

- Tak czy inaczej, straciłem Ophélie.

- W twoim życiu nie ma niczego więcej?

- Jest jeszcze ten lekko stuknięty dobrotliwy staruszek. Nie odczuje mojego braku.

- A czy przynajmniej się z nim pożegnałeś?
- Po co?
- Chyba był wobec ciebie w porządku?
- Tak.
- W takim razie jesteś mu winien to samo. Kiedy odejdziesz, na pewno będzie się obwiniał.
- Trudno.
- Czyli jest ktoś, dla kogo twoje życie coś znaczy.
- Dwa tygodnie temu nawet mnie nie znał. Pozbiera się. Zresztą tak będzie dla niego lepiej.
- A to dlaczego?
- Bo znajomość ze mną to wyrok śmierci. Przez tę klątwę.
- Nie, klątwy nie istnieją - odparł mój wymyślony psychoanalityk.
- Jestem przeklęty, to oczywiste. Michaud, Tess, Hugo, Ophélie, Julia... Wszyscy umierają albo znikają.
- A może to raczej ty szukasz towarzystwa ludzi podobnych do ciebie?
- Ophélie i Tess bardzo się od siebie różniły.
- Wcale nie tak bardzo. Obie były ekscentryczne, oryginalne. Każda na swój sposób. Otaczasz się specyficznymi ludźmi. Takimi, którzy krążą po obrzeżach świata, stają na krawędzi zbrodnic. Trudno się dziwić, że niektórzy spadają w przepaść.
- Oni wszyscy spadają.
- Bo nikt nie podał im ręki.
- A dlaczego ja dotąd nie spadłem?
- Jesteś tego bliski...
- Trzymałem się dość długo.
- Był ktoś, kto wyciągnął do ciebie rękę.
- Pan.
- Ja.
- W takim razie chyba skoczę.
- Nie bądź głupcem. Nie rezygnuj ze wszystkiego.
- Ophélie została zamordowana.
- Przez Hugona. Otoczyłeś się skrajnościami. Każde z tych indywiduów postępowało zgodnie z własnymi tendencjami.
- Mam wrażenie, że wszystko kręci się wokół mnie.
- Stałeś się katalizatorem dewiacji każdego z nich, jesteś jak detonator. Bo gromadzisz wokół siebie ludzi, którzy mogliby zrobić to, czego ty nie masz odwagi zrobić, osoby tak samo niezrównoważone jak ty, ale bardziej zdeterminowane.

- Co próbuje mi pan powiedzieć? Dopóki nie załatwię własnych problemów, będę dobierał sobie tego rodzaju przyjaciół i patrzył, jak umierają, ponieważ ja jestem niezdolny do zadania sobie śmierci?

- Albo dlatego, że nie chcesz poczuć się lepiej...

- Ma pan rację, czas zdobyć się na odwagę.

- Przyjmiesz dłoń, którą ci podaję?

- Chociaż raz dokończę to, co zacząłem.

Pochyliłem się, wziąłem szklankę pełną pigułek, butelkę wina i wypilem potężny łyk białego trunku. Wiedziałem, że lepiej się trochę upić, by ułatwić sobie zadanie. Opróżniłem butelkę do połowy.

Pigułki. Tabletki. Kapsułki.

Poszło.

Dopiłem butelkę i zabrałem się za następną. Połknąłem połowę mojego koktajlu. Wziąłem jeszcze kilka. Magiczne pigułki, które otworzą mi drogę do wieczności. Albo do nicości, jak kto woli.

Skończyłem drugą butelkę, tak mi się przynajmniej wydaje.

W tym momencie nie bardzo już wiedziałem, co robię, co myślę, ani nawet kim jestem. Wydawało mi się, że mam przed oczyma wzburzone, napierające na mnie morze, że pośliznąłem się w wannie. Miałem przytępione zmysły, coraz trudniej było mi oddychać.

Ciepło już nie tylko rozpierało mnie od wewnątrz, ono mnie otaczało.

Odchodziłem.

Żegnaj, świecie. Żegnajcie. Żegnajcie, wszyscy.

Głowa wpadła mi pod wodę, nie oddychałem. Byłem daleko. Czekał na mnie tamten świat.

A więc tak to jest umierać. To jakby narodziny na odwrót, ciepło, uczucie otulenia, zanurzenia w gęstej cieczy. To logiczne. Wkrótce miałem usłyszeć szybkie bicie własnego serca, potem inne, wolniejsze, potężniejsze. Serce Boga. Tego, który dał mi życie. Serce matki. Moich przodków. I wszystko nagle się zatrzyma. To będzie koniec. Będę martwy.

W śmierci jest więc coś pięknego. Znacznie bardziej uspokajającego, niż się obawiałem.

Jest łagodna, prawie liryczna.

Nagle to wewnętrzne ciepło stało się kwaśne. Zawrzało. A potem błyskawicznie ruszyło w górę.

Rzygnąłem dwoma litrami wina z pigułkami na dywan i osunąłem się w sam środek tej kałuży, tuląc policzek do ciepła mojego poronionego samobójstwa.

I prawdopodobnie chrapałem.

Spaprałem nawet własną śmierć.

10

W tej *potwornej* porażce udało mi się jednak dostrzec pewną prawdę.

Ja, który sądziłem, że nic mnie tu nie trzyma, uświadomiłem sobie, że jednak jest coś, co na mnie czeka i co powinienem zakończyć, zanim odejdę.

Tego ranka, w podłym stanie, który pozwolił mi poznać smak życia w skórze Gerarda Depardieu, wskoczyłem pod prysznic, żeby zmyć z siebie warstwę paskudztwa i głupoty, która oblepiała mnie od wczoraj, a potem pobiegłem na ulicę Padoue.

Antoine był w domu. Ledwie uchyliwszy drzwi, podał mi plecak.

- Dziś jest ważny dzień - powiedział. - Czuję to. Wiele osób straciło część siebie.

- Chwileczkę. Nie jestem pewien, czy pójdę.

- Ale przecież przyszedłeś...

- Żeby z panem porozmawiać. Żeby zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- Kim pan jest. Pańską dobroć. Pańskie życie. Kim pan jest, Antoine? Dlaczego jest pan taki szlachetny, bez reszty oddany innym?

- Taki już jestem, i tyle. Są ludzie przewrotni, są manipulatorzy, kłamcy, a nawet bandyci. Ja jestem z natury dobry. Na tym polega równowaga świata.

- Taki się pan urodził?

- A czy odrażający typ, jakiś degenerat, taki się rodzi?

- Nie, nie sądzę. Staje się taki.

- Sam sobie odpowiedziałeś.

- To dlaczego częściej natykamy się na ludzi złych niż na takich jak pan?

- Ależ z pewnością spotykasz wielu dobrych ludzi. Po prostu ich nie zauważasz. Czynienie dobra nie rzuca się w oczy tak jak czynienie zła. W złu ciekawe jest, że skupia uwagę, że wzbudza w części ludzi złudne wrażenie, że żyją, podczas gdy dobro przechodzi niezauważone, wtapia się w codzienność, bo dobro jest jak smar trybów zegara - kiedy wszystko funkcjonuje, nie zajmujemy się tym, za to kiedy pojawia się rdza...

- W porządku, dobro to smar, zło to rdza. Czy to nie trąci stereotypem?

- Po prostu odruchowo sięgamy do obrazkarni z Épinal, która ukształtowała społeczną wyobraźnię.

W istocie dobro i zło nie istnieją. Są pojęciami określającymi wartości, antagonistyczne siły.

- A istota ludzka lambda to kto?

- Większość ludzi skłania się raczej ku neutralności i to one tworzą harmonijną równowagę świata. Ja jestem skrajny. W pewnym sensie nie wywieram bardziej dobroczynnego wpływu na otoczenie niż człowiek zły, nie jestem też mniej negatywny od niego. Wszystko dlatego, że jestem zbyt pozytywny. Za dobry. Dla równowagi na każdego osobnika mojego pokroju trzeba jednego złoczyńcy.

- Sądzi pan, że gdzieś istnieje pańskie alter ego o przeciwnych cechach? Człowiek skrajnie negatywny, zły?

- Prawdopodobnie, bo inaczej trzeba by wielu tylko niedobrych, żeby utrzymać równowagę. Świat jest wagą, szale muszą utrzymywać się na tym samym poziomie, żeby nie zapanował chaos. Na początku równowaga nie istniała, były tylko przeciwstawne tytaniczne siły pośród potwornego huraganu. I błyskawicznie doszło do eksplozji, a teraz, kiedy kosmos jest w fazie ekspansji, co chwila coś się w nim równoważy.

- Im bardziej szerzy się wszechświat, tym bliżsi jesteśmy doskonałej równowagi?

- Być może.

- Co w takim razie się stanie, kiedy ją osiągniemy?

- Nie wiem. Wszystko zastygnie w globalnej harmonii, doskonałej na wieczność. Albo ruszymy w przeciwnym kierunku, w cyklu niekończącego się jo-jo.

- A co ja mam zrobić, żeby osiągnąć stan wewnętrznej równowagi?

- Ty?

Nie zdołał ukryć lekkiego grymasu.

- Słuchaj swojej wewnętrznej muzyki.

- A jeżeli nie mam takiej muzyki albo jeśli brzmią w niej fałszywe nuty?

- To znaczy, że się w nią nie wsłuchujesz. Bo ona na pewno istnieje, tworzy ją bicie twego serca, wibracje duszy. Partyturę zapisałeś w okresie dzieciństwa, teraz, jako mężczyzna, musisz umieć ją zagrać, żeby cię koła.

- Ale jak mam to zrobić?

- Zapytaj samego siebie, co robisz tu, na ziemi.
- A jeśli jestem jednym z tych, którzy równoważą na świecie obecność takich jak pan? Co, jeśli jestem skrajnością o znaku ujemnym?

- To niewykluczone. Musisz nauczyć się słuchać.
- Moglibyśmy stać się przeciwnikami. Szkoda.
- Nie przeciwnikami. Po prostu przeciwieństwami.
- Musielibyśmy się zmierzyć, jak superbohaterowie, którzy toczą walkę ze złymi.

- Nie, ponieważ świat potrzebuje i jednych, i drugich. A nie ich starcia.

- Antoine, chcę wierzyć, że mam jakieś zadanie do wykonania. Nawet śmierć mnie nie chce, więc z pewnością nie dokończyłem tego, po co tu jestem.

- Czyżbyś zaczął wierzyć w przeznaczenie?
- Nie, ale wokół mnie dzieje się zbyt wiele dziwnych rzeczy. Jakaś częśćka mnie nie chce odejść, żebym odnalazł sens mojego bytu.

- I jeszcze nie wiesz, co to jest?
- Nie.
- Musisz dobrze poszukać.

Zabrał mi plecak.

- Wyrzuca mnie pan?
- Nie, po prostu wyruszasz z misją, sam.
- Nie mam pańskiego daru.
- I nie będziesz ci potrzebny. Już odnalazłeś właściciela tego, co się zgubiło.

- Ale co mam odnaleźć? Gdzie?

Wskazał palcem moje serce.

- Ty musisz mi to powiedzieć.

I trzasnął mi drzwiami przed nosem.

Nagle do głowy uderzyły mi opary białego wina i chyba zapragnąłem umrzeć, ale tym razem w pełni.

Zjawiłem się tu, żeby zrozumieć, kim jest Antoine, ponieważ ten stary człowiek nadawał sens swojemu życiu, a rozumiałem, że nie wiem, kim jestem, że nie potrafię odnaleźć własnej drogi. Odszedłem jeszcze bardziej zdezorientowany, niż przyszedłem. Mimo to właśnie w tej chwili, patrząc, zacząłem się tego domyślać.

Nie mogąc zmierzyć się z paryskim słońcem i hordami ludzi, wróciłem do domu, otworzyłem szeroko wszystkie okna, żeby pozbyć się oparów samobójstwa.

Krażyłem po mieszkaniu. Widok jakiegokolwiek butelki alkoholu na

stoliku, w koszu na śmieci albo w lodówce przyprawiał mnie o mdłości tak silne, że bałem się, że wypłuję wnętrzności.

Nie mogłem zasnąć. Nie mogłem wegetować przed telewizorem albo Internetem. Nie chciałem się już otumaniać, uciekać. Pragnąłem żyć. Nawet gdybym potem miał ze sobą skończyć. Ale nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

W końcu osunąłem się na sofę.

Potrzebowałem rozmowy. Niezobowiązującej. Chciałem zdać się na przypadek i zaufać mu.

Polów telefoniczny.

Jednak nagle dostrzegłem cały bezsens takiego działania. Po co?

Kartkowałem notesy z bezpieczeństwa numerami. Ile tysięcy takich? Co się z nimi stało?

Pomyślałem o ludziach, z którymi czasem rozmawiałem.

Pomyślałem o tej, która powiedziała, że jeśli znów na nią trafię, spotkam się. I to miałoby sens.

Ale przypadek nigdy nas ponownie nie połączył.

Jade. Miała na imię Jade.

Patrzyłem na te wszystkie numery.

Zanotowałem jej telefon na marginesie. Jednak wiedziałem, że już go zmieniła - powiedziała mi, że to zrobi. Wybrałem go, żeby sprawdzić.

Głucha cisza. A potem anonimowy głos nieistniejącej kobiety, który powiedział mi, że ten numer też nie istnieje. Znalazłem się w nie-świecie nie-istnienia.

Teraz Jade to inny numer. Nowo narodzony.

Być może właśnie jeden z tych. Być może przypisano jej jakiś z tych bezpieczeństwa numerów, które kolekcjonowałem.

Spojrzałem na pierwszą stronę pierwszego notesu.

Szalony pomysł. Idiotyczny. Obląkańczy.

Ale zdołał mnie rozbawić.

Wybrałem pierwszy numer. Nic. Pustka. Niebyt.

Drugi. To samo.

I tak dalej przez prawie dwadzieścia stron.

Nikt nie wie, ile dziewiętnastu, nieprzypisanych nikomu numerów można wybrać w ciągu jednego dnia i jednego wieczoru. Nikt oprócz mnie.

Otóż półtora notesu.

Wiem o tym, bo to zrobiłem.

Zaledwie dziesięć znalazło właścicieli. To mało. Rzecz jasna, natiychmiast wykreśliłem je ze swojego spisu.

Nazajutrz kontynuowałem połów - doszedłem do końca drugiego notesu przed południem i sięgnąłem po trzeci.

Nie chodziłem już do zoo, znudziło mi się. Miałem trochę oszczędności i skromne potrzeby, mogłem przetrwać przez jakiś czas. Priorytetem było przeżyć. A przeżycie zależało od stukania w klawisze plastikowej słuchawki, żeby usłyszeć, jak kobieta, która nie istnieje, oznajmia mi, że próbuję się połączyć z nieistniejącymi ludźmi. Albo już. Albo jeszcze.

To był obłąd. Ale ja to lubiłem. Czuję swego rodzaju podniecenie.

Byłem pierwszym badaczem nicości. Byłem pionierem. Szperałem w nie-świecie, naciskając zielony klawisz „połącz”, i wracałem do owczarni pomiędzy kolejnymi próbami, wciskając ten czerwony.

Przez całe popołudnie maltretowałem sobie ucho, podkreślałem każdy sprawdzony numer i przechodziłem do następnego. Tak dotarłem do końca trzeciego notesu.

W tych nielicznych przypadkach, kiedy dochodziło do spotkania, skracałem rozmowę do minimum i rozłączałem się tuż po słowach: „To pomyłka”.

Wieczorem czułem się jak wrak człowieka - zawlokłem się do łóżka i zasnąłem bez kolacji.

Trzeci dzień poszukiwań.

Zaczynałem rozumieć Krzysztofa Kolumba, Ernesta Shackletona i Neila Armstronga. Trudny jest los poszukiwaczy przygód, ludzi przemierzających nieznaną ląd. Niełatwo w tym wytrwać. Największym wrogiem człowieka jest wówczas on sam. Ale w moim przypadku „ja” stanowiło moją motywację, gdybym bowiem nie kontynuował, to „ja” prawdopodobnie by umarło. Taka możliwość wydawała mi się w każdym razie bardzo realna.

Nie wiem, dlaczego to robiłem. Gdybym jakimś cudem odnalazł tę Jade, to czy cokolwiek mogłoby ulec zmianie? Czy moje życie nabrałoby większego sensu?

Wiedziałem tylko, że zapełnienie tych notesów pochłonęło wiele godzin mojego życia, choć wtedy było tylko błahym zajęciem. Dziś okazało się, jaki był cel ich istnienia.

Wybierałem numer za numerem. Czasami mieszały mi się cyfry. Musiałem przez minutę wpatrywać się w ścianę, żeby moje oczy odzyskały zdolność widzenia.

Trzeciego dnia, kiedy przestawałem już jasno myśleć, tuż przed siedemnastą, w słuchawce usłyszałem kobiecy głos:

- Halo?

- Dzień dobry, czy mógłbym mówić z Jade?
- Jade? Nie, to pomyłka, nie znam żadnej Jade.
- Przepraszam.

Jednak ten głos nie był mi obcy. Zawahałem się.

- Miłego dnia - powiedziała jeszcze kobieta.

Zanim zdążyła odprawić mnie w pustkę, rzuciłem:

- Chwileczkę! My się chyba znamy.
- Nie wiem. A kto mówi?
- Pierre.

- Nie, bardzo mi przykro, ale musiał pan pomylić numery. Nie znam żadnego Pierre'a.

- To tak popularne imię, że w pani otoczeniu z pewnością jest ktoś, kto je nosi.

- I to miałby być pan?

- Być może. A jeśli nie, to proponuję, że będę pani Pierre'em. I już będzie pani знаła jednego.

Milczenie.

- Halo?
- A gdzie pan poznał tę Jade, której pan szuka?
- Tu. To znaczy przez telefon.

Znow zapadła cisza, ale dwa razy dłuższa.

- Jak pan to zrobił? - zapytała w końcu.
- Ale co?
- Jak pan mnie znalazł?

Moje serce się obudziło. Przyspieszyło. Poczzerwieniało. Istne ferrari.

- To pani?
- Tak.
- To dlaczego powiedziała mi pani, że nie zna Jade?

- Sprawdzał pan wszystkie numery we Francji od naszej poprzedniej rozmowy?

- Można tak powiedzieć.
- Jest pan szalony.
- Można to tak ująć.

- Szuka mnie pan przez cały ten czas. To było kilka miesięcy temu!

- Czyli nie nazywa się pani Jade?

- Przykro mi.

- A przecież umówiliśmy się, że nie będziemy kłamać.

- Nie znałam pana. To było jak gra. Poza tym wydaje mi się, że powiedziałam, że można skłamać, podając imię, ale nie w żadnej innej

sprawie.

- Tęskniłem za panią.

- ...

- Przysięgam, nie plotę bzdur. Często o pani myślałem. To było piękne spotkanie.

- ...

- Sprawiam wrażenie psychopaty, tak?

- Tak.

- Czy pani życie od naszej pierwszej rozmowy jest piękne?

- Płynnie. A co u pana?

- Marnie.

- I dlatego przesiaduje pan przy telefonie, w pustce?

- Pewnie tak.

- Mimo wszystko to wręcz nieprawdopodobne! Jak pan na mnie trafił?

- Wspominała pani o szczęściu, o szczęśliwej gwiazdzie.

Prawdopodobnie towarzyszyły mi w tych poszukiwaniach.

- Coś panu wtedy obiecałam.

- To prawda.

- Rozczaruje się pan, Pierre. Bo rzeczywistość zawsze niesie rozczarowanie. Zawsze.

- Nie, o ile nie oczekuje się niczego szczególnego.

- Telefon jest jak Internet, wrzuca się w niego wiele swoich marzeń. A to musi prowadzić do rozczarowania.

- Czy to znaczy, że się spotkamy?

- Proszę mi podać jakiś sensowny argument, który mnie przekona, że nie powinnam się pana bać.

- Szczerze? Nie znam takiego argumentu. Chyba sam bałbym się spotkania ze sobą.

- Przynajmniej jest pan szczery.

- Możemy spotkać się w miejscu publicznym i obiecać sobie, że nigdy więcej do siebie nie zadzwonimy, że nie będziemy uparczywie próbować, jeżeli okaże się, że właściwie nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Cisza. Myślała tak intensywnie, że prawie słyszałem elektryczne wyładowania na jej neuronach.

- Do niczego pani nie zmuszam - powiedziałem cicho.

- I wcale nie czuję się przymuszana.

- Jeśli pani woli, może się pani rozłączyć i zapomnieć o tym.

Nie wiem dlaczego, ale to spotkanie przywróciło mi życie, odradzała się we mnie nadzieja. Nadzieja, że wszystko jest możliwe, że

jutro może okazać się interesujące.

- Złożyłam obietnicę, prawda?

- Tak, oczywiście. Mimo to, jeżeli pani chce, zwolnię panią z danego słowa. Nie chcę pani do tego zmuszać.

- Obietnica to obietnica, Pierre.

Usiadłem prosto. Moje kręgi skrzypiały jeden po drugim, jakby uczestniczyły w zbiorowej radości.

- W takim razie powinna pani podać mi swoje prawdziwe imię - powiedziałem.

- Mam na imię Constance.

Constance. Już na dźwięk tego imienia można się zakochać. Ta dziewczyna była jak prosta, równa, bezpieczna droga.

Rzecz jasna, wtedy nawet nie przeszło mi przez myśl, że skończy z wyprutymi flakami, na ścianach mojego mieszkania, rozbryzgana. Rozwleczona. Epilog jej życia już spisany, w zawieszeniu, aż po mój sufit.

I dlatego umówiliśmy się na spotkanie.

Na spotkanie ze śmiercią.

9

Roli życia nie można zmarnować. Trzeba być sobą.

Znaleźć odpowiedni ton. Wsłuchać się w cichy głos wewnętrzny.

Ponieważ tak naprawdę najtrudniejszym zadaniem w życiu człowieka jest wejść do końca we własną skórę, naprawdę się odnaleźć, nie okłamywać się.

Drugie bardzo trudne zadanie to nie nakładać maski w kontaktach z innymi ludźmi, nie próbować dobrze się sprzedać, nie przebierać się, żeby uwodzić. Dostrzegałem, jak na nasze miłosne gry wpływa poszanowanie pewnych kodów, w tym woli zaprezentowania się w jak najlepszym świetle, trzeba jednak zachować równowagę między „pokażę ci najlepsze, czym mogę cię przyciągnąć” i „oto jaki jestem - albo mnie chcesz, albo nie”.

Z Constance ta równowaga wytworzyła się zupełnie naturalnie. Nie musiałem się zastanawiać, kalkulować, odejmować ani dodawać.

Nasze pierwsze spotkanie nadało ton dalszej znajomości.

Kiedy ją zobaczyłem, siedziała w kawiarnianym ogródku, a promień słońca oświetlał jej twarz. Zatrzymałem wzrok na jej twarzy i reszta świata spowijała się mgłą. Dziewczyna była całkiem ładna, a w każdym razie nietuzinkowa. Czarne włosy opadały, zaczesane na jedną stronę. W kąciку ust, nad górną wargą, miała pieprzyk. A kiedy wzniosła na mnie orzechowe oczy, zamieniłem się w wiewiórkę. Zadurzyłem się w nich, chciałem je zatrzymać na zimę, może nawet na wszystkie zimy życia.

Przed sobą trzymała otwarty znak rozpoznawczy: książkę Davida Nichollsa *Dobry początek*. Podszedłem i dyskretnie uniosłem moją książkę. Powiedziałem, że wezmę powieść Françoise Bourdin i wybrałem *Nadzieje i obietnice*.

- Cała nasza historia zamyka się w tytułach - powiedziała.

- A prawda jest banalna: miałem na półce tylko to i Dostojewskiego...

- *Zbrodnię i karę?*

Skinałem głowę.

- Zły omen - stwierdziła.

Piła mleko truskawkowe. Nikt już nie pije mleka truskawkowego. To był dowód, jakiego potrzebowałem, żeby uwierzyć w jej oryginalność.

Usiadłem na wprost niej i długo się w nią wpatrywałem.

- Przestań, bo czuję się niezręcznie - wyznała w końcu.

Skrzywiła się. Im dłużej na nią patrzyłem, tym ładniejsza mi się wydawała. Jej uroda była progresywna. Jest piękno ślepe - ładne z daleka; piękno posągowe, przed którym można paść na kolana, ale nie żyć w jego bezpośredniej bliskości; piękno astygmatyczne - brzydota w świetle dziennym. Constance była pięknnością progresywną. Im dłużej się ją obserwowało, tym więcej dostrzegało się szczegółów przydających jej wdzięku.

- Dziwnie jest przypisać twarz do głosu.

Pokiwała głową.

- Nie oszukałeś mnie - stwierdziła.

- W jakiej sprawie? Mojego wyglądu?

- Tak. Jesteś całkiem przystojnym facetem, ale to oczy wyróżniają cię z tłumu. Gdyby nie one, byłbyś całkiem zwyczajny.

- Och.

Spojrzała na mnie nieco zaskoczona.

- No cóż, przykro to usłyszeć - przyznałem.

- Ale przecież to słowa, których sam użyłeś.

- Tylko że w moich ustach brzmiało to inaczej. Powiedz: pamiętasz dokładnie słowa, które wypowiedzieliśmy?

- Co do joty. A ty nie?

- Owszem. I właśnie to mnie zdumiewa.

- Można by pomyśleć, że tego dnia otaczała nas magia. To dlatego nie byłam zbyt zachwycona pomysłem spotkania. Rzeczywistość zabija magię.

- Czym się zajmujesz?

- Moja praca jest bezsensowna. Całkowicie. Traktuję ją wyłącznie jako źródło utrzymania. Mam za to różne hobby.

- Bardzo lubię słowo „hobby”. Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem, że hobby to takie małe istotki. Wszystko przez powieść Tolkiena o Bilbo.

Patrzyła na mnie bez cienia uśmiechu.

Poczułem, że muszę doprecyzować:

- Mam na myśli *Hobbita*. Powiązałem ze sobą te słowa, więc kiedy ktoś pytał, czy mam hobby, odpowiedziałem: „Nie, ale mam wymyślonego przyjaciela, to prawie to samo, tylko że on nie ma owłosionych stóp!”. W szkole długo uważano mnie za poczciwego

kretyna...

Uniosła brwi, jakby miała przed sobą wariata, który przekonuje, że może jej podać liczby, jakie padną w najbliższym losowaniu Lotto.

Mówić dalej. Szybko, szybko.

- Powiedziałas, że masz liczne hobby? - rzuciłem.

Z niezmaconym spokojem odparła szybko:

- Owszem, najważniejsze z nich to ucieczki.

- Ucieczki? - powtórzyłem ze śmiechem. - Dlaczego? Czyżbyś często trafiała do więzienia?

Wysilony dowcip.

A ona z pełną powagą:

- Właściwie żyję w więzieniu.

Ja, nagle bardzo zakłopotany, poczułem, że muszę znaleźć ripostę na miarę sytuacji, sięgnąłem więc po najsilniejszy argument, kwintesencję wszystkich moich myśli, wyłaniającą się w chwilach głębokiej rozpacz:

- Aaa.

Ona, najwyraźniej znacznie bardziej oswojona z tego typu skomplikowanymi relacjami, natychmiast uściśliła:

- Wciąż uciekam.

- Aa - powtórzyłem, żeby wzmocnić argument. - A teraz... czy teraz też uciekaś, żeby tu przyjść?

- Nie, teraz to naprawdę.

- Naprawdę? Hmm... nie rozumiem.

- Przez resztę czasu uciekam od życia, które mnie nudzi. Ale teraz się nie nudzę.

- ...

- Czytam tony romansów i oglądam dziesiątki filmów miesięcznie. Moje życie to nuda.

Westchnąłem... uspokojony.

- Już myślałem, że naprawdę siedziałaś w więzieniu.

- Nie wiem, czy to by było gorsze.

- Rozmawiasz z facetem, którego hobby to wydzwanianie do obcych ludzi, żeby z kimś pogadać.

- Fakt.

- A poza ucieczką od życia? Co robisz, kiedy tkwisz w tym więzieniu?

- Biegam, uwielbiam biegać. Chodzę na wystawy, nawet często, ale piekielnie mnie to nudzi. Nie rozumiem ludzi, którzy potrafią przez dwie godziny czytać objaśnienia przy eksponatach. Ja wolę rzucić okiem. Albo coś do mnie przemawia, albo nie - to wystarczy.

Po prostu ogarniam sztukę spojrzeniem.

- Ale po co chodzisz na wystawy, skoro cię to nudzi?
- Trzeba jakoś wypełnić czas. A dzięki temu wychodzę. Poza tym wszyscy chodzą na wystawy, więc ja też. Nie jestem aż takim baranem jak cała reszta. W dodatku mam tematy do rozmów z ludźmi.
- Często wychodzisz?
- Wieczorami? Nie. To znaczy, robię jak wszyscy, wychodzę, kiedy jestem sama, a kiedy kogoś mam, rzadko zdarza mi się spędzać wieczór poza domem.
- Szkoda, dobrze jest wychodzić, nawet kiedy jest się w związku.
- Masz rację. Ale tłum dodaje pewności, kiedy człowiek jest sam, a przytłacza, kiedy jest się we dwoje. To jedna z dziwnych konsekwencji życia w związku.

- Coś w tym jest. A inne hobby?
- Tak, już ci mówiłam, że mam ich mnóstwo. Prowadzę blog, który mówi o wszystkim i o niczym, ale to pozwala mi wypełnić czas. Uwielbiam wynajmować wóz kempingowy i zwiedzać różne regiony Francji. Kiedy tylko robi się ciepło, wyruszam w drogę. I kolekcjonuję różne rzeczy.

Wyprężyłem się. Ostatnia kolekcja, o której słyszałem, to samobójstwa, więc trudno się dziwić, że teraz stałem się nieufny.

- Oczywiście, zbieram książki, ale także wypchane zwierzęta, stare afisze filmowe, kapsle od piwa z całego świata, prezerwatywy, suszone kwiaty. Mam tego wszystkiego pełno.

- Prezerwatywy? - zapytałem, wyobrażając sobie dwie opcje, z których jedna przyprawiła mnie o mdłości.

Trochę zażenowana, wzruszyła ramionami.

- Zaczęłam, mając szesnaście lat, a potem nie miałam już serca ich wyrzucić.

Zdawało się, że nie przywiązuje zbyt dużej wagi do tego zbioru, czyli chodziło o gumki w opakowaniach. Honor ocalał.

- A twoja praca zarobkowa?
- Pokręciła głową.
- To bez znaczenia. A ty? Co robisz poza tym, że wieczorami nudzisz się aż tak, że wydzwaniasz do nieznajomych?
 - Zbieram w zoo w Vincennes łąjno zwierząt. Przyznaję, że to niezbyt romantyczne.
 - Nie, ale zabawne!
 - I jeszcze pomagam pewnemu starszuskowi w odnajdywaniu zagubionych rzeczy i ich właścicieli. Nic szczególnie pasjonującego.
 - Zagubione rzeczy? Musisz mi to wyjaśnić.

- Ten facet jest jak superbohater.
- Nie wierzę w superbohaterów.
- W takim razie można go nazwać... pewnego rodzaju aniołem.
Taka sama mina jak wtedy, kiedy mówiłem o Hobbicie.
- Nie wierzę w anioły.
- Domyślam się. Trzeba spotkać anioła, żeby w nie uwierzyć. On odnajduje... Prawdę mówiąc, nie ma sensu tego tłumaczyć, musiała-byś sama go zobaczyć.
- Ale przedtem musielibyśmy postanowić, że będziemy spędzali razem więcej czasu - rzuciła z drwiącym uśmiechem.
- Tak... oczywiście. A masz na to ochotę? Nie chciałybyś lepiej mnie poznać?
- Próbujesz mnie poderwać, czy proponujesz ewentualną przyjaźń?
- Nie wiem. Najpierw musielibyśmy trochę się o sobie dowiedzieć.
- W takim razie wybierzmy się raz czy dwa do muzeum, w ten sposób przekonamy się, czy to ma sens.
- Nigdy nie słyszałem o muzeach jako kryterium doboru par.
- Przecież to proste. Jeżeli będziesz ciągle zrzędził, marudził przy wyborze wystawy, krytykował dobór obrazów, czytał dokładnie wszystkie informacje i snuł metafizyczne rozważania nad każdym płótnem, podczas gdy ja zachowuję się zupełnie inaczej, to już wiemy się, że diametralnie się różnimy.

Nie przekonała mnie ta argumentacja, ale jej uroda wystarczała za dwutomową rozprawę, a 90 C, oceniając na oko, skłaniało mnie do wyłączenia mózgu i pójścia za nią na oślep, choćby w to jedno popołudnie.

Ale z Constance wszystko było klarowne. Mówiła to, co myślała, a ponieważ myślała to, co mówiła, sprawa była prosta. Odsłaniała przede mną swoją normalność, skłaniając mnie automatycznie do nieukrywania mojej nienormalności. Bawiły ją moje komentarze, czasem cyniczne, śmiała się z mojej obojętności, uważała, że jestem zabawny, kiedy mnie wcale się tak nie wydawało, ignorowała mnie, gdy chciałem ją rozśmieszyć, a w końcu ruszyła, trzymając mnie za rękę.

Już wieczorem miałem wrażenie, że nikt nie zna mnie lepiej niż ona, po raz pierwszy od dawna niczego nie ukrywałem, nie maskowałem - byłem sobą. I chyba spodobało jej się to, co zobaczyła. Odprowadziłem ją na dworzec, a przy pożegnaniu zapytałem, czy chce się ze mną jeszcze spotkać.

- Bo ja bym tego chciał - dodałem, czując, że muszę to wyjaśnić jak dziecko.

- Spędziliśmy razem bardzo miłe chwile, więc chętnie się zgadzam.

Obserwowaliśmy się niemal z czułością, lekko zawstydzeni.

Mój organizm wziął nade mną górę - ten potwór był jej spragniony. Gotów na wszystko, by wytrysnąć fontanną życia.

Chwyciłem ją za ramię i zbliżyłem się. Uwolniła się z łagodnym uśmiechem.

- Pocałunek jest przedśmionkiem miłości - powiedziała. - A ja nie chcę się spieszyć. Jeżeli się pocałujemy, błyskawicznie skupimy się na cielesności. Mam wrażenie, że dziś ludzie odebrali pocałunkowi charakter sacrum, choć przecież w mowie ciała znaczy on „kocham cię”. Popatrz na pary, które już się nie całują - one przestały się kochać. Może nawet czują do siebie odrazę. Chcą nadal uprawiać seks, żeby sobie ulżyć, ale nie mówią sobie tego cielesnego „kocham cię”, naprawdę się całując. Uważam, że pocałunek ma ogromne znaczenie. Nie chcę ani go degradować, ani przyspieszać. Rozumiesz?

Skinałem głowę, chociaż moje prawdziwe ja w tej chwili wcale się z nią nie zgadzało, rozumiejąc tylko, że jeszcze przez jakiś czas będzie musiało pościć.

Pocałowała mnie w policzek i dotyk jej słodkich ust wystarczył, by przyprawić mnie o dreszcz.

Rozczuliłem się. Cholera jasna!

Niesamowite, ile szkód może wyrządzić człowiekowi silna depresja.

Odprowadzałem Constance wzrokiem, gdy szła przez halę dworca. Potem wróciłem do domu.

Na wycieraczce czekała na mnie niespodzianka. Zwykle pod drzwiami ludzie znajdują list, bukiet kwiatów albo ładnie zapakowaną paczuszkę.

Ja ujrzałem skulonego staruszka.

Antoine'a.

Siedział oparty plecami o drzwi i na mój widok dzwignął się z trudem. Ledwie się wyprostował i odetchnął, a spokojny jak zwykle, powitał mnie uśmiechem.

- Co pan tu robi? - zapytałem. - Znalazł pan moje klucze, tak?

- No nie, jeszcze nie - odparł nieco zafrasowany.

- W takim razie co pana sprowadza?

- Mam ochotę na dobrą kawę.

- Chce mi pan o czymś powiedzieć?

Zawahał się.

- Nie.

Był zakłopotany. I dlatego stał się kłopotliwy. To słowo, użyte w liczbie pojedynczej, ma silną tendencję do przechodzenia w liczbę mnogą. Byliśmy zakłopotani. Obaj.

- Aa.

- Tak tylko chciałem porozmawiać. Dla przyjemności - dodał, sam nie wierząc w to, co mówi.

Antoine był interesującym człowiekiem. A poza tym miał przecież rację. Trzeba korzystać z każdej okazji kontaktu z ludźmi, których się ceni. Bo można ich stracić w jednej chwili.

A przecież ciążyła na mnie klątwa, zwłaszcza ja powinienem więc chwytąć wszystkie okazje.

Ledwie weszliśmy, a on ściągnął usta i wciąż trochę skrępowany oznajmił z wielką powagą:

- Otóż tak, Pierre, mam ci coś do powiedzenia.

- Świetnie, rozmowy są mniej irytujące, kiedy wypełniają je słowa.

- Ale to ci się może nie spodobać.

Należy zawsze zachować ostrożność, kiedy znajduje się na wycieracze staruszka. Zawsze. Bo staruszek na wycieracze nie może oznaczać dobrych nowin. Nigdy.

8

Jego słowa wprawiły mnie w osłupienie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że właśnie to usłyszę z ust Antoine'a.

Przygotowałem się na prośbę, bym już mu nie towarzyszył, albo na wiadomość, że poderwał babcię z alzheimerem, bo znalazł w pobliskim sklepie jej wózek z zakupami. Przyszło mi nawet na myśl (w krótkim przeblysku zanikających fantazji), że powiadomi mnie o odnalezieniu Ophélie. Choć przyznam, że ta nadzieja była szalona, bo przecież byłem na jej pogrzebie, a w chwili kompletnego zagubienia, przed ceremonią, odważyłem się unieść wieko trumny, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ona. Znałem już trochę tę łajdaczkę... Moje noce i moje koszmary długo przywoływały tę chwilę nieznośnej rzeczywistości i czasem żałowałem, że uniosłem to cholerne wieko, jednak dzięki temu nie żywiłem głupich nadziei. Ophélie naprawdę umarła tamtego dnia, zamordowana przez tego śmiecia Hugona. Widziałem jej oblicze brzydkiej zmarłej. I wbrew temu, co mówią wszyscy psycholodzy świata, czasami lepiej pozwolić, żeby wieko przykryło prawdę.

Antoine siedział w moim salonie. Patrzył na mnie, trzymając w rękach filiżankę kawy, którą mu podałem.

- Długo się nad tym zastanawiałem - zaczął.
- To już coś.
- Chcę, żebyś zajął moje miejsce.

Przechyliłem głowę. Brwi same mi się uniosły. A usta ułożyły w grymasie, który zdradzał, że absolutnie nie rozumiem tego, co powiedział.

- Ja?
- Tak, ty.
- Ale...
- Doskonale się do tego nadajesz.
- Ale...
- Pokażę ci parę sztuczek, reszta sama wypłynie ze źródła, zobaczysz.
- Ale...

- A potem się w tym rozsmakujesz, jestem przekonany, że tak będzie.

- Ale...

- Wszystko już załatwiłem. Będziesz bardzo skuteczny. Skuteczniejszy niż ja, bo jestem już bardzo stary.

Przestałem trwonić energię na bezsensowne „ale” i skupiłem się na sprzeciwie - dla zasady, dla globalnego rytmu, ponieważ czułem, że to przedłuży zapał Antoine'a, a mnie daje czas na przygotowanie stosownej odpowiedzi, jednak nie starałem się już nawet oburzać, bo dzia-
dziuś i tak miał dużo do powiedzenia - bez względu na moje protesty.

- Ale.

- Ja kończę wszystko, twoim zadaniem jest kontynuować.

- Ale.

- Więcej wiary, poradzisz sobie. Będziesz bardzo dobry. Dokończę twoje szkolenie.

- Ale.

- A poza tym...

- Chwileczkę. A zaczął pan mnie szkolić?

- Od pierwszego spędzonego razem dnia. Nie dostrzegłem tego, chociaż było tak oczywiste! - zaśmiał się, lecz tylko jego to bawiło. - Przecież nigdy dotąd nie wziąłem nikogo pod skrzydła i powinienem zrozumieć, że spotkanie z tobą ma jakiś sens.

- Nie, Antoine, nie ma w tym żadnego sensu. Nie mam pańskich zdolności.

- Tego można się nauczyć. A poza tym masz własny dar.

- Ja? Dar? Jaki? To, że jestem przeklęty?

- Trafiasz na osoby, których szukasz. Zawsze.

- ...

- Z tego, co opowiadałeś mi o swoim życiu, wiem, że zawsze trafiasz na osobę, która jest ci potrzebna. Czy tego chcesz, czy nie, to dar. Trafiasz na osobę, która zaspokaja twoje pragnienia, twoje potrzeby. Jeśli zaczniesz szukać osoby, która coś zgubiła, w końcu ją znajdziesz. Jestem o tym przekonany.

Nie wiedziałem już, co odpowiedzieć.

Dlatego wróciłem do tego, co stanowiło moje zalety.

- Ale pan jest superbohaterem, a ja tylko narysowaną kilkoma kreskami postacią, elementem scenografii.

- Mylisz się. Każdy z nas ma nadwyżkę potencjału. Już czas, żebyś wyszedł z anonimowości i wykorzystał swój potencjał.

- Ale jeśli to zrobię, jeżeli zrobię za dużo, jak pan, to przecież ktoś gdzieś też będzie musiał mocniej pracować, żeby zrównoważyć

moje niezwykle pozytywne działania. Ktoś zły! Żeby na świecie panowała równowaga.

- Na pewno.
- A po co? Nie chcę ponosić odpowiedzialności za narodziny superzłego! Taki zaokrąglony świat z mniejszą dawką skrajności jest równie dobry!

- Mówisz tak, bo się boisz.
- Nie, tylko nie widzę w tym sensu.
- Sensem jest odnalezienie twojej drogi. Pełny rozwój.
- Jestem postacią z tła, z tych, których się nie zauważa, anonimowym elementem historii i bardzo mi to odpowiada.

- Ale to się zmieni. Historia plecie się zgodnie z głównymi nurtami, tymi masowymi, ale czasem lokalna burza, jakies trzęsienie ziemi, słowem - coś nieprzewidzianego może lekko zmienić te nurty, pobudzić je. Bądź jednym z takich mikrowstrząsów.

- A co... z zoo? Zwierzęta mnie potrzebują.
- Ich gówna będą takie same bez twoich usług, choćby nadzwyczajnych.

- A z czego mam żyć na dłuższą metę?
- O to już zadbałem. Przez lata zgromadziłem drobną sumkę, która pozwoli ci aktywnie działać i nie troszczyć się o materialne aspekty życia.

Po tylu latach spędzonych w tym ciele nagle odkryłem, że moje brwi mają niesłychaną zdolność popadania w osłupienie. Oczy o mało nie wyskoczyły mi z orbit.

- Ale dlaczego ja? - zapytałem w końcu.
- Ponieważ jest w tobie to coś, czego trzeba. I to tylko czeka, żeby dojsć do głosu.

- Myślałem, że przyszedł pan oddać mi klucze...
- Nie. Przyszedłem, ponieważ coś zgubiłeś. I pomogłem ci to odnaleźć.

- Co to takiego?
- Sens życia. Pamiętasz, co robię? Pomagam ludziom odzyskać to, co stracili.

- ...
- Tobie pomagam odnaleźć sens życia.
- Każąc mi opowiadać o telefonicznych połowach, wzbudził pan we mnie chęć, żebym do nich powrócił. Może właśnie tego miał mi pan pomóc szukać - odpowiedniej dziewczyny.

- Może, ale nie tylko. Ta dziewczyna przywróci ci równowagę. Ja dam ci cel.

- Nie wiem, Antoine...
- Zastanów się. Daję ci na to tydzień. Przekonasz się, że ci się uda. Nauczę cię. Pokażę ci, jak to działa. I będziesz w tym dobry.
- Ale czy naprawdę mam ochotę zaglądać za kulisy? Człowiek ani się nie bawi, ani nie boi, kiedy obejrzy pociąg widmo w biały dzień.

- Przyjdź w niedzielę, żeby mi powiedzieć, co postanowiłeś. Więcej wiary, Pierre. Jesteś odpowiednim człowiekiem. Zbyt długo spałeś. Nie pozwoliłeś, żeby świat skorzystał z twoich talentów, a to już marnotrawstwo. Najwyższy czas się obudzić. Rozleniwiły cię proste przyjemności życiowe zwykłych śmiertelników. Stań się tym, kim jesteś w głębi ducha. Obudź się. Ludzie cię potrzebują. Do zobaczenia w niedzielę.

Powiedziawszy to, wyszedł, a ja zostałem sam na sam z niemiłym wrażeniem, że jesteśmy dwoma aniołami, które budzą się po długiej i suto zakrapianej zabawie, żeby stwierdzić, że ich alkoholowy sen spowodował na ziemi wiele szkód.

Kolejny tydzień był dla mnie straszny. Wydaje mi się, że najgorszy w całym życiu.

Najpierw na moje konto trafił nieoczekiwany przelew. Była to tak wysoka kwota, że zadzwoniono do mnie na komórkę. Do mnie. Bank do *mnie* dzwonił. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Należałem do tych, którym wysyła się SMS-a, ostrzegając przed przekroczeniem limitu zadłużenia. Do takich jak ja się nie dzwoni, bo po co angażować pracowników tam, gdzie można posłużyć się maszyną i gdzie stawka jest zbyt niska, żeby trwonić czas? A teraz bank do mnie zadzwonił. I to co najmniej trzykrotnie. Tak, rozmawiałem z trzema różnymi bankierami.

Kwota nie mieściła się w okienku arkusza używanego w bankowości elektronicznej, musiano więc podać mi ten długi szereg cyfr przez telefon. Natychmiast poinformowano mnie, że tak wysoka darowizna jest opodatkowana, a suma podatku wystarczy do załatania rocznego deficytu w systemie emerytalnym. Prawdę mówiąc, nie przejąłem się podatkiem, wiedziałem, ile mi mimo wszystko zostanie.

Bankierzy powiedzieli mi, że pieniądze przelano z raju podatkowego, nie sposób więc ustalić nazwiska darczyńcy, a jednak nie miałem najmniejszych wątpliwości co do jego osoby.

Ten łajdak Antoine był bogaczem.

Dopuścił się ohydneho szantażu. Niedopuszczalnego. Zbrodniczego.

Czułem się, jakby chciał mnie kupić.

Z drugiej strony za taką cenę...

W takich chwilach samotność naprawdę ciąży. Nie można podzielić się z nikim wątpliwościami, słabostkami, wewnętrznymi konfliktami. Przez cały tydzień miałem wrażenie, że jestem biegunem północnym i że 90 procent moich lodów zapada się do oceanu, żeby mnie zatopić. Moje indywidualne ocieplenie klimatu miało twarz przesadnie poczciwego starszego pana, który zmuszał mnie, żebym stał się jego młodszą wersją.

Stać się dobrym. Być filantropem. Dawać swój czas, energię, uwagę obcym ludziom, niczego w zamian nie oczekując. Tylko że ja w zamian dostałem sporą sumkę, której nie miałbym czasu w pełni wykorzystać.

Wielokrotnie chciałem zadzwonić do Constance, żeby jej o tym opowiedzieć. Jak jednak beztrąsko budować związek z dziewczyną, jeśli na samym początku oznajmi się jej, że właśnie się dostało więcej kasy, niż można zarobić przez całe życie? Dlatego wybrałem politykę nieboszczyka: nic nie mówić, tylko czekać, aż to minie.

We wtorek przeżyłem więc coś w rodzaju zapaści. W środę szukałem danych statystycznych o rzeczach zagubionych w Saint-Barth, na Malediwach i na Bora-Bora - przecież kontrakt nie określał obszaru mojego działania. W czwartek wpadłem w dołek, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądało moje życie, jeśli poświęcę się wyłącznie czynieniu dobra. W piątek załamane się, myśląc o tym, co odrzucam. A potem, nocą, pomyślałem sobie, że przecież nic się nie stanie, jeżeli przyjmę forszę, ale nie będę robił z siebie błazna. Kto to sprawdzi? Antoine ze swego domu starców? W sobotę przez cały dzień przeglądałem oferty sklepów internetowych i powtarzałem sobie, że to wszystko może być moje. A już nocą doszedłem do wniosku, że nie mogę zatrzymać pieniędzy, nie wykonując pracy. To prowadziłoby do ściągnięcia na siebie złej karmy, do wzmocnienia klątwy - spadłaby nie tylko na mnie, ale i na dziesięć kolejnych pokoleń, a przecież dobrze wiedziałem, co znaczy żyć z klątwą. Musiałem się pozbyć tych pieniędzy, wyczyścić konto bankowe. Zagłodzić na śmierć tę obrzydliwie tłustą książeczkę oszczędnościową.

Dzień pański nadszedł zadziwiająco szybko.

Poszedłem do Antoine'a w porze obiadowej. Byłem rozdygotany, pocily mi się ręce.

Nie miałem pojęcia, co mu powiem. Nie chciałem zachować się jak Judasz, zdradzić go tylko po to, żeby zatrzymać pieniądze, ale nie byłem w stanie postawić krzyżyka na łatwym życiu.

Zapukałem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Ponieważ Antoine nigdy nie zamykał ich na klucz, bo zgubił go, o zgrozo, wieki temu, po prostu wszedłem.

- Antoine, to ja!

Zastałem go na kanapie. Wyglądał, jakby spał.

Ale Ophélie miała rację - po śmierci wszystkie mięśnie wiotczeją i nic nie jest już takie, jak za życia.

Toteż od razu wiedziałem, że nie żyje.

To był dla mnie wstrząs.

Teraz, czy tego chciałem, czy nie, byłem zabójczo bogaty.

7

Własnego psychologa traktuje się jak boję ratunkową - kiedy ocean życia jest wzburzony, a zmagający się z nim człowiek czuje się zbyt zmęczony, żeby spokojnie płynąć, w nim widzi nadzieję. Pod warunkiem, że ma do niego zaufanie. Bo mój raczej wepchnąłby mi głowę pod wodę i niemal mnie utopił, i to tylko po to, żeby udowodnić, że to on kontroluje sytuację.

Przekonałem się o tym, kiedy w ciągu kilku dni po śmierci Antoine'a mój telefon raz po raz dzwonił. Zawsze numer nieznanym. Konsekwentnie nie odbierałem. Miałem tylko nadzieję, że to mój psychoterapeuta i że moja klątwa w końcu spadnie na niego.

Nie odbierałem, zaciskając kciuki, żeby nie okazało się, że to Constance.

Przez cały tydzień przeglądałem prasę, ciekawy, co też pisze się o Antoinie. Jak na człowieka, który czynił tyle dobra, pisało się niewiele. Kolejny dowód, że w dzisiejszych czasach nawet największe dobro nie cieszy się szczególnym uznaniem. Pokazać w telewizji biust, zabić dwadzieścia pięć osób, wykrzykując nazistowskie hasła, albo zrobić coś idiotycznego, co trafi do Internetu - tak, to wystarczy, żeby pojawić się na pierwszej stronie Yahoo, ale jeśli chodzi o świętych, to naprawdę nie grozi im sława. Dobroć kończy *has been*.

Dla prasy, czyli dla świata, był to tylko starzec zmarły w swoim mieszkaniu, najprawdopodobniej z przyczyn naturalnych. Muszę zaznaczyć, że zadbałem, żeby zabrać jasiak, który trzymał na kolanach. To mogła być jego ulubiona poduszeczka do drzemki... ale równie dobrze narzędzie zbrodni. A ponieważ zgarnąłem dzięki niemu fortunę, stałem się idealnym podejrzanym, toteż wolałem zapobiec komplikacjom i przenieść rzeczony jasiak kilka metrów dalej. I tak miałem już dość kłopotów, nie chciałem znowu być podejrzanym w związku z kolejną zagadkową śmiercią. Zwłaszcza że gliniarze podchodzą bez zrozumienia do opowieści o klątwie.

Przyznaję, że przez kilka dni tak bardzo bałem się wizyty śledczych, że zapomniałem o smutku. Zresztą miałem do Antoine'a żal. O to, że wpakował mnie w to gówno, że przekazał mi wszystkie swoje

pieniądze, nie pytając mnie o zdanie, że narzucił mi tę głupią pracę filantropa. Potem, widząc, że nikt do mnie nie dotarł (bank zapewnił mnie, że nie ma możliwości ustalenia, skąd pochodzą pieniądze przebrane z rajy podatkowego), stopniowo odzyskiwałem spokój.

I wtedy ogarnął mnie smutek.

Wiedziałem, że będzie mi brakowało tego staruszka. Prawie się nie znaliśmy, jednak dla mnie był to już ktoś bliski. Przecież był jedynym żywym człowiekiem w moim notesie. W ten sposób sięgnąłem po listę przyjaciół z ostatniego roku. Ale to nie był notes, tylko cmentarz.

Właśnie dlatego tak długo wahałem się, czy nawiązać kontakt z Constance. Bałem się o nią.

Aż w końcu któregoś wieczoru przełamałem opory:

- Spotkamy się?
- Dobrze.

Cała rozmowa trwała dwie sekundy - wyczytałem to z ekranu iPhone'a. Dwie sekundy. Miałem nadzieję, że ta cyfra nie ma mocy przepowiedni dla trwałości naszej relacji.

Spotkaliśmy się.

Ta dziewczyna była silna. Błyskawicznie zauważyła, że chociaż bardzo się staram, coś jest ze mną nie tak.

Wyznałem:

- Umarł ktoś, kogo bardzo lubiłem.
- Krewny?
- Nie, nie był moim krewnym.
- Przyjaciół?
- Nie powiedziałbym.
- Kolega?
- Nie, nie był moim kolegą.
- A kim dla ciebie był?
- Prawdę mówiąc, sam nie wiem.
- Mentor?

Wzruszyłem ramionami.

- Do tego dążył.
- A ty nie?
- Nie, nie sądzę.
- Zawsze mamy prawo dokonać wyboru. Nawet kiedy życie zdaje się temu przeczyć. To kwestia priorytetów.

- To do mnie pasuje.

Uśmiechnęła się. Była cudowna, kiedy tak rozchyliła usta, odsłaniając zęby.

Ująłem ją za rękę. Nie sprzeciwiła się.

- Czy gdzieś jest grób tego pana, który ma nieokreśloną pozycję w twoim życiu?

- Tak. Ja kupiłem ten grób i opłaciłem pogrzeb. Nie miał rodziny. Zamiast powiedzieć, że kupiłem mu grób, powinienem być raczej przyznać, że zmarły to zrobił za moim pośrednictwem.

- To smutne. Gdzie został pochowany?

- Chcesz zobaczyć?

Skinęła głową i wkrótce zatrzymaliśmy się przy mauzoleum o zachwianych proporcjach. Przypominało miniaturową rzymską świątynię z kolumnami, frontonem i czarnymi drzwiami.

- To jakby... monumentalne - powiedziała Constance.

- Uznałem, że zasłużył na coś w tym rodzaju.

- Grobowiec takich rozmiarów?

- Hm...

- Żeby rzucał się w oczy?

- Ba... nie. Po prostu oryginalny grobowiec. Żeby głosił, że w jego wnętrzu spoczywa nadzwyczajny człowiek.

- Co ma znaczyć to imię?

Constance wskazała napis nad wejściem: „Święty Antoni Padewski”.

- Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. A ponieważ był dobrym, bardzo dobrym człowiekiem i mieszkał na ulicy Padewskiej... Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Rozumiem, to nawet niezłe, tyle że już zajęte.

Wzruszyłem ramionami.

- No i w dodatku to takie skromne - dodała ironicznie.

Znów wzruszyłem ramionami.

Potem spacerowaliśmy po cmentarzu, rozmawiając o nas, o naszym życiu. Potrafiła sprawić, że mówiłem znacznie więcej, niż mógłbym przypuścić. Powiedziałem jej o wszystkim. Poza pieniędzmi. Ta sprawa wciąż jeszcze za bardzo mnie krępowała.

Ona także sporo mi o sobie powiedziała. Okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Jej obecność działała na mnie kojąco. Jej łagodność, szczerłość i otwartość były jak miód na moje serce.

Niespełna rok temu zakochałem się w innej dziewczynie na innym cmentarzu. Posępne echo życia przyprawiło mnie o dreszcz, ale nie dałem tego po sobie poznać. Już jako dziecko bardzo lubiłem cmentarze. Myśl, że można ciągle spać, zasnąć na zawsze, urzekła mnie jako pięciolatka. Matka, przypominając mi o tym, dodała, że to niesprawiedliwe wobec mojego brata, który z pewnością wolałby nie spędzać tak całego życia. Moja matka...

Constance była gorącą wyznawczynią sofrologii, harmonii duchowej. Opowiadała mi o niej tyle i tak przekonująco, że skończyliśmy w moim mieszkaniu, medytując przez półtorej godziny. Z inną na pewno bym usnął, rzuciłbym się na nią albo odszedłbym, żeby napić się piwa, w oczekiwaniu, aż zakończy ezoteryczne zaklęcia. A jednak zostałem, skoncentrowałem się na sobie, na swoim oddechu, na sercu. Wczułem się w swój układ krążenia, w podeszwy, czubki palców, a kiedy już zamilkł jej monotony, kojący, niemal hipnotyzujący głos, poczułem się całkowicie odprężony i pogodzony ze sobą.

Nasza relacja tworzyła się krok po kroku w rozmowach, a rozmawialiśmy dużo, właściwie przez cały czas, braliśmy się w ramiona, oddychaliśmy i czasem nasze usta się muskały, ale nie posuwaliśmy się dalej. Nie wiem dlaczego.

Będę szczerzy - w moich oczach Constance miała doskonale ciało stworzone do rozkoszy i nie mogłem odpędzić od siebie myśli o tym, by się z nią kochać. A mówiąc zupełnie szczerze, myślałem wyłącznie o tym, żeby ją zerznąć. Wyobrażałem sobie, jak obracam ją na wszystkie strony, a ona ocieka mną, obnażona, porażona moją żądzą, zniesmaczona tym brudnym pieprzeniem się, tymi zwierzęcymi krzykami, tym nieokiełznanym, brutalnym parzeniem się, które pachnie seksem jak kwiat miłością. Na ogół po takich wizjach miałem wzwód jak lew. Czuję się jak dotknięty priapizmem facet, który właśnie połknął całe opakowanie viagry. Jednak kiedy byliśmy razem, nic się nie działo. Górę brała potrzeba rozkoszowania się każdym etapem, unikania pośpiechu.

Powtarzałem sobie, że pierwszy pocałunek będzie niezapomniany.

Ale to, jak się pieprzyliśmy za pierwszym razem, pójdzie w zapomnienie.

Zbytne podniecenie zabija podniecenie. A raczej czyni je zbyt krótkim - pień nacięty po raz pierwszy po długim czasie wylewa soki niczym nadmiar życia... Dobra, nie będę silić się na metaforę.

Całymi tygodniami snuliśmy się po ulicach Paryża, wpadaliśmy na wystawy i ledwie zerkaliśmy na eksponaty, urządzaliśmy sobie pikniki w miejskich parkach i ogrodach, zachodziliśmy do Mickey, żeby przez cały dzień karmić się dziecięcymi marzeniami. Współczesny świat mnie zafascynował - mając trochę forsy, można odnaleźć zapomniane, niemal chłopiące emocje. To magia tego stulecia, kiedy naprawdę wszystko da się kupić.

Czasami kończyliśmy dzień u mnie - oczyszczaliśmy się, wsłuchani w głos Constance, która prowadziła te sofrologiczne sesje.

Zanim ją poznałem, napisałbym, że sofrologia to czysta głupota.

Że to jakaś gówniana teoryjka, w sam raz dla ludzi lekceważących czas, pieniądze i zdrowy rozsądek. Kiedy jednak leżałem albo siedziałem po turecku, a jej głos prowadził mnie ku temu, co najważniejsze w moim ciele, odpoczywałem. Gdy kończyliśmy, byłem doskonale wsłuchany w siebie. Wchodząc w głąb własnych trzewi, eksplorując to, czym cieleśnie jestem, miałem wrażenie, że zamykam niepotrzebne drzwi do pustych przestrzeni mojego jestestwa, że uwalniam się od męczących przeciągów. Można powiedzieć, że robiłem gruntowne wiosenne porządki, pozbywając się zbędnych warstw.

Stopniowo uświadomiłem sobie, że miłość do Ophélie ogłupiła mnie, rozczuliła, przesłodziła do granic możliwości. Związek z Constance uduchowił mnie, sprawił, że nie byłem już głuchy na siebie, na swoje ciało, na to, czym w istocie jestem.

Krótko mówiąc, ona także robiła ze mnie głupca, ale inaczej.

Wcale nie interesowałem się bardziej światem zewnętrznym, nie stałem się lepszy ani życzliwszy wobec ludzi, jednak pewne wewnętrzne napięcia zelżały. Wyciszyłem chór niezgodnych głosów, które nękały mnie dzień w dzień, pozbyłem się drobnych bóleczek i skoncentrowałem na tym, że tu i teraz jestem istotą najważniejszą. Z uwagą obserwowałem tkankę pierwotną i zyskałem na pewności siebie, sile, spokoju.

Być może ten dureń Antoine miał rację: miałem dar spotykania osób, które były mi potrzebne.

Po pewnym czasie Constance miała już klucze do mojego mieszkania - to jej, w Villetaneuse, było ciasne i okazało się, że jest nam łatwiej, gdy zatrzymuje się u mnie, kiedy ma ochotę. Nagrywała wideo na swojego bloga, który prowadziła z imponującą systematycznością. Mówiła w nim o niczym - taką przyjęła zasadę. Stwierdziwszy, że w Internecie można znaleźć wszystko i że nic lepszego nie zrobi, postanowiła założyć pierwszy blog, na którym nie dało się absolutnie niczego znaleźć. Najpierw powiedziałem jej, że właśnie taka jest koncepcja blogów, że niewiele można na nich znaleźć, jeśli nie liczyć nicości istoty ludzkiej w całej jej jednostkowej, banalnej i nieciekawej nędzy. Jednak Constance była innego zdania. Ustawiała laptopa to tu, to tam i filmowała się, opowiadając różne błahostki. Nie wyrażała opinii o filmach czy książkach - nie, to byłoby już „coś”. Opowiadała o pogodzie, ale nie wchodziła w szczegóły, które byłyby informacjami. Mówiła: „Dziś na dworze pogoda jest moim zdaniem nieprzyjemna”. Albo: „Rano czytałam, ale to była kiepska lektura”, nie wyjaśniała jednak, czy chodzi o książkę, o periodyk, o artykuł. „Jestem dziewczyną i staję się coraz starsza”,

„Jesteście na moim blogu, w mojej przestrzeni, w Internecie - dla mnie i dla was. Czyli dla nas wszystkich”, „Uwielbiam politykę, chociaż nic z niej nie rozumiem. To coś - mówić o niej, nic nie wiedząc. Jutro nie ma wyborów, mimo to pójdę zagłosować”... Przyglądając się jej uważnie, odkryłem, że to prawdziwa sztuka polegająca na mówieniu przez kilka czy kilkanaście minut tak, żeby nie przekazać żadnej przydatnej informacji.

Któregoś dnia powiedziałem:

- Najzabawniejsze w prowadzeniu bloga o niczym jest to, że nikt na niego nie wchodzi!

Wtedy pokazała mi liczbę tygodniowych odwiedzin.

Ponad sto pięćdziesiąt tysięcy.

Jej blog był jednym z najpopularniejszych we Francji.

Nicość przyciągała ludzi.

Może to przemawiało do ich mózgownic.

Żyłem obok wielkiej kapłanki pustki.

Początkowo sądziłem, że to Francja *Joséphine ange gardien** tak ją uwielbia - ta poczciwa Francja, do bólu nijaka, która otumania cię poprzez idiotyczne programy, ale tak nie było. Constance przyciągała głównie młodych, spragnionych niczego, nie wiedzących, czego szukają na jej blogu, na którym i tak niczego nie dało się znaleźć, lecz wciąż powracających, żeby marnować czas i zdechnąć jako jeszcze więksi durnie niż teraz, pochłonięci przez ekran, przyprawieni o zawrót głowy przez tę otchłań, zupełnie jak komary, które lecą do żarówki, żeby śmiertelnie się poparzyć. Karmelizowali sobie rozum, tonąc w blasku komputera, a resztki ich mózgu czuły spaleniznę. Nic, pustka tego bloga to światelko w tunelu ich egzystencji.

* Popularny serial (przyj. tłum.).

A potem zrozumiałem, że wszyscy ci ludzie są tacy jak ja.

Szukali sensu.

Tego, kim są. Tego, co robią.

Sensu swego życia.

Sensu życia.

Szukaliśmy kierunkowskazów, wyjaśnień. Skąd mieć pewność, że w końcu się zatriumfuje? *Że... wygra się w życiu?*

Nie było celu. Nie było ostatecznego sensu. To właśnie uświadomiłem sobie dzięki znajomości z Constance.

Życie to tylko podróż w nieokreślonym kierunku. Bo koniec się nie liczy, nie istnieje. U kresu jest tylko nicość. Ważne jest wyłącznie to, co widzimy, co czujemy teraz, podczas podróży.

Życie to tylko błysk świadomości w wieczności.

Constance, szerząca kulturę niczego, pozwoliła mi odkryć te prawdy o wszystkim.

I przez wiele tygodni poznawaliśmy się i sprawialiśmy, że było nam dobrze, zanim wreszcie się pocałowaliśmy. A całowaliśmy się jak para nastolatków, nieśmiało. Potem namiętnie, jak kochankowie. Ale nie przekroczyliśmy granicy ciała.

To było nieuniknione. Wiedziałem, że lada chwila nasze ciała zderzą się ze sobą, dążąc ku jedynej apoteozie: upojeniu.

Ale ziemia w najlepszym razie jest dla człowieka czyścem.

I ledwie zacząłem marzyć o euforii, o rozkoszy, gdy tak bliska spełnienia obietnica szczęścia prysnęła jak bańka mydlana.

Rozbryzgała się po ścianach strugami krwi.

Constance została zmasakrowana. Wypatroszona.

Wtedy właśnie zrozumiałem, że mężczyzna musi szukać spełnienia w trzewiach swojej kobiety. To one dają mu zaznać rozkoszy, one dają życie i tworzą tę, która stoi u jego boku, by wspólnie stawić czoła krótkiemu doświadczeniu, jakim jest życie.

Wiem o tym, bo należę do nielicznych, którzy mogą powiedzieć, że na własne oczy widzieli raj.

Pewnego dnia ujrzałem go, gdy rozciągał się przede mną. Krwa-
wił.

Mój raj utracony.

6

Jestem uosobieniem agonii. Cała literatura świata nie zdoła opisać cierpień człowieka, który po raz ostatni patrzył na raj utracony, wiedząc, że nic już nie da się zrobić.

Ale ten gliniarz, który obrzucił mnie ostrym spojrzeniem, wcale się tym nie przejmował. On chciał tylko jednego: prawdy. Najlepiej jego prawdy, bo odpowiadała mu znacznie bardziej niż moja.

- Skoro opowiedziałeś mi już o swoim życiu i działaniu, to może wreszcie to z siebie wyrzucisz? - zapytał.

- Mógłbym jeszcze bardziej skupić się na Constance, powiedzieć panu, jak wspaniałe były te tygodnie, które spędziliśmy razem, ale wydaje mi się, że zrozumiał pan już najważniejsze.

- Potwierdzam. Zrozumiałem.

- Zresztą czasami słowa nie wystarczą, by przekazać to, co dzieje się w głowie człowieka. Prawdę mówiąc, historię Constance i moją można zamknąć w jednym słowie: harmonia. Tak, to takie banalne.

- Dlaczego w takim razie ją zabiłeś?

Zamknąłem oczy. Jediną osobą, którą chciałem zabić, był on. Wyobrażałem sobie nawet, jak wstaję, chwytam obiema dłońmi jego głowę i obracam ją z całej siły. Wydawało mi się, że kiedy usłyszę posępny chrzęst i wyczuję nagle zwiócenie mięśni tego gliny, osiągnę stan bliski orgazmu. Bo ten śmieć mówił do mnie o Constance jak o aktach sprawy, bo oskarżał mnie, że ją zniszczyłem, bo zaledwie kilka godzin wcześniej znalazłem ją poszarpaną i byłem u kresu wytrzymałości psychicznej, na skraju obłędu, gotów popaść w szaleństwo, byle tylko trochę odpocząć.

- To nie ja - powtórzyłem tylko.

- Pierre, przestań nas traktować jak półgłówków, to się stało u ciebie, nie ma śladów włamania, a sąsiedzi słyszeli, jak krzyczeliście! Nie masz pod ręką nikogo, na kogo mógłbyś zrzucić winę! Nie wspomnę nawet, że nie masz żadnego alibi!

- Spacerowałem po Paryżu.

- Jeżeli nie uchwyciły cię miejskie kamery, to nigdy nie zdołasz tego udowodnić.

- Wydawało mi się, że we Francji obowiązuje odwrotna zasada, że to wy musicie udowodnić mi winę? Nic nie zrobiłem. Niczego nie muszę udowadniać.

- Skoro to nie ty, to kto? Kto z twojego otoczenia mógłby ją zabić? Kto, skoro nie masz nikogo?

Nie wiedziałem. Cierpiałem jak ukrzyżowany.

A on wbił gwóźdź:

- Nie było włamania, Pierre, a to znaczy, że albo morderca miał klucz jak ty, albo sama mu otworzyła, czyli go znała.

- Albo że potrafił wzbudzić w niej zaufanie.

Wszystko, czego dotykałem, do czego się zbliżałem i co na swój sposób kochałem, umierało. Jakbym miał w sobie zabójczy jad.

Zadałem sobie więcej pytań: czy jestem mordercą? Czy zabiłem tych wszystkich ludzi? Dlaczego?

Nie byłem obłąkany. Wiedziałem o tym. Gdybym ich zamordował, zdawałbym sobie z tego sprawę. To byłoby wypisane na czubkach moich palców, pod poczerwieniałymi od ich krwi paznokciami. Ich martwe twarze dręczyłyby moją duszę. Jedna po drugiej. Co noc wyłaniałyby się z mojej podświadomości.

Jednak Antoine miał rację. Klątwa oznaczała, że zrobiłem coś złego. O co ktoś lub coś ma do mnie żal. Czy teraz mści się na mnie?

Czy porzucenie pierwszego życia było aż tak ciężką zbrodnią, bym zasłużył na tę straszliwą karę? Czy Bóg mógł mieć mi za złe, że odrzuciłem życie, które mi dał, by samodzielnie zbudować sobie inne? Czy między nim a mną toczyła się rywalizacja? W desperacji rozważyłem nawet hipotezę jego istnienia. O ile bowiem chętnie przetykam własne myśli biblijnymi odniesieniami - czasem ironicznie, czasem wyzywająco - to jednak zawsze wykluczam jakąkolwiek wiarę w jego byt. Był dla mnie częścią kultury i tradycji, w jakich mnie wychowano. Ale osaczony, zacząłem wierzyć. A przynajmniej zbliżyłem się do wiary. Czyż nie tak właśnie, u zarania dziejów, ludzie stworzyli religie? W poczuciu bezradności? Żeby nadać wszystkiemu jakiś sens, żeby nasze życie nie było pozbawione celu, żeby łatwiej znosić nieszczęścia, myśląc o tej części boskości, o sprawiedliwości, która spotka nas po śmierci?

Nie, to do mnie nie pasowało, musiałem odrzucić tę uciszającą lęk iluzję. Bóg w mojej sprawie stałby się kozłem ofiarnym. Moi zmarli nie zasłużyli sobie na kłamstwo.

Dlaczego tracę wszystkich, którzy są blisko mnie?

Dlaczego moje życie zabija?

Winy musiał istnieć. A ja ani przez moment nie dopuszczałem do

siebie myśli, że mógłbym nim być, podobnie, po chwili namysłu, odrzuciłem hipotezę obłędu, który mógłby wszystko wyjaśniać. Nie godziłem się też z myślą, że los się na mnie uwziął i najzwyczajniej nie mam szczęścia.

W takim razie kto? Na pewno ktoś, kogo znam albo znałem. Wystarczająco dobrze, żeby zrobić sobie z niego wroga. Moja kochająca na swój sposób matka? Mój nieobecny ojciec? Moja była - zdradzona, porzucona, zniszczona, wykorzystana, rozbita, zrozpaczona? Ophélie, królowa „Wmówiłam wam, że umarłam, ale ciągle żyję”, choć przecież widziałem, i to dokładnie, jej zmaltretowaną gębę w drewnianej skrzyni, tuż przed spuszczeniem tejże do głębokiej dziury?

Prawdę mówiąc, od początku wiedziałem, że są tylko dwie dość oczywiste opcje.

Hugo, który nadal krążył w pobliżu.

Albo ten owładnięty obsesją psychol, mój psychoanalityk.

Dlaczego? Dlaczego miałby mi to zrobić?

Zastanawiając się nad tym, dostrzegłem, że jest w nim coś nadprzyrodzonego. To, że pojawiał się nagle, zawsze we właściwej chwili, tak że stał się moją obsesją, aż któregoś wieczoru wyobrażałem sobie, że rozmawia ze mną na moście des Arts...

Przez wszystkie te miesiące zachowywałem się tak, jakbym nie dostrzegał jego obecności za moimi plecami, ponieważ w gruncie rzeczy uspokajała mnie świadomość, że jest tuż obok - nawet on, ten popapraniec - bo potrzebny był mi ktoś, kto by mnie pilnował, wiara, że nie jestem szalony, że moje dawne ja naprawdę istniało. On był na to dowodem.

Jego wszechwiedza była wręcz nieprawdopodobna, zupełnie jakby należał do gatunku istot wyższych. Jakby był aniołem stróżem. Sumieniem. Albo pasożytem umysłu...

Ale przecież wystarczyłoby, żeby włamał się do mojego iPhone'a - wiedziałem, że można zrobić to za pomocą specjalnej aplikacji. To tłumaczyłoby wszystko, co się stało.

Niemożliwe. Zwłaszcza że wiele razy działo się w cztery oczy, w zaciszu domu albo na ulicy - w różnych chwilach codzienności, która tworzy nasze życie. Nikt nie miał do niego wstępu, nawet ten psychopata psychoanalityk. Nawet on.

To nie trzymało się kupy.

Zostawał Hugo.

Z tego, co wiedziałem, uciekł i przebywał gdzieś na Bałkanach. Po co miałby z takim uporem mnie prześladować? Rujnować mi życie?

Co takiego zrobiłem mu w poprzednim wcieleniu?

Nie wiedziałem już, co o tym myśleć.

Siedzący naprzeciwko mnie gliniarz klasnął w ręce tuż pod moim nosem.

- Zasnąłeś? Twoją łaskę zmasakrowano, a ty sobie śpisz?

- Nie, tylko wpatrywałem się w powieki.

Powiedziałem to posępnym tonem, bo zaczynał mnie irytować.

- Świetnie, teraz zebrało ci się na żarty, ale zobaczymy, czy humor ci dopisze, kiedy staniesz przed sądem...

Siedziałem teraz przed brudną, pomazaną graffiti ścianą i gapiłem się w nią od kilku godzin.

Gliniarz wyciągnął mnie z celi wcześniej rano, może wręcz o świcie, zaprowadził do swojego maleńkiego biura i zabrał się do zmiękczenia mnie.

- Powiedz mi, czym ta twoja Constance się trudniła?

- Nie lubiła swojej pracy, nie chciała, żeby o tym mówić.

- To ty tak twierdzisz, ona raczej nie będzie już na nic narzekała.

Wbijał młotem kolejne gwoździe w moje ciało, dopełniając dzieła ukrzyżowania. Brutalna przemoc.

- Robiła to tylko, żeby zarobić na życie.

- Nie mów mi, że była dziwką!

- Skądże! Pisała.

- Co? Pisała książki?

- Tak. I wstydziła się tego.

- Dlaczego?

- Powtarzała, że to przynosi łatwe pieniądze, a przecież ona tylko opowiada, co jej przychodzi do głowy.

- Takie idiotyzmy jak na jej blogu?

- Nie, przeciwnie, całkiem sensowne powieści.

- W takim razie nie miała się czego wstydzić.

- No nie, ale ona się tego wstydziła. Uważała, że to jakby prostytuowanie umysłu. Zamiast sprzedawać ciało na godziny różnym mężczyznom, sprzedawała na kilka godzin swój umysł wielu ludziom. Przelewała na papier wszystkie obrzydliwe myśli, które wpadały jej do głowy i za trochę pieniędzy godziła się, żeby inni ludzie brali je i wplatali we własne. Coś w rodzaju psychicznego spółkowania z brudnymi myślami.

- Pisała powieści erotyczne?

- Nie, kryminały. Morderstwa, dużo krwi i cała masa degeneratów, w których głowach rodzą się niesłychane pomysły.

- Nie wiem, co w tym wstydlivego.

- Oczywiście, dla pana to codzienność. Jednak dla niej to był wysiłek - musiała obnażać to, co miała w sobie najpaskudniejszego. I właśnie za ten ekshibicjonizm dostawała pieniądze. Tego się wstydzi.

- *Wstydziła* się. Ona już nie żyje, zapomniałeś o tym, mały? Przecież ją zabiłeś.

O mało nie poderwałem się z miejsca, żeby chwycić spinacz, który leżał na biurku, wepchnąć mu go przez nozdrza, wbić w mózg i jak hakiem wyrwać obie półkule, jednak spokojny głos Constance natychmiast przemówił mi do rozsądku, przywołując wspomnienia wspólnej przeszłości. Gdybym nie miał za sobą tych wszystkich sesji sofrologicznych, to prawdopodobnie wpakowałbym się w tarapaty, bo po napaści na policjanta trudno byłoby dowodzić przed sądem mojej niewinności. Uspokoilem się. Sam się wyciszyłem.

- Straszny z pana gnojek - powiedziałem. - Ale nie mam ci tego za złe, to twoja praca.

Mierzyliśmy się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Potem znów zaczął się pojedynek na słowa, bo policjant robił wszystko, żebym pękł, żeby wyrwać ze mnie słowa przeczące temu, co powiedziałem wcześniej, sprawić, bym się zawahał, przyznał. Nie próbowałem chronić się przed tymi atakami, wiedziałem, że prawda sama się obroni. Odpowiadałem na wszystkie pytania i ani razu się nie zająknąłem. Wierzyłem, że nie znajdzie w moich zeznaniach żadnych nieścisłości. Byłem niewinny. Teraz nie miałem już co do tego wątpliwości. Zbyt mocno kochałem Constance i to, co tak cierpliwie budowaliśmy.

A kiedy po wielogodzinnym dręczeniu mnie powiedział: „Podaj mi choćby jeden solidny argument świadczący o twojej niewinności, a zostawię cię w spokoju”, odparłem znużony:

- Naprawdę myśli pan, że zmasakrowałbym taką śliczną dziewczynę, zanim zdążyłem się z nią przynajmniej raz przespać?

Wyczułem, że udało mi się zasiać w nim poważne wątpliwości.

Przez tyle godzin ograniczałem się do grzecznego udzielania odpowiedzi, a myślałem przede wszystkim o tym, kto mógłby to zrobić. Rozważyłem najrozmaitsze wersje zdarzeń. Przeanalizowałem każdą z nich.

Przed wszystkim jednak zastanawiałem się nad tym, jak do niego dotrzeć.

Telefon komórkowy Constance, odciski palców, DNA, zeznania wszystkich sąsiadów aż po Marsylię - wiedziałem, że policja się tym zajmie.

Pozostawała jednak sprawa, o której nie mogłem przestać myśleć już od wielu godzin. Wczoraj w południe, kiedy Constance została

zamordowana, była środa. A w środowe południa nagrywała wideo do swojego bloga. To był niezmienny rytuał. Powód był oczywisty - w środowe popołudnia najczęściej osób wchodziło na jej stronę, bo tego dnia młodzież nie ma po południu zajęć szkolnych.

Jeżeli istniała jakaś szansa, żebym dowiedział się, kto zrobił to mojej pięknej Constance, to dawał ją właśnie twardy dysk jej komputera.

Dlatego cierpliwie czekałem, aż gliniarz ze mną skończy.

A ponieważ nic na mnie nie miał, to musiał mnie wreszcie zwolnić.

Wydawało mi się, że od początku przesłuchania minęły dwa dni. Byłem w opłakanym stanie - kompletnie wyczerpany, zdezorientowany, cuchnąłem, jednak ile sił w nogach pobiegłem do domu.

Zabronili mi tam wracać, dopóki nie usuną pieczęci, ale gwizdałem na to.

Tam mogła się kryć prawda. Uchwycona przez maleńki obiektyw laptopa powieściopisarki.

Czy naprawdę można zaufać temu, co pochodzi z komputera powieściopisarza?

5

Z bratem wchłoniętym w życiu płodowym często utożsamiałem swoją intuicję. Jakby w trudnych sytuacjach był w stanie podpowiadać mi trafne rozwiązania. Chyba jednak nie słyszałem go, gdy siedziałem w areszcie, a przecież wychodząc z Quai des Orfèvres, myślałem tak jasno jak nigdy. Czy to efekt skrajnego wyczerpania psychicznego?

Zastanawiałem się nad tym, zrywając pieczęcie i wchodząc do domu. Czy wpadłem na własny trop przed policją, czy tylko się łudziłem?

Komputer stał na stole w salonie. Policja jeszcze go nie zabrała. Musiałem działać szybko, bo mogli się pojawić lada chwila.

Włączyłem go. Serce skoczyło mi do gardła, gdy zobaczyłem ekran zapisu kamery. A zatem do przejścia w stan czuwania kamera laptopa rejestrowała obraz.

Sprawdziłem czas ostatniego nagrania. To była godzina jej śmierci: 12.13.

Puściłem film, czując się tak, jakbym odbierał telefon od lekarza, który ma mi podać wyniki ważnych badań.

Moje serce bilo coraz szybciej.

Zobaczyłem ją. Constance. Piękną jak gwiazda. Promienną. Wyjątkową.

Teraz daleką. Nieosiągalną.

Zacisnąłem zęby. Łzy napłynęły mi do oczu.

Postawiłem tamę emocjom. Odciałem się od wszystkiego. Od cierpienia, od uczuć. Od siebie.

Zwracała się do kamery.

„Dziś rano chcę opowiedzieć wam o bezużyteczności mydła na brzegu umywalki, kiedy obok stoi mydło w płynie. To idiotyzm, bo tego mydła wcale się nie używa”.

Nie był to jej najlepszy materiał, bo przecież zaczynał mieć sens. Domyślałem się, że gdyby mogła go przejrzeć, usunęłaby go i nagrała nowy. Constance nigdy niczego nie przygotowywała, stawiała na improwizację.

Otworzyła usta, żeby coś dodać, ale wtedy za jej plecami rozległ

się jakiś hałas. Wstała i kiedy spodziewałem się, że zobaczę, jak odchodzi, pochyliła się i wyłączyła wideo.

Nie! Tylko nie to! Nie w tej chwili!

Przez całe popołudnie krążyłem po mieszkaniu.

Mimo wszystko wciąż towarzyszyło mi to przeczucie. Od dwóch dni nie dawało mi spokoju. Nie wiem, czy szeptał mi je do ucha brat, który nigdy naprawdę nie istniał, ale było nieodparte. Jak szeptane gdzieś puste słowa, którym należałoby przywrócić odrobinę treści, żeby je uchwycić.

Dlatego w końcu zrobiłem coś szalonego.

Wróciłem na moją dawną ulicę. Tam, gdzie mieszkałem, zanim postanowiłem odmienić swoje życie. Do czasów, kiedy nosiłem jeszcze imię Simon. Albowiem nie zawsze byłem Pierre'em. Nowe życie, nowa tożsamość.

Na mojej dawnej ulicy był mój dawny świat. Mój sklep spożywczy. Moja poczta. A nawet moja podstawówka.

Był też numer 7, który tak dobrze znałem.

Wszedłem na pierwsze piętro. Zadzwoiłem do drzwi, taka była procedura. Dokładnie pamiętałem te drzwi. Wejście do neutralnego mieszkania. Miejsca, w którym się żyje, ale i pracuje.

Drzwi gabinetu w głębi, po prawej, otworzyły się i ujrzałem jego twarz.

Przez długą jak wieczność minutę mierzyliśmy się wzrokiem.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział.

- To było tak oczywiste od samego początku - odparłem. - Nie chciałem przyjąć tego do wiadomości, a przecież to było oczywiste.

Wskazał ręką wewnątrz gabinetu.

- Przyszedłeś na ostatnią sesję?

Mój psychoanalityk miał na imię André. Znał mnie od zawsze. Wiedział wszystko, co w pewnym sensie czyniło go bliskim znajomym rodziny.

Zapytałem wprost:

- Dlaczego?

- Wejdz, to drzwi prawdy. Jestem twoim sumieniem. I otworzę się przed tobą.

- Skończ z tymi bredniami, André.

Mimo to wszedłem do pomieszczenia, które bardziej przypominało minimalistyczny i zaniedbany salon niż gabinet lekarski. Pachniało tam starzyzną, było duszno.

Wszędzie zalegał kurz.

A kiedy powiedział: „Jesteś mordercą, Pierre”, wiedziałem, że tym

razem ma rację.

4

To, co było *dobrem w nim*, zniknęło bez śladu. Jego oczy pały podłym cwaniactwem. Nawet emocje mogą być jak rak. Zło nie jest zewnętrzne, ono pochodzi od nas, ze złych intencji, z długo pielęgnowanych resentymentów, z wypaczonej wrażliwości. I rozrasta się, aż zatrjuje cały organizm. W spojrzeniu mojego psychoanalityka było coś nieludzkiego. Metastaza empatii, faza terminalna życzliwości.

Wiedział o tym równie dobrze jak ja.

Najpierw jednak musiałem się dowiedzieć. Chciałem zrozumieć.

- Dlaczego?
- Żeby cię chronić.
- Constance nie była zagrożeniem.

Ocean powściąganego gniewu wrzał we mnie, trawił moje trzewia.

- Przeciwnie. Była. Być może robiła z ciebie człowieka spokojnego, ale szarego, przygaszonego. Uciszyła te liczne głosy, które ożywiają istotę ludzką, chciała krok po kroku przemienić cię w byt bez wewnętrznego ognia. Zajęłaby moje miejsce, ale zrobiłaby to nieudolnie, niszcząc cię. Pozbawiając cię człowieczeństwa.

- Wciąż ta pańska obsesja, wiedzieć o mnie wszystko, wszystko kontrolować, prawda?

Już kiedy byłem dzieckiem, André zawsze wymagał, żebym o wszystkim mu mówił, chciał znać każdą moją myśl. Nawet najintymniejszą. To on pomógł mi się pozbyć wymyślonego przyjaciela. To on nauczył mnie, jak się pogodzić z ideą wchłoniętego brata. Zawsze wszystko wiedział. Wszystko. Aż eksplodowałem.

Odnalazł mnie. Ale ja uporczywie go odpychałem. Należał. Jak psychopata. Bo był psychopatą. Jakby musiał wypełnić świętą misję. Byłem dla niego wzorcowym pacjentem. Jak deweloper ma pokazowe mieszkanie, filar swojej działalności, najwspanialszy produkt, tak mój psychoanalityk miał *mnie* - krystalizację swojego życia zawodowego. Moja klapa równała się jego klapie. Jeśli nie byłem w pełni stabilny, jego zdrowie umysłowe szwankowało.

Rozumiałem to wszystko, przyjmowałem, wchłaniałem, stojąc z

nim twarzą w twarz.

Działał za moimi plecami na rzecz tego, co wydawało mu się dla mnie dobre. Żebym się rozwijał. Żebym żył pełnią życia. Bo moje szczęście było jego triumfem. To, że pewnego dnia nagle zniknąłem, doprowadziło go do szaleństwa. Przeszedł na drugą stronę.

Nie twierdzę, że początkowo był normalny... A zresztą czy normalny człowiek może zostać psychoanalitykiem? Ale moje kryzysy były jego kryzysami. Kiedy unicestwiłem moją poprzednią osobowość, rozszarpałem jego rozum.

I wszystko rozumiałem.

Zabił Michauda, żeby uchronić mnie przed prawdopodobnym zwolnieniem z pracy. Zabił Tess, ponieważ wiedział, że jestem tylko mężczyzną, więc wobec jej propozycji bez przyszłości prędzej czy później ulegnę, a to zagrozi mojemu związkowi z Ophélie, czyli także równowadze psychicznej. Zabił Ophélie, ponieważ w końcu mnie rzuciła. Chciał mnie zmusić, żebym ruszył dalej. Hugo nie ponosił za nic winy. Ale Hugo był wybuchowy, więc kiedy gliniarze go dopadli, nie mógł znieść myśli, że za nic trafi za kraty, uznał, że ze swoją przeszłością chorego psychicznie na pewno zostanie skazany, toteż zareagował tak, jak nie zareagowałby nikt inny: z pasją, przesadnie. Puścił do mnie oko, bo wiedział, że - pośrednio - jestem za to wszystko odpowiedzialny. Tak, wiedział o tym i chciał mi to powiedzieć. Nie miał do mnie żalu. Nie on, gotów wymordować cały świat, gdyby nie groźba więzienia.

Potem André zabił Antoine'a, ponieważ dzięki temu zyskałem bezpieczeństwo finansowe i nie musiałem podejmować decyzji o mojej przyszłości potencjalnego świętego.

Zabił ich wszystkich, żeby mnie chronić. Żeby urządzić mi przyszłość.

A Constance dlatego, że uczyniłaby ze mnie człowieka spokojnego.

Bo była rywalką. Bo Constance stała się balsamem na moją zranioną duszę. W przeciwieństwie do Ophélie i wszystkich innych, które tylko popychały mnie do ulegania słabostkom i wyuzdanym żądom.

Constance mogła na zawsze odizolować mnie od niego. Ponieważ przy niej stałbym się samowystarczalny. Ponieważ po raz pierwszy od ponad roku związałem się z prawie normalną istotą ludzką. To ona mogła sprawić, że i ja nareszcie zaakceptowałbym swoją normalność. Że żyłbym w zgodzie ze sobą.

W mieszkaniu, które znałem jak własną kieszeń, doznałem nagle

dziwnego wrażenia, podobnego do tego, jakie ma się, wracając po latach nieobecności do domu rodziców.

Czułem się prawie jak u siebie. Ale już nie jak u siebie.

Jeszcze jedno pytanie wisiało w powietrzu. O niemal nadprzyrodzoną wszechwiedzę psychoanalityka.

- Skąd pan wszystko o mnie wiedział? O tym, dokąd idę, o moich uczuciach, znajomych? Skąd? Pomyślałem nawet, że włamał się pan do mojego iPhone'a, ale to też nie wszystko tłumaczy.

Popatrzył na mnie i zobaczyłem siebie. Ta twarz przede mną była moja. Nie identyczna, bo z pewnymi różnicami, minimalnymi, jakby w lustrze uwidocznili się nieco inny aspekt osobowości, jakby czas odcisnął na mnie swe piętno. W pewnym sensie André był częścią mojej świadomości. Moim odbiciem. Uważałem, że mną manipuluje. Że chce, byśmy on i ja stali się jednością.

Zdawałem sobie sprawę, że w rzeczywistości widzę nie siebie, ale projekcję mojej podświadomości. Iluzję.

Bo zabijał prawdziwy André, nie ja.

I już rozumiałem. Wszystko się układało w całość. W tym pokoju wszystko znowu nabrało sensu. Bo to tu się uwarunkowałem. Mój psychoanalitik się mną posłużył. Wyłoniło się i słowo.

Hipnoza.

Wyłoniło się w tej samej chwili, kiedy ożyły wspomnienia.

Hipnoza!

Wiele sesji. André mnie wykorzystał. Wszedł na moje miejsce. Jakby był nie moją własną świadomością, ale podświadomością.

Głęboka hipnoza, sen. Zaplanowana długofalowo. A ja zapomniałem nawet, że kiedykolwiek byłem w tym stanie. André stosował ją przez lata. I pokrył ją fałdami mojej kory mózgowej. Jak zręczny krawiec ukrywa guziki w fałdach sukni.

Zasiał ziarenko, wrzucił je tak, by kiełkowało, rozsadzając mechanizmy mojej osobowości. I dbał, by wyrosła z niego roślina.

Moje telefoniczne połowy.

To on. To jego pomysł. W megalomańskim przekonaniu, że wie o mnie wszystko, i z chęci śledzenia każdego mojego kroku, sięgnął po tę metodę, uznawszy, że to najlepsza gwarancja mojego powrotu do niego.

Tak naprawdę to nie było ani wyobrażenie, ani metafora, gdy stwierdziłem, że mam nadzieję pewnego dnia natknąć się na siebie, mówiąc w pustkę. Dzwoniłem do nieznanomych. Czasami trafiałem na naprawdę nieznanomych, ale to był tylko szczegół gry. Cyfry wprowadzały mnie w hipnozę. Wybierałem je raz po raz, stopniowo

popadając w ten stan.

Autouwarunkowanie.

To dlatego każda sesja trwała tak długo. Proces trzeba było uruchomić. André przygotował mnie tak, żebym w domu systematycznie podnosił słuchawkę i wystukiwał cyfry aż do przesyty. Aż się pomieszają. Aż stracę orientację. Aż przełamie bariery. Jak w transie. Aż wprowadzę się w hipnozę i zadzwonię do niego, żeby o wszystkim mu opowiedzieć.

Stąd to poczucie blekautu.

Szukałem siebie. Szukałem swojej podświadomości.

I nadchodziła ta chwila, kiedy mój umysł zatracił kontrolę. Moje palce słuchały rozkazu i wybierałem numer André. Żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Mówiłem do ersatzu mojej podświadomości. W pustce hipnozy.

André wiedział o wszystkim. Od samego początku. Ponieważ poszukiwanie siebie w nicości bezpieczeństwa numerów w rzeczywistości było szukaniem *jego*, szukaniem opatrunku na duszę, reakcją na bezwzględny obowiązek.

- Jest pan zwykłym śmieciem - powiedziałem. - Uważa się pan za Boga.

- Jestem Bogiem. *Twoim* Bogiem. Jestem tobą, Pierre. Albo Simon, jeśli nie zapomniałeś, kim kiedyś byłeś.

- W takim razie Bóg to perwersyjny manipulant.

Spojrzałem mu prosto w oczy i zrobiłem to, na co nigdy nie odważył się żaden człowiek. Wyzwolilem mój świat spod boskiej tyranii.

Zabiłem Boga.

3

Jestem już tylko pasją. Kulą czystej energii.

Splecioną z gniewu, wściekłości, z powściąganym, tłumionym frustracji. Uwolniłem cierpienia, które od tak dawna gromadziłem. I Bóg umarł pod naporem tego całego zła, któremu dał początek.

Kiedy napięcie opadło, kiedy otworzyłem oczy, na ulicy zapadła noc.

Osunąłem się na kanapę.

André leżał na podłodze. Jego szyja była nienaturalnie zasiniona, twarz kryła się w mroku, tak że mógłby to być ktokolwiek w tłumie włóczęgów tego świata.

Dźwignąłem się powoli.

Zabiłem istotę ludzką.

Zabiłem człowieka z krwi i kości. Odebrałem mu życie.

Tym razem to ja zabawiłem się w Boga.

Nie czułem z tego powodu przerażenia. Nie miałem wyrzutów sumienia. Nie ubolewałem nad tym. O dziwo, ogarnął mnie niesłuchany spokój. Tak dalece, że natychmiast wiedziałem, co mam zrobić.

Nie było mowy, żebym płacił za obłąd tego gościa. W żadnym razie nie mogłem stanąć przed nieobiektywnym wymiarem sprawiedliwości ludzkiej, żeby odpowiedzieć za swój czyn. Kto zdołałby mnie zrozumieć? W najlepszym razie uznano by, że istnieją okoliczności łągodzące.

Nie zamierzałem ryzykować. Chciałem wolności. Pełnej wolności. I pełnej świadomości. Spokojnej świadomości. Zasługiwałem na to. Nie byłem łotrem. Nie byłem złym duchem.

Podniosłem ciało André i owinąłem je w puchową pościel wyjętą z szafy. Zaczekałem do późnej nocy, żeby wynieść zwłoki. Znalazłem w jego kieszeni kluczyki od samochodu, starego golfa, który zdążył pokryć się kurzem. Kiedy usiadłem za kierownicą, poczułem znajomy zapach. Wspomnienie z dzieciństwa. Przejażdżka z matką. Od tak dawna nie prowadziłem... Odetchnąłem głęboko, żeby odpędzić wspomnienia, tamte wrażenia. Podobno tuż przed śmiercią człowiekowi staje przed oczyma całe życie. Prawdopodobnie to samo dzieje

się, kiedy pozbawia się życia kogoś innego.

Jedynka lekko się zaciągała, ale byłem do tego przyzwyczajony, bo miałem ten sam problem z moim starym wozem. Swobodnie manewrując, wyjechałem z parkingu niezauważony. Byłem jak zjawą. I pojechaliśmy nad kanał Saint-Martin. To tam pozbył się Michauda i Ophélie. I tam skończy.

Wszyscy już zdążyli wyobrazić sobie, jak to jest kogoś zabić. Otóż nie tylko to jest znacznie łatwiejsze, niż myślałem, ale także pozbycie się zwłok. O ile ma się szczęście.

Na nikogo się nie natknąłem.

O trzeciej nad ranem André wpadł do mulistej wody kanału. Wraz z nim na dno poszło to, co było najmroczniejsze w mojej podświadomości. Wszystko, co on w niej zasiał.

Z ulgą patrzyłem, jak znika. Czuję się, jakbym zabił część siebie. Jakbym uwolnił się od najbardziej uciążliwej połówki samego siebie.

Antoine nie byłby ze mnie zadowolony, mówiłby o równowadze wewnętrznej i innych bzdurach.

Kilka pęcherzyków powietrza wydobyło się na powierzchnię, a potem nic się już nie działo.

Ciężar spadł mi z serca. Uwolniłem się. Jakbym dokonał tego, do czego zostałem stworzony. Całe moje życie nabrało sensu tą późną nocą.

Skończyłem. Odnalazłem moją drogę, uzyskałem spójność osobowości. I pokonałem swoją Nemezis.

Co jednak dzieje się z superbohaterem, kiedy zniszczy złego przeciwnika? Umiera. Ponieważ nie ma już równowagi.

Dziękuję ci, Antoine. Miałeś rację, staruszk.

Teraz pozostało mi więc tylko przygotować ciąg dalszy.

Moją własną śmierć.

Powrót do rozumu.

Home sweet home.

2

Literaturą i seksem.

Tylko tym chcę żyć. Tylko to zabieram w śmierć. Książki i prezerwatywy.

I oczywiście mój mały kapitał, który przetransferowałem do raju podatkowego niedostępnego dla ogółu śmiertelników.

Precyzyjnie stosowałem się do wskazówek Ophélie. Nauczyła mnie bardzo dużo o pozorowaniu śmierci i zmianie tożsamości.

Oficjalnie umarłem sześć dni po Constance. Podobnego do mnie faceta znaleziono sztywnego w okolicy dworca de l'Est. Nie miał dokumentów. Wysłałem anonimowy list, w którym napisałem, że byłem świadkiem bójki i że znam ofiarę. Podałem swoje nazwisko. Nie wiedziałem, jak długo utrzyma się ta wersja, ale potrzebowałem tylko czasu na realizację planu.

Potem miałem zniknąć na końcu świata, więc sięgnąłem po globus. Odchyliłem głowę do tyłu, żeby poczuć miłe upojenie: półkula południowa.

Podróż odbyłem jako pasażer statków towarowych, gdzie kontrole nie są tak wnikliwe jak na lotniskach. Wyrobiłem sobie nowe dokumenty. Kiedy ma się tyle forsy, zmiana nazwiska to dziecinna igraszka. Na tym świecie wszystko można kupić, nawet życie, które nie istnieje.

Przemierzając oceany, często stałem oparty o balustradę. Wpatrywałem się w morze i myślałem o Constance. Próbowałem przywołać jej obraz za życia, ale przeważnie ten szybko się rozwiewał, a jego miejsce zajmowały wnętrzości.

Tęskniłem za nią. Tak jak za Ophélie. I za Antoine'em. W pewnej mierze brakowało mi też Tess i Michauda, a nawet Hugona.

Patrzyłem na ołowiany albo błękitny horyzont - zależnie od położenia geograficznego i pogody. Lubilem wyobrażać sobie, że wszyscy oni są tam, na granicy świata, i czuwają nad równowagą naszej egzystencji. Czasem ta myśl mnie przerażała, kiedy indziej uspokajała.

Żeglowałem ku nowemu życiu, w którym nareszcie będę sobą. W

pełni. Dążyłem do tego od tak dawna i przegrywałem przez te wszystkie długie miesiące, ponieważ brakowało mi najważniejszego: oczyszczenia z wszelkiej winy. André przydał się przynajmniej do tego. Zagubiony facet mógł już zniknąć, tym razem musiało mi się udać. Pozbyłem się obciążeń z przeszłości, teraz pozostało mi korzystać z życia. Postanowiłem być cynikiem, egoistą, bawić się. Rozkwitnąć. Ja.

I kiedy słońce znów zachodziło, w półmroku kajuty pomyślałem, że duchy nie nawiedzają miejsc.

One nawiedzają ludzi i chwile.

Ja miałem swojego, o zmierzchu.

Widywałem konającego André. A jego słaby głos brzmiał mi w głowie, kiedy pisałem ten rozdział mojej historii, żeby ją wam opowiedzieć. Jest tu. Na początku każdego rozdziału, kiedy szukałem inspiracji, pojawiał się André. Był we mnie, wracał, uporczywy jak fale uderzające w burtę statku. Nawiedza tę książkę, tak jak nawiedzał mnie. Objawia się w italikach. Bo italiki to duchy normalnych liter. I nic nie mogę na to poradzić.

Italiki na początku rozdziałów to on. To ja.

Nawiedza mnie mój duch.

Nie, duchy nie nawiedzają miejsc, one nawiedzają ludzi w wyjątkowych chwilach. Mój tyranizuje mnie inspiracją, kiedy zaczynam kolejne rozdziały. Mój nie ma już miejsca w rzeczywistości. Jest tylko słowem. Prawdopodobnie to on pchnął mnie do napisania tej opowieści.

Bo na początku było słowo...

W pewnym sensie on wciąż jeszcze jest częścią mojej podświadomości.

A nie można ciągle tłamsić swojej podświadomości.

1

Jak prawda wymaga, opowiemy teraz początek.

A wszystko zaczęło się tu.

Początek mojej historii. Mojego nowego życia. Życia.

A może początek *naszego* nowego życia. Początek ery.

Zapełniam ostatnie strony na mojej wyspie, żeby prawda została spisana. Moja prawda. Nie ta zapisana italikami, nie prawda duchów, zmarłych.

Oto moja droga, moje oświecenie.

Karmiono mnie sprzecznościami, czyż jednak nie to różni nas od wszystkich innych gatunków? Ludzkość twierdzi, że pragnie czynić dobro, podczas gdy w naturalny sposób pociąga ją zło. Wierzymy w siebie i w rozwój nauki, który ma nas ratować przed wszelkim złem, a równocześnie przechodzimy głęboki kryzys duchowy. Właśnie teraz rozsiewamy wielką epidemię otyłości i dopuszczamy do potwornego głodu. Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Nasze życie to wieczna walka pomiędzy sprzecznościami.

Poznałem te moje. Żywiłem się nimi.

Zabrałem ze sobą kilka książek, w tym Biblię.

Długo określałem się jako ateista. Może ze strachu. Prawdopodobnie byłem nieświadomym agnostykiem. Dziś sprawy nabrały sensu. Więcej rozumiem, toleruję, biorę pod uwagę, gram pojęciami, ponieważ zaczynam odnosić je do siebie, przyjmuję do wiadomości, że być może ja sam stanowią część wielkiej całości. A poza tym co mam do stracenia? Powiem trochę jak Sun Zi: „Poznaj swoich wrogów”.

Całkiem zabawny wydał mi się Nowy Testament, opowiadający o przygodach Piotra, który wcześniej nosił imię Szymon. A jego bratem był Andrzej. Poczuliśmy się prawie tak, jakby to było o mnie.

Moje pierwsze imię to Simon. Potem zostałem Pierre'em. Mój brat miał na imię André, chociaż nigdy nie istniał. Wchłonąłem go. Żyją we mnie trzej święci. Nic dziwnego, że potrzebowałem tyle czasu, żeby zrozumieć, kim naprawdę jestem...

Zacząłem się też zastanawiać, jaki stałby się świat, gdyby wszyscy

ci, którzy byli świętymi, upoił się nadzieją, sukcesem swojej myśli, swym wyjątkowym statusem... Co stałoby się z tym światem, gdyby wszyscy ci święci z dawnych epok stopniowo popadali w anonimowość rozkoszy doczesnych i pozbawili nas swego blasku i wzorców?

Myślę sobie, że z grubsza rzecz biorąc, świat stałby się właśnie taki, jaki jest dziś. Czy to oznacza, że oni nigdy nie istnieli, czy że zniknęli bez śladu?

Dlaczego dziś nie ma już świętych? Nie tych błogosławionych zakonników, które kanonizuje się na podstawie dwóch niby-to-cudów, ale świętych w starym stylu, takich, którzy odnajdują nasze zagubione rzeczy, którzy żyją przez dwa dni, ukrzyżowani, zanim skoną w palącym słońcu, i słowem dokonują niemożliwych uzdrowień. Wydaje się, że wraz z postępem ludzkiej wiedzy słabła moc cudów.

Bardzo chciałbym wiedzieć, kim byliby dziś wszyscy ci apostołowie, ci święci, gdyby przeżyli jak nieśmiertelni. Gdyby ich dusze przez wieki przenosiły się z ciała do ciała. Nie wątpię, że popadliby w obłęd. Nikt nie zdołałby znieść tak długiego życia, nie wariując. Nikt. Nawet święci. W tej kwestii Ophélie miała rację - być sobą na zawsze to obietnica szaleństwa. Może da się wytrzymać pięć czy sześć żyć, ale nie tysiące lat na tej ziemi. Nikt nie zniósłby tego tak długo. Właśnie dlatego nie wierzę w życie wieczne jako takie. Ani w wieczność w raju. To brednie.

Antoine był trochę taki - nieszkodliwie stuknięty, jakby czas go pokonał. Nikt nie triumfuje nad nieśmiertelnością.

Święty Antoni Padewski, wzywany od XVII wieku jako ten, który pomoże odnaleźć zgubioną rzecz. *Mój Antoine*. Ten, który mieszkał na ulicy de Padoue. W 17. dzielnicy. Czyjego dusza zajęła inne ciało, by znów mógł odkryć samego siebie w długim procesie poszukiwania tożsamości?

A jeżeli ja byłem Świętym Piotrem?

Ja Świętym Piotrem?

Miło wierzyć, że dzierży się klucze do prawdziwego raju. To przesłanie tej powieści. Raj jest ziemski, jest ulotny, chwilowy, efemeryczny dla każdego. Milton miał rację: jest utracony na wieczność, ale nie na czas jednego życia. Czyż nie to jest w istocie przekleństwem ludzi? Mogą zasmakować przez krótką chwilę tego, czym jest eden, a potem przegania ich z niego śmierć?

Klucz do naszego ziemskiego szczęścia to ja, moje postępowanie. Zachowania istoty, która rozumie, że ma tylko krótką chwilę konkretnej rozkoszy i że trzeba to wykorzystać. Raj to świadomość. To wasze życie. To tu i teraz.

Łamcie zasady. Wyzwalajcie się ze starannie wytyczonych, rozważnie sformatowanych ścieżek. Bądźcie sobą, naprawdę. Gdyby wszyscy tak postępowali, zapanowałby chaos, to prawda, ale byłoby cholernie dobrze.

Nikt nigdy nie powiedział, że raj to ład. Ład, nienaruszalne prawa, zasady moralne, ideologiczne, obowiązujące zachowania, frustracje, cierpienia - to wszystko piekło. Czyżbyście tego nie zrozumieli?

Żyjecie w piekle.

Przeczytano wam książkę od końca, narzucono zasady, których nie wolno łamać, nazwano to cywilizacją, ale to tylko inna nazwa piekła. Daliście się oszukać. Na samym początku ludzie błędnie zrozumieli pewne rzeczy! Poprowadzili nas w niewłaściwym kierunku! Chyba że to ci, którzy budowali Kościół i tworzyli jego instytucjonalny charakter, zmówili się, żeby nas okłamywać i zachować władzę...

Stańcie się znowu istotami wyzwolonymi. Słuchajcie nieco bardziej swojej zwierzęcości, swoich instynktów. Bądźcie bardziej naturalni. Naturalność jest dobra. Jest akceptowalna, jest uprawniona. Bardziej niż nakazy, niż głupie kodeksy.

Kochajcie się. Jedzcie. Pijcie. Szukajcie rozkoszy.

Z punktu widzenia „moralności” będziecie samolubnymi, odrażającymi egoistami, ale zaznacie przynajmniej, choćby przez krótką chwilę, wysublimowanej rozkoszy wolnego życia. Wejdziecie do raju.

Bądźcie pogodni. Wobec wieczności śmierci wszystko staje się wybaczalne.

Ja delektuję się teraz tym szczęściem w każdej sekundzie.

Możecie mnie nienawidzić za to, co zrobiłem. Albo za to, co robię. To uprawnione - jestem istotą szczęśliwą, a wy prawdopodobnie macie szczęścia dość mało. Przynajmniej statystycznie wielu ludzi nie jest szczęśliwych. Tłamsi ich nadmiar presji, z którą trzeba sobie radzić, nadmiar niespełnionych ambicji, zbyt silne pragnienie, by być doskonałym, przystawać do norm, być świetnym odlewem z formy.

A ja jestem cynicznym łajdakiem, egoistą korzystającym z każdej okazji. Ale jestem szczęśliwy.

Antoine miał rację co do równowagi w Kosmosie. Są w nim siły w stałej opozycji. Nie są ani dobre, ani złe, są przeciwstawne - to wszystko. Potrafiłem wsłuchać się w swoją naturę. Wiem, kim jestem, znalazłem ukojenie, uzyskałem równowagę. Moglibyście powiedzieć, że to dlatego, że wzięła we mnie górę skrajna częśćka mojej osobowości. To przez te cholerne italiki. Ale mam was gdzieś.

Tu, na mojej wyspie, delektuję się koktajlami, które pieszczą moje

neurony, codziennie wygrzewam się w słońcu, a każda kolejna fala turystów zapewnia mi wprawiający w ekstazę seks. Dbam o własną satysfakcję. Moje życie nareszcie jest takie, jakie chciałem mieć, takie, o jakim marzyłem. Wyluzowałem się. Wyzwoliłem się spod władzy najbardziej ogłupiających i upadających elementów systemu. A jeśli jutro to życie przestanie mi się podobać, rzucę je i wybiorę sobie nowe.

Jestem szczęśliwy.

Jestem sobą. Kim chcę.

Jestem wolny.

A wy jesteście tylko figurantami w moim świecie. Pasywni, jesteście jedynie inercją cywilizacji. Jestem waszym superbohaterem. Wasze indywidualizmy służą tylko jako masa. Właściwie nie istnieją już jako odrębne byty.

Otwórzcie oczy, przyjrzyjcie mi się. Przyjrzyjcie się swojej egzystencji.

Kto jest niewolnikiem? Kto jest wolny?

Kim jestem?

Waszym snem. Waszym koszmarem.

Jestem człowiekiem wolnym.

Jestem tym, który pisze, który decyduje.

A wam pozostaje tylko podążać za mną.

Tylko czytać.

Więźniowie mojej myśli, moich słów, które przenikają wasze przekonania.

Właśnie w was wszedłem. Zasiałem wątpliwości.

Zostanę w was na zawsze. Moje słowa, moja myśl. Posiadłem was.

I teraz należycie do mnie.

No i co, siejemy ten chaos?